

Anna Kańtoch

Przedsiębiorcy III



powergraph

Anna Kańtoch

Przedsiębiorcy
III



powergraph

Warszawa 2013

Copyright © 2013 by Anna Kańtoch
Copyright © 2013 by Powergraph
Copyright © 2013 for the cover by Rafat Kosik

Redaktor prowadząca serii: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Redakcja: Michał Cetnarowski i Kasia Sienkiewicz-Kosik
Korekta: Maria Aleksandrów
Skład i łamanie: Powergraph

Ilustracja na I okładce: Rafał Kosik i Adelevin
Projekt graficzny serii i opracowanie: Rafał Kosik

Wyłączny dystrybutor:
Firma Księgarska Olesiejuk
Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. 22 721 30 00, fax 22 721 30 01
www.olesiejuk.pl, e-mail: fk@olesiejuk.pl

Wydawca:
Powergraph Sp. z o.o.
ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa
tel./fax: 22 834 18 25, 22 834 18 26
powergraph.pl, sklep.powergraph.pl, e-mail:
powergraph@powergraph.pl
ISBN 978-83-64384-01-1
Printed in Poland, EU

CZEŚĆ I

CO TRZEBA ZROBIĆ W OSTATNICH DNIACH

Finnen

Zabraliśmy Chirę do dzielnicy zmarłych w dzień, który nastął po wyjątkowo śnieżnej nocy. Warstwa zmrożonego na wierzchu puchu sięgała Kairze do kolan; zapadaliśmy się w nią, hrnąc przed siebie i potykając się od czasu do czasu. Czerwone słońce pośród czerwonych chmur wydawało się pozbawione konturów, jakby pękło i zalało nieboskłon przydymioną purpurą zmieszanej z żuzłem krwi.

Było duszno, w powietrzu nie czuło się świeżości śniegu, tylko smak kurzu. Pamiętam, jak Kaira, która przecierała szlak, odwróciła się do umie: pot błyszczący nad jej górną wargą, niepokój w oczach. Sądząc po niebie, można by pomyśleć, że nadchodzi koniec świata, powiedziała, na co ja odparłem, że my nie musimy patrzeć w górę, my wiemy.

Dźwigałem zawiniętą w płótno Chirę, jej głowa spoczywała na moim ramieniu wystarczająco wysoko, bym nie musiał spoglądać dziewczynce w twarz. Kiedy poprawiałem uchwyt, poczułem na szyi muśnięcie ust. Były zimniejsze niż lód, tak zimne, że miejsce, którego dotknęły, zdawały się pozbawiać resztek ciepła, pozostawiając płat martwej skóry.

Pewnych rzeczy się nie zapomina.

Mieliśmy na sobie nasze najlepsze ubrania, bo tak postanowiła Kaira, a z nią się nie dyskutowało. Dziewczęta włożyły spódnice, które teraz mokre, lepily się do tydek. Spoceni, to rozpinaliśmy, to znów zapinaliśmy kurtki, gdy tylko zawiał wiatr. A przynajmniej inni tak robili, bo ja, niosąc Chirę, nie mogłem sobie pozwolić na podobny luksus.

Sura skaleczyła dłoń o ostrą krawędź zmarzliny i oszołomiona, ssła ranę.

Dotarliśmy na plac Zegarów Wodnych, gdzie Kaira wybrała dom: kilkunastopiętrowy, z konstrukcją przedstawiającą zakochane gołąbki, które z dzióbka do dzióbka podawały sobie ziarna. Nie wiem, dlaczego spodobał jej się właśnie ten, nie pytałem. Podejrzewałbym specyficzne poczucie humoru, ale przecież to była Kaira.

Może nie znałem jej tak dobrze, jak mi się wydawało.

Zaniosłem Chirę na ostatnie piętro. Tym razem Kaira uzasadniła swój wybór. Powiedziała, że dziewczynka powinna być bliżej nieba.

Dziecko wyglądało bardzo krucho na łóżku w ośmiokątnej sypialni, której srebrne ściany zdawały się emanować morderczym chłodem lodowych bloków. W czasie marszu płótno rozwinęło się, poprawiłem je więc, zasłaniając wprasowany w ciało, zgnieciony półpancerz.

Chira wyskoczyła z okna i przez krótką chwilę unosiła się w powietrzu, trzepocząc bezużytecznymi skrzydłami. Potem runęła na bruk przed Archiwum. Aktorzy, którzy widzieli jej śmierć, a później zabrali zwłoki, próbowali zdjąć zwierzkosztatną zbroję, jednak nie zdołali - fragmenty napierśnika wbiły się tak głęboko, że rozerwały żebra i serce. Ograniczyli się więc tylko do odcięcia połamanych skrzydeł, by dziewczynkę łatwiej było nieść.

Pamiętam przekazywaną z rąk do rąk notkę, niezrozumiałe dla postronnych bazgroły na kawiarnianej serwetce, zatłuszczonej i lepiącej się do palców.

Pewnych rzeczy się nie zapomina.

Byliśmy zmęczeni, nagromadzone w czasie marszu ciepło ulatniało się z każdym oddechem, a my szybko zaczęliśmy dygotać. Wszyscy poza Kairą, która wyjęła z kieszeni plik kartek zapisanych drobnym, uczniowskim pismem i zaczęła czytać.

To były fragmenty nieużywanych już rytuałów pogrzebowych, urywki z Księgi Przejścia i Ballady o Umieraniu Hanardana Młodszeo, kilka wersów z wiersza

Łaskawa Dulali Rajsy oraz coś, co brzmiało jak kawałek sztuki, ale nie potrafiłem jej rozpoznać. Przedziwny miszmasz, puste, martwe słowa przywołujące coś, co od dawna nie istniało.

To nie miało prawa zadziałać, a jednak zadziałało, zdarzył się cud i tamtego mroźnego ranka przeszłość została na kwadrans wskrzeszona. Czulem ją, wszyscy ją czuliśmy, kilkanaście maleńkich, szczękających zębami ogniu łączących minione pokolenia z nadciągającym końcem świata, grupa ludzi, których życiu - a także śmierci, nie zapominajmy o niej - na chwilę przywrócono sens.

Kaira potrafiła robić takie rzeczy.

1

Gdy wracali, Finnen dyskretnie chwycił Kairę za łokieć i zaczekał, aż zostaną z tyłu. Być może nie była to najlepsza chwila, by zadać dręczące go pytanie, uznał jednak, że lepszej może nie znaleźć. Chira została złożona na wieczny spoczynek - a przynajmniej spoczynek do najbliższego Skoku; wrażenie z pogrzebowego rytuału już zacierało się w pamięci. Najwyższa pora wrócić do teraźniejszości.

— Tam, w Archiwum — powiedział — ktoś nam pomógł. Masz pojęcie, kto to mógł być?

— Nie.

— Jakiś pomysł? Cokolwiek?

— Myślałam, że to jeden z twoich przyjaciół artystów.

— Gdyby tak było, wiedziałbym o tym.

— No to nie mam pojęcia.

— On miał broń palną, Kairo. Miał broń i wszedł z nią do Archiwum. To nie mógł być zwyczajny człowiek.

— W takim razie kto?

— Nie wiem i to właśnie mnie martwi. — Finnen potrząsnął głową. Przyspieszyli, bo dzieci znacznie już ich wyprzedziły.

— Czemu? Przecież jest po... naszej... stronie. — Kaira próbowała dotrzymać mu kroku, lecz długa spódnica skutecznie

krępować ruchy. — Dlaczego ty we wszystkim musisz widzieć problem?

— Może dlatego — podsunął — że ty nie widzisz problemu w niczym?

2

O godzinie 9.52 czasu pokładowego oficer łącznikowy „Arki Odrodzenia” odebrał wiadomość.

Tasos Hairetis był wówczas na mostku sam, na wpół uśpiony przez monotony szum wentylacji i popiskiwanie radaru krótkiego zasięgu. Dźwięk otwierającego się kanału komunikacyjnego wyrwał go z odrętwienia.

Łokciem trącił styropianowy kubek po kawie, po czym - wciąż jeszcze nie do końca przytomny - odruchowo schylił się i chwycił go, zanim naczynie spadło na ziemię. Resztką brunatnego płynu chlapanęła mu na przegub i zaczęła wsiąkać w rękaw. Slrzęsnał krople na podłogę, po czym wytarł dłoń w spodnie, pocieszając się myślą że w jego przypadku plama i tak nie ma znaczenia. Dziwnym trafem szczupły, nerwowy Hairetis zawsze, nawet w świeżo wypranym i wyprasowanym mundurze, wyglądał bowiem na wymiętego jak po nieprzespanej nocy, co podkreślała jeszcze jego szara cera i przekrwione oczy.

Odstawił kubek w bezpieczne miejsce i dopiero teraz spojrzał na ekran. Wiadomość nadeszła na kanale trzecim, zarezerwowanym dla ścisłego dowództwa statku. Hairetis wbił kod, poczekał na potwierdzenie i przeczytał tekst.

Zrobił to raz, a potem drugi, choć informacja była stosunkowo prosta.

Konieczna modyfikacja planów i zmiana kursu. W pasie Argyle'a odkryto planetę ziemskiego typu, potencjalnie interesującą, ze śladami cywilizacji, być może wciąż zamieszkaną. Zebrać jak najwięcej materiałów, potem kontynuować misję. Uwaga: prawdopodobne zagrożenie, przed stu trzydziestoma dwoma standardowymi dniami zaginęły tam trzy osoby z załogi statku handlowego T-13 „Optymista”. Bezpośredni kontakt z

powierzchnią tylko w razie konieczności i przy zachowaniu maksymalnych środków bezpieczeństwa.

Poniżej następowała lista koordynatów, obliczenia wektorów ciągu, opis wejścia na nową trajektorię i wytyczne manewrów zmiany prędkości, a nawet przeliczenia paliwowe.

Hairetis przeleciał po nich wzrokiem.

Co, u licha...?, pomyślał. Przecież stracimy przez to prawie miesiąc!

Z drugiej strony, cóż to jest miesiąc dla półtora tysiąca zahibernowanych ludzi? Dla zamrożonych zwierzęcych embrionów, nasion i pogrążonych we śnie aniołów-cieni?

Tyle, co nie, a „Arka Odrodzenia” w swojej drodze na Ziemię przelatywała stosunkowo blisko pasa Argyle'a. Doskonała okazja dla Dowództwa Sił Powietrznych Kerberosa, by dokonać rozpoznania bez konieczności zawsze kosztownego wysyłania osobnego zespołu badawczego.

Miesiąc, pomyślał Hairetis, nie po raz pierwszy żałując, że nie jest jednym ze szczęśliwców, którzy spoczywali w komorach hibernacyjnych. „Arka” na dobrą sprawę mogłaby dotrzeć na Ziemię sama i dopiero przy lądowaniu potrzebna by jej była pomoc ludzkich pilotów, Dowództwo jednak postanowiło, że przez cały lot na statku pozostanie szkieletowa załoga: cztery osoby niemające do roboty nic prócz tego, by przez trzy miesiące wpadać na siebie nawzajem, nudzić się i kłócić, kiedy zawiodą rozkosze wirtualnego seksu, wspinaczki po najwyższych budowlach Nowych Ziemi czy nurkowania z neodelfinami.

Cztery osoby, którym w razie potrzeby można było wysłać wiadomość „do ścisłego dowództwa”, szyfrowaną, choć na pokładzie pozostało wyłącznie ścisłe dowództwo.

Trzy miesiące, teraz rozciągnięte do czterech.

Była to ostatnia rzecz, na jaką Hairetis miał ochotę. Nie z powodu antypatii do reszty załogi, bo swych towarzyszy niedoli wciąż jeszcze lubił - być może z naciskiem na „jeszcze” lecz dlatego, że kolejna zwłoka groziła całkowitym wygaśnięciem entuzjazmu.

Pamiętał, jak przed kilkoma laty przyszedł na zebranie

Towarzystwa Odrodzenia Ziemi. W kieszeni miał zmiętą ulotkę, lecz mimo że jej tekst znał niemal na pamięć, nie wiedział, czego właściwie powinien oczekiwać. Zaczęło się standardowo: przy wejściu ładna, długonoga blondynka (nie do odróżnienia od innych długonogich blondynek) wpięła mu w koszulę zielony znaczek i podała kieliszek szampana. Na sali było mnóstwo uśmiechniętych, wyluzowanych ludzi w koszulach z prawie- jedwabiu, którzy najwyraźniej świetnie się znali. Potem przyszła pora na przemówienia, holoprezentacje i symulację odbudowy lerozolimy. Tasos Hairetis był wśród tych, którzy klaskali najgłośniej, a nim wieczór dobiegł końca, wpłacił swoją pierwszą składkę.

Pół roku później należał już do najbardziej aktywnych członków Towarzystwa. W przeciwieństwie do większości koleżanek i kolegów nie kierowały nim względy religijne, nie nęciły go hasła „Ratujmy kolebkę chrześcijaństwa” czy „Odbudujmy Ziemię, po której chodził Bóg”. Bogowie niewiele Hairetisa obchodzili, za to historia - owszem.

Jeśli istniała jakakolwiek szansa, choćby najmniejsza, że na zniszczonej planecie znów rozwinie się życie, a później, dzięki wspólnemu wysiłkowi ludzi oraz aniołów-cieni, na właściwe miejsca wróćą odtworzone w najdrobniejszych detalach Bazylika św. Piotra, Tadz Mahal czy Wielki Mur Chiński, to Hairetis gotów był zrobić wiele, by owa wizja się urzeczywistniła.

Pamiętał, jak Towarzystwo zostało wpisane na listę organizacji starających się o środki na podróż międzygwiazdową oraz zasiedlenie. Świątowali wówczas przez całą noc, w coraz gorszych knajpach, aż wreszcie gdy wyrzucili ich z ostatniej, na moście Nicodemusa Tasos wspiął się na kamienny posąg lwa, upuszczając po drodze butelkę. Sznur świateł wzdłuż Pałacu Sprawiedliwości rozmazywał mu się przed oczami, woda sprawiała wrażenie bardzo dalekiej i zarazem bliskiej, on sam wrzeszczał „Za Ziemię!”, podczas gdy dwadzieścia metrów niżej dziewczyna, która miała zostać jego żoną, wymiotowała na własne buty. Nigdy nie czuł się tak całkowicie szczęśliwy, tak spełniony i żywy, jak tamtej nocy.

Potem jego zapal zaczął maleć, dzień po dniu, jak dziurawy worek, z którego wysypuje się piasek. Dziesiątki kwestionariuszy do wypełnienia, podpisy do złożenia i urzędnicy do oblaśkawienia - wszystko to powoli zabijało entuzjazm. A może była to po prostu sprawka nieubłagane biegnącego czasu i tego, że gdzieś pośród papierowo-komputerowego chaosu Hairetis niepostrzeżenie wślizgnął się w wiek średni?

Gdy „Arka” startowała, znów poczuł się młody i szczęśliwy, przez chwilę nawet łudził się nadzieją, że tak będzie zawsze. Nie było, oczywiście. Dlatego Tasos Hairetis nie miał ochoty wydłużać podróży o kolejny miesiąc.

Chciał stanąć na powierzchni Ziemi wtedy, gdy to jeszcze będzie mogło przynieść mu satysfakcję.

Skasować wiadomość? Coś takiego mogłoby ująć mu na sucho. Już teraz kwestia, komu właściwie podlega „Arka Odrodzenia”, była bardzo delikatna, a kiedy koloniści wylądują na Ziemi, staną się praktycznie niezależni. Nikt nie wyciągnie wobec Hairetisa konsekwencji. Jedyłą osobą, która mogłaby to zrobić, był kapitan Cerniglia, a on stanie po stronie oficera - choć, rzecz jasna, nie domyśli się, jaka była prawdziwa przyczyna tej niesubordynacji.

Skasuj to, szeptał wewnętrzny głos, lecz mężczyzna w głębi duszy wiedział, że tego nie zrobi. Niełatwo jest podważyć ponad dwadzieścia lat wpojonego w wojsku posłuszeństwa.

Wciąż tkwił z nieszczęśliwą miną przed ekranem, gdy na mostek wszedł kapitan.

— Mamy wiadomość z Kerberos — powiedział Hairetis pospiesznie, zanim pokusa stałaby się nie do odparcia. — Powinien pan spojrzeć.

3

W mieście dało się zauważyć wyraźne poruszenie. Nad schodami krążyli skrzydlaci strażnicy, wszyscy zakuci w chimeryczne zbroje, z pałkami zatkniętymi za pasy i kuszami w opancerzonych dłoniach. Ludzie kulili się pod ich spojrzeniami

i przemykali niemal przyklejeni do ścian budynków, lecz kiedy strażnicy mijali ich w szumie metalowych lotek, odwracali się i, bywało, grozili pięściami albo przynajmniej męli w ustach przekleństwa.

— Jednak to zrobili — mruknął Finnen, bo od czasu słynnego napadu krążyły plotki, że Archiwum - specjalnym dekretem prezydenta - zostanie zmuszone do wydania straży wynalazków, które pomogłyby opanować sytuację w mieście.

— Najwyraźniej — szepnęła Kaira, by zaraz, zirytowana własnym lękiem, podnieść głos. — Jak sądzisz, długo to potrwa?

— Nie mam pojęcia.

Na placu Haków zebrał się rozprawiający w podnieceniu tłumek. Zauważywszy to, jeden ze strażników podleciał na szerokich, metalicznie lśniących skrzydłach, które rzucały na bruk cień pikującego orła. Dłoń znacząco zacisnął na rękojeści pałki i zahuczał „Proszę się rozejść”. Potem, wciąż unosząc się w powietrzu, poszukał nowej ofiary, hełm w kształcie lwiej głowy obracał się w prawo, w lewo, aż wreszcie spojrzenie oczu, widocznych w wąskim pasku przyłbicy, spoczęło na Kairze.

Mierzyli się wzrokiem, strażnik leniwie poruszający skrzydłami i dziewczyna z arogancko uniesionym podbródkiem. Finnen myślał już, że zostaną aresztowani - sama mina Kairy by wystarczyła, nie wspominając o tym, że dwoje dorosłych oraz grupa dzieciaków o zaciętych twarzach, wszyscy mokrzy po kolana, musieli wzbudzać podejrzenia.

Jednak strażnik odwrócił się i odleciał z ociąganiem, oglądając się jeszcze kilka razy za siebie.

— Co ty wyprawiasz? — szepnęła Finnen. — Chcesz, żeby zwrócili na nas uwagę?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

— Nie mają prawa terroryzować miasta — powiedziała tak głośno, że kilkoro najbliższych stojących ludzi odwróciło się w jej stronę. — Spotykanie się na placach i dyskutowanie to nie zbrodnia.

Podeszła i energicznie zdarła z jednego ze słupów ogłoszeniowych plakat, w którego poprzek biegł napis: „Na czas nieokreślony zabrania się publicznych zgromadzeń większych niż

10 osób".

Jedna z kobiet odwróciła wzrok, lecz pozostali patrzący nieśmiało pokiwali głowami.

4

Ellona tkwiła w jednym ze swoich pokoi, pracowicie układając obok siebie barwne kamyki mozaiki, zamkniętej w rzeźbionych ramach z zimnoroślowego drzewa. Jeden obok drugiego, zieleń do zieleni, błękit do błękitu, róż do różu.

Od czasu do czasu unosiła dłoń, by otrzeć spływające po policzkach łzy, i pociągała nosem. Obraz kwitnącego ogrodu, przez który płynął strumień, zamazywał się jej przed oczami; nie pomagało częste mruganie. Czy omyłkowo nie włożyła niebieskiego kamyka tam, gdzie powinien być różowy płatek astra? A może istnieją astry z jednym płatkem odmiennego koloru?

Zresztą, jakie to ma znaczenie?

Za jej plecami cicho rozsunęły się drzwi. Ojciec - poznała po krokach, że to on - podszedł i kucnął przy siedzącej na posadzce córce tak blisko, że na szyi czuła jego oddech.

Nie odwróciła się.

— Jak się czujesz? — zapytał.

— Źle — burknęła.

— Coś cię boli? — w jego głosie zabrzmiał wyraźny niepokój.

— Może powinniśmy wzmocnić leki...

— Nic mnie nie boli.— Czyli chodzi o Noorę, tak?

Ellona nie odpowiedziała. Wciąż układała kamienie, nie dbając już o to, że strumyk jest różowy, a kwiaty czarne.

— Popatrz na mnie.

Odwróciła się, w oczach miała wyzwanie.

— No więc okazałam się głupia, bywa. Nie tego się po mnie spodziewałeś, co? Powinnam była przewidzieć, że Noora szybko się znudzi takim dzieckiem jak ja. Powinnam była wiedzieć...

— Kochanie, jesteś dzieckiem i dlatego właśnie nie mogłaś

tego wiedzieć. A Noora jeszcze będzie żałować, że straciła taką przyjaciółkę, zobaczysz.

— I tak już mi na niej nie zależy... — wymruczała buntowniczo Ellona, powstrzymując się heroicznie przed poproszeniem ojca, aby raz jeszcze powtórzył, co powiedziała mu córka Issy i co on na to odpowiedział.

I tak już знаła tę historię na pamięć: jak Noora oznajmiła, że poznała kilkoro „ciekawych ludzi”, których towarzystwo „mogłoby nie być właściwe” dla „dziewczynki w wieku Ellony”, jak w związku z tym zasugerowała, że nie powinny się przez jakiś czas widywać, a na koniec dodała: „Niech pan przekaże małej ode mnie życzenia zdrowia i co tam jeszcze, sam pan wie”.

— Nie będę miała z kim chodzić na przyjęcia — chlipnęła Ellona.

Marouti przytulił ją. Próbowала się odsunąć, ale wreszcie przyłgnęła mocno do ojca.

— Ty mnie nigdy tak nie zostawisz, prawda?

— Oczywiście, że nie, przecież wiesz, że ze wszystkich moich dzieci ciebie kocham najmocniej. Jesteś moim skarbem, moją najśliczniejszą i najmądrzejszą dziewczynką.

— Dlaczego?

— Dlaczego jesteś najśliczniejsza i najmądrzejsza? To oczywiste...

— Dlaczego właśnie mnie kochasz najbardziej?

— Bo jesteś wyjątkowa. Bo stworzyłem cię po to, żebyś zrobiła coś, czego nikt inny nie może zrobić.

— Żebym zabiła Przedksiężycowych?

— Ciii, Kotku, nie wolno o tym głośno mówić. Jeszcze nie czas.

— Wszystko mi jedno — wymamrotała Ellona w materiał ojcowskiej koszuli. — Wszystko mi jedno.

Tego wieczoru ułożyła całą mozaikę, a potem ją zniszczyła. Kopała obraz, aż część kamyczków wypadła z ramy i potoczyła się po posadzce. Resztę oderwała od kleistego podłoża palcami, łamiąc paznokcie i zdzierając skórę do krwi.

Ojciec, który przyniósł jej kolację, nie skomentował bałaganu.

Nie była głodna, wzięła więc z tacy tylko kubek mocnej słod-

kiej herbaty i podeszła z nim do okna. Choć powoli zbliżała się pora, gdy służąca przyjdzie zagonić ją do łóżka (dziś, w drodze wyjątku, być może zrobi to ojciec), na zewnątrz było jasno niemal jak w dzień. Wół i Wóz miały tarcze idealnie okrągłe, Woźnica już zaczął się kurczyć - wyglądało to tak, jakby brakowało mu fragmentu, cienkiego niczym skórka zdjęta z różowego jabłka.

Mogłaby się wymknąć w taką właśnie spokojną noc. Zejść do hallu, rozsunąć drzwi i wyjść na zewnątrz, wprost w baśniowy świat, gdzie gładki, chłodny śnieg połyskiwał kolorami w świetle księżyców, a z otulających budynki misternych konstrukcji zwieszały się jeszcze bardziej misterne wzory lodowych sopli.

Kto by jej zabronił?

Poszłyby do domu Issy, poinformowałyby służącego, że chce się widzieć z Noorą, i powiedziałyby jej... powiedziałyby...

Co właściwie? Ze Noora jest samolubna, bo przecież obiecała Ellonie być jej przyjaciółką i znów zabrać dziewczynkę na tańce? To byłoby dziecinne, a córka Maroutiego nie chciała być dziecinna. Nie chciała też się złościć i płakać, jakby... jakby jej zależało.

Mogłaby pójść na tańce sama, lecz wiedziała, że nie starczy jej odwagi. Była śmiała, a nawet pyskata tylko wtedy, gdy czuła poparcie starszej dziewczyny. Bez niej Ellona znów stawała się dzieckiem. Zresztą ojciec i tak nigdy by jej nie puścił samej. Mogłaby namówić go, żeby poszedł z nią, ale co to za przyjemność pokazywać się w towarzystwie ojca? Albo pilnującego jej służącego czy - o zgrozo - jakiejś opłaconej „przyjaciółki”, którą Marouti gotów byłby wynająć, gdyby widział, że córce brakuje rozrywek.

Nie, Ellona z całą pewnością nie pragnęła takiego rozwiązania. Poza tym chodziło nie tylko o tańce, lecz o... o wszystko.

To nie było sprawiedliwe. Dlaczego nie miała prawa być jak inne dziewczęta w jej wieku? Mieć przyjaciółki, wiele przyjaciółek, a nie tylko jedną, chodzić na zabawy, na których jest dużo ludzi, gdzie wszyscy tańczą i się śmieją... Czy to tak wygórowane wymagania?

Ellona płakała z czołem opartym o szybę. „Bo stworzyłem cię po to, żebyś zrobiła coś, czego nikt inny nie może zrobić”, powiedział Marouti i dziewczynie to pochlebiało; chciała spełnić swoje zadanie niezależnie od tego, na czym miało polegać, tak żeby ojciec był z niej dumny. Naprawdę tego chciała.

... ale zanim to nastąpi, czy nie mogła choć trochę się zabawić? Czy nie wystarczająco już się nacierpiła?

Bywały okresy, kiedy noc po nocy budziła się z krzykiem, czy to pod wpływem koszmarów, czy bólu, jaki dręczył jej gwałtownie rosnące ciało - a czasem z obu tych powodów naraz. Musiała też wciąż nosić ten przeklęty gorset i obręcze, jak jakieś paskudne narzędzie tortur.

Było jej duszno, żelazne pasy na piersi uciskały jak nigdy dotąd. Nie mogła oddychać. Może ojciec zapiął je zbyt ciasno, a może już wcale ich nie potrzebowała? Jeśli osiągnęła właściwy wzrost, to gorset mógł tylko zaszkodzić.

Zdejmowała go w pośpiechu, łapiąc powietrze szeroko otwartymi ustami; wpychała poranione palce pod klamry i podważała je połamanymi paznokciami. Czowała śliskość własnej krwi, krew na obręczach, łzy spływające po twarzy, jej własne jęki brzmiące obco, przytłumione, jakby słuchała kogoś, kto skomle za ścianą. Żelazny gorset nawet w najlepiej ogrzanym pomieszczeniu zawsze wydawał się o kilka stopni zimniejszy niż skóra, ale dzisiaj był ciepły, dzisiaj płonął, a razem z nim płonęła Ellona.

Zrzuciła go z siebie i drżąc, przeszła do sypialni, gdzie wpełzła do łóżka. Zwinęła się pod kołdrą. Było jej zimno i gorąco jednocześnie, wstrząsały nią dreszcze.

Ktoś dotknął jej czoła chłodną dłonią, ktoś przysunął do ust kubek z wodą. Znajoma, uspokajająca obecność.

— Ellona, biedactwo, masz gorączkę.

— Dlaczego...? — wychlipała.

— Przez leki, które bierzesz. Ale nie martw się, to nie potrwa już długo. Podnieś się odrobinę, muszę poprawić poduszkę.

Objęła ojca za szyję i ścisnęła mocno chudymi rękami, na których odcisnęły się sine ślady pozostawione przez metalowe

obrócić.

— Wiesz, że ja bym zrobiła dla ciebie wszystko, prawda? Absolutnie wszystko.

— Wiem.

Nie dalej jak przed jedenastoma godzinami Brin Issa powiedział mu, że powinien być wdzięczny.

— Za śmierć Noory? — zapytał oszołomiony Marouti. — Ellona ją lubiła, ty draniu.

— Lubiała ją, a teraz przestanie. Zostaniesz jej tylko ty, tym bardziej więc będzie cię kochać i tym chętniej zrobi wszystko, o co ją tylko poprosisz. No już, rozchmurz się, braciszku.

— To są metody...

— ... których nie pochwalasz. Ale patrzyłeś, jak wszyscy po kolei okłamujemy swoje córki, i nigdy nic nie powiedziałeś, prawda? Idź więc i zrób to samo Ellonie albo bądź uczciwy i strać tym samym jej zaufanie. Twoja wola. A poza tym — dodał Issa z uśmiechem, który Maroutiemu wyjątkowo się nie spodobał — czy rzeczywiście nigdy nie zrobiłeś niczego, czego twoja córka by nie zaakceptowała?

— Mówisz o jej snach.

— O tak, jej sny. Są ciekawe, a także, powiedziałbym, nieszczególnie naturalne.

— To jedyne, co... Musiałem.

— Wszyscy musimy. O to chodzi.

Marouti jeszcze w drzwiach odwrócił się i spojrzał na Issę.

— Czasem wolałbym, żeby nam się nie udało — oznajmił. — Wiesz o tym?

Issa odpowiedział, a Marouti, siedząc przy łóżku śpiącej córki i głaszcząc jej włosy, powtórzył za nim cicho:

— Wiem.

5

Tellis weszła na dach i stała tam, zalewana potokami światła. Dwa księżyce wciąż były w pełni, a jeden niemal w pełni. Jak często zdarza się taka noc?

Pomyślała, że gdyby żyła w górnym świecie, wynajęłaby na jednym z placów animatora i kazałaby się zawieźć do biblioteki. Tutaj musiała przejść przez miasto pieszo, ryzykując życiem - a dziś zagrożenie było szczególnie wysokie, bo jasny blask księżyców wyganiał z kryjówek wychudłe, na wpół oszalałe z głodu widma. Dlatego kapitan zdecydowała, że tej nocy zostanie na miejscu.

Gdy oparła dłonie o poręcz na dachu, w ramionach poczuła ostry ból. Niosąc dziewczynkę - którą przez kilka ostatnich godzin jej życia nazywała Prishą - nadwreżyła sobie mięśnie. Mała była dość ciężka: brudna, rozgorączkowana, owszem, ale nie chuda. Widać było, że jeszcze do niedawna ktoś o nią dbał. A potem coś się stało, najprawdopodobniej opiekun umarł bądź został zabity. Albo Prisha po prostu się zgubiła, ale kiedy Tellis ją znalazła, już nie mówiła z sensem, więc nie było jak się dowiedzieć, gdzie wcześniej mieszkała. Kapitan zabrała dziecko do siebie, wlała w nie butelkę eliksiru Fabbinięgo i spróbowała nakarmić gołębiem rosółem. Prisha zjadła, po czym zwymiotowała lekarstwo, zupę oraz sporo krwi. Tellis umyła dziewczynkę, przebrała w suche i czyste rzeczy. Trzymała ją w ramionach, słuchając bezładnej, coraz cichszej paplaniny. Nic więcej nie mogła zrobić.

Dzieci umierające w przeszłości, pomyślała. Tak nie powinno być.

Być może to właśnie Prisha była przyczyną, dla której Tellis zrobiła to, co zrobiła, i teraz drżała na dachu, kuląc ramiona w świetle księżyców. Gdyby mogła cofnąć wypowiedziane słowa... choć nie, gdyby dano jej drugą szansę, prawdopodobnie postąpiłaby tak samo. Starego psa trudno nauczyć nowych sztuczek, przypomniawszy sobie powiedzenie, którego używała jej matka w czasach, gdy w Lunapolis spotykało się jeszcze żywe zwierzęta. Tellis była takim właśnie psem. Chciała zranić Mahameniego, chciała, by odpokutował za śmierć widzącego w ciemności dziecka, więc zrobiła to, przy okazji wypróbując swoją nad nim władzę.

Zadrżała z nagłego chłodu. Środek Fabbinięgo ostatnio pomagał słabiej, Tellis szybko traciła ciepło, była też wyraźnie mniej

sprawna. Cichy, wstrętny głosik w tyle jej głowy szepnął, że dobrze, iż dziewczynka nie męczyła się dłużej.

I tak zmarnowałaś na nią sporo cennego leku.

Głębińce i Przedświat znów płonęły, luna rozlała się na nocnym niebie. Tellis wtarła w język kilka kropel środka telepatycznego, lecz nie usłyszała krzyków. Lunapolis z każdym dniem stawało się bardziej wyludnione, jeszcze tydzień-dwa, a kapitan zostanie jedynym mieszkańcem martwego świata.

Cóż, dlaczego nie?, pomyślała w przyptywie wisielczego humoru. Przynajmniej nie będzie musiała się bać, że dopadnie ją na schodach spragniony krwi szaleniec, który przeżył dzięki zwierzkształtnej zbroi albo innemu śmiercionośnemu wynalazkowi.

Jesteś tam?

Wraz z głosem Mahameniego spłynęła na nią ulga tak oszołamiająca, że musiała oprzeć się o poręcz. Posłała w ciemność niepewny uśmiech, nagle młodsza o dziesięć lat.

Jestem.

Zrobiłem, o co prosiłaś. Zrezygnowałem ze służby.

To dobrze. Czy gdyby rozmawiali normalnie, słyszałyby w jego głosie żal? Mahameni bardzo lubił swoje zajęcie, zdawała sobie z tego sprawę. Nie mówiąc już o tym, że praca w straży była dla niego pewnego rodzaju zabezpieczeniem - dobrze wykonując swoje obowiązki, mógł wierzyć, że ma większą szansę na to, by Przedksiężycowi oszczędzili go przy kolejnym Skoku.

Ciaśniej utuliła się płaszczem, chłód stał z jej twarzy uśmiech.

Miałaś rację, tak będzie lepiej. Dzięki temu szybciej dorwiemy drania. I strzępy jego myśli, coś o dobrej zabawie i daniu nauczki sukinsynowi.

Wyobraziła go sobie - całe mnóstwo entuzjazmu i nic więcej, żadnego żalu czy pretensji. Niemal chciało jej się płakać.

Na to właśnie liczę. Trudno, co się stało, to się nie odstanie.

Co z mieszkaniem pułapką? Wiadomo, do kogo należy?

Ostatni oficjalny właściciel zmarł przed pięcioma Skokami. Potem mieszkanie stało puste, przynajmniej teoretycznie.

A sąsiedzi? Są jacyś?

Nie ma nikogo. Myślisz, że to nie przypadek?

Czy ja wiem ? W Lunapolis, zwłaszcza dalej od centrum, czasem całe dzielnice były puste. Z drugiej strony akurat w tym przypadku ktoś (Issa?) mógł dbać, by do budynku nie wprowadził się wścibski sąsiad czy sąsiadka.

Zostawmy to na razie - zdecydowała - i zajmijmy się Kairą. To ona jest kluczem do sekretów Issy.

Na miejscu Mahameniego Tellis zapytałaby „Jesteś pewna?”. Ostatecznie kapitan już raz się pomyliła. Mehus nie zapytał, a ona nie miała okazji zapewnić, że tym razem ma rację. Wierzyła w to, musiała wierzyć, bo na wycofanie się z kolejnego błędu zwyczajnie nie starczy już jej czasu.

Spróbuj się dowiedzieć, która korporacja stworzyła tę dziewczynę. Od tego zaczniemy.

6

Tej nocy obok wielu drobniejszych incydentów, takich jak kilkanaście aresztowań, trup wyrzucony z okna szpitala uniwersyteckiego, bijatyka ze strażą na placu Solnym oraz parę szyb wybitych w Principium, miało miejsce jeszcze jedno wydarzenie. To, które następnego dnia znajdzie się zapewne na ustach wszystkich mieszkańców Lunapolis.

Kolejny zamach na życie Ibrisa Marely'ego.

W zależności od tego, kto tę historię opowiadał, można było usłyszeć dwie wersje. W pierwszej Marely ocalał dzięki podstawionemu sobowtórowi, który zginął zamiast niego, w drugiej wręcz przeciwnie, inspektor z sobowtóra skorzystać nie chciał, choć mu to proponowano, i sam walczył z napastnikiem, dopóki nie nadbiegli dwaj wierni ochroniarze.

Marely na łamach „Księżycowego Kuriera” odmówił odpowiedzi na pytanie, która wersja zdarzeń jest prawdziwa, co znów zinterpretowano dwojako: jako wyraz tchórzostwa bądź jako dumę człowieka niechętnego temu, by zniżyć się do tłumaczenia rzeczy oczywistych.

Art-morderca nie zginął na miejscu, został jednak tak ciężko ranny, że przesłuchanie odłożono na później. A że owo później

nie nadeszło i skrytobójca przepadł bez wieści w Arkadii - to już umknęło uwagi czytelników.

Lunapolitanie uwielbiali sensację, lecz zawsze mieli krótką pamięć.

7

Pantalekis walczył z Nirajem i przegrał. Nie było w tym nic dziwnego, zawsze przegrywał ich symulowane potyczki. Lecz zazwyczaj syn Issy starał się być wystarczająco ostrożny, by nie zrobić przeciwnikowi krzywdy. Dziś nie, dziś Daniel skończył, siedząc na posadzce sali ćwiczebnej z głową między kolanami, wyrzucając kolację i zastanawiając się, czy za chwilę nie zymiotuje zamienionego w miazgę żołądka.

On wie, przemknęło mu przez głowę.

— Proszę, przestań — wychrypiał, ocierając usta.

— Uważasz mnie za idiotę? — Niraj pochylił się nad nim. Choć może to był Unaj? Pantalekis zazwyczaj ich odróżniał, teraz jednak ból nie pozwalał mu jasno myśleć.

— Uważasz mnie...

— Nie! — krzyknął, płacąc za to kolejną falą mdlącego bólu, który skręcił żołądek. Cóż, wyglądało na to, że przynajmniej wciąż go miał. — Przepraszam, w porządku? Cokolwiek zrobiłem, przepraszam! Słodki Jezu, facet, kompletnie ci odpierdoliło... — dodał już w ojczystym języku.

— Cokolwiek zrobiłem? To znaczy, że ty nie wiesz, co zrobiłeś? Unaj, Pantalekis wreszcie zidentyfikował rozmówcę. Niraj był prostym mięśniakiem, ostatnio nieco zresztą zagubionym. Unaj miał w sobie więcej wyrafinowania, a jego poczucie humoru kojarzyło się z Issą.

— Jeśli masz na myśli to, że ojciec przeze mnie zamienił cię w blaszaka, to nie moja wina. Chciałem dobrze, OK? Zaczynałeś świrować i bałem się o ciebie. O siebie zresztą też — dodał szybko, bo nawet w jego własnych uszach ostatnie zdanie nie zabrzmiało wiarygodnie. — Mamy być partnerami, co oznacza, że musimy na sobie polegać. A jak niby miałbym polegać na

pieprzonym schizofreniku?

— Nie wiem, kto to schizofrenik — oznajmił Unaj. — Mam nadzieję, że mnie nie obrażasz.

— Ależ skąd — zaprzeczył energicznie Daniel. — To po prostu...

— Mniejsza z tym. Naprawdę sądziłeś, że się nie domyślę?

No, trochę czasu ci to zajęło, przemknęło Pantalekisowi przez głowę. Potarł obolały żołądek. Wyglądało na to, że wszystko z nim w porządku. Szorując pośladkami po posadzce, odsunął się od plamy wymiocin i oparł o ścianę. Unaj poszedł za nim, absurdalnie szeroki w ramionach i jeszcze bardziej absurdalnie zwinny, o ruchach miękkich, jakby jego metalowe ciało zrobiono z przelewającej się rtęci. Jednym niedbałym ciosem mógłby rozłupać ludzką czaszkę i Daniel świetnie o tym wiedział.

— Czego ode mnie chcesz? Żebym błagał cię o wybaczenie? Nie ma sprawy, mogę błagać. Przepraszam. Żał mi cię, stary, naprawdę. Powinienem pomyśleć, czym to się może skończyć. W porządku, moja wina, ale chciałem dobrze. Przynajmniej w to... uwierz. — Pod koniec zabrakło mu tchu; łapał teraz powietrze szeroko otwartymi ustami. Pocił się i miał wrażenie, że cały śmierdzi strachem.

— Powinienem cię za to zabić — powiedział Unaj.

Pantalekis nie skomentował, starał się też nie okazać ulgi. Coś takiego zapowiadało zazwyczaj, że przeciwnik jednak zamierza darować mu życie.

— Ale wtedy ojciec zabiłby mnie — uzupełnił zgodnie z oczekiwaniami Daniela Unaj. — Albo przynajmniej wyrzucił z domu, a na to nie mogę sobie pozwolić. Mam swoje plany. Ale teraz obiecasz, że nigdy więcej nie zrobisz niczego za moimi plecami...

— Obiecuję! Nigdy więc...

— ... bo widzisz, może nie jestem tak cwany jak mój ojciec, ale czasem bycie cwany to nie wszystko. Czasem lepiej sprawdza się zwykła, prymitywna siła i umiejętność robienia ludziom krzywdy. A w tym jestem dobry.

Jedną ręką chwycił zdrętwiałego Pantalekisa za gardło, drugą

zbliżył do jego czoła. Daniel zobaczył w rysach mechanicznego wściekłość, ból i nienawiść, zobaczył je tak wyraźnie, jakby patrzył na żywego człowieka. Trwało to ułamek sekundy, po czym emocje spłynęły z twarzy jak fale rozchodzące się na wodzie. Daniel usłyszał cichy, metaliczny szcęk i za późno skrzyknął go z wysuwanymi szponami. Zresztą i tak nie miałyby szansy się wyrwać, Unaj trzymał go mocno i niemal pozbawił tchu.

Wąski, ostry pazur przeorał czoło Pantalekisa, krew zalała oczy. Mężczyzna chciał krzyknąć, ale tylko zacharczał. Przez chwilę miał wrażenie, że Unaj wbija szpon aż do kości i odetnie mu czubek czaszki, by zdjąć ją jak pokrywkę garnka. Mrugając, patrzył na świat przez czerwoną zasłonę, mokre, śliskie ciepło spływało, wpychając się do ust i kapiąc na koszulę.

— ...ooszee...

Unaj puścił go. Daniel zaskowyczał, pospiesznie wytarł twarz.

— Myślisz teraz, że mógłbyś się stąd wynieść, co? — zapytał Unaj.

Daniel wybelkotał coś, co równie dobrze można było wziąć za „tak” lub za „nie”. Oderwał połę koszuli, zwinął ją i przycisnął do rany. Błyskawicznie przesiąkła krwią. Trzeba będzie zszyć, pomyślał tępo.

— Nie martw się, nic więcej ci nie zrobię. Możesz potraktować to jako pamiątkę, a poza tym — rozbawiony ton tak silnie przywodził na myśl Isse, że Danielowi ścierpła skóra — mężczyźnie blizny tylko dodają uroku. Zwłaszcza takiemu jak ty, który i tak nigdy nie odznaczał się urodą. To jak, odpowiesz na moje pytanie?

— Jak...kie pytanie?

— Czy myślisz o tym, żeby odejść, wiesz, cichutko wymknąć się nocą, porzucając nas wszystkich z naszymi problemami i zostawiając liścik? Choć może i bez liściku, nie wyglądasz mi na faceta, który przejmowałby się takimi drobiazgami.

— Myślałem o tym... czasami — przyznał niechętnie. Kolejny oderwany od koszuli kawałek materiału nasiąkał krwią znacznie wolniej.

Pantalekis nabrał w płuca powietrza i wypuścił je w długim,

pełnym ulgi westchnieniu. Nie miał pojęcia, do czego zmierza Unaj, lecz jego instynkt człowieka, który często wpada w tarapaty, podpowiadał, że to koniec, upiekło mu się. Przynajmniej na dziś.

— Ale mój ojciec coś ci obiecał w zamian za pomoc, tak? Bo inaczej już dawno dałbyś nogę. Nie pozwalałbyś mi się tłuc *darakką* i nie szlajałbyś się po mieście, żeby spełniać czyjeś życzenia. Czemu to wszystko robisz?

— Jest szansa, że przyleci tu statek z Nowych Ziem. Z mojego świata, rozumiesz? Moi rodacy. Problem polega na tym, jak się z nimi skontaktować, bo pewnie będą się bali zejść na powierzchnię. Twój ojciec... twój ojciec pokazał mi urządzenie, które przypomina coś, co my nazywamy radiem. Jeśli pożyczysz mi je i jeśli zaniosę sprzęt do tej, jak jej tam, najniższej rzeczywistości, to moi rodacy będą mogli wychwycić sygnał.

Pantalekis nie miał pewności, czy właśnie w tym momencie nie robi z siebie idioty. Mogło być i tak, że Issa oszukał go, twierdząc, że jest jednym z niewielu posiadaczy nibyradia w Lunapolis. Może było ich znacznie więcej. Lecz z drugiej strony ludzie wypytywani o „urządzenie do przesyłania głosu na odległość” wytrzeszczali oczy i zgodnie twierdzili, że coś takiego może i jest w Archiwum, choć nigdy o tym nie słyszeli. Pantalekis miał więc pewne podstawy, by Issie ufać.

A ponadto - jednak o tym już nie zamierzał mówić - moneta, na której przywykł polegać, uważała, że powinien zostać.

— Tylko pytam. — Unaj klepnął Daniela w ramię, niemal jakby byli przyjaciółmi, którym zdarzyła się niewarta wspomnienia bójka. — Zwycła ciekawość. A, i mam nadzieję, że nie chowasz urazy za to.

Skinięciem metalowej głowy wskazał ranę na czole Pantalekisa. Twarz miał bez wyrazu.

— Wróc do swoich pokoi i zaczekaj tam, przyślę służącego, który zrobi z tobą porządek. — Pantalekis musiał mieć niepewną minę, bo Unaj dodał — Czerwona Trójka studiował medycynę.

Daniel wyburczał coś, co od biedy można by uznać za podziękowanie. Nie miał najmniejszej ochoty dziękować, lecz też bał

się tego nie zrobić. Co prawda na razie rzeczywiście mu się upiekło, ale nie świadczyło to wcale, że jest już bezpieczny.

Gdy Unaj wychodził, Pantalekis usłyszał jeszcze coś, co brzmiało jak „Jesteśmy przecież partnerami i musimy na sobie polegać”. Mógł się jednak mylić. Ostatecznie był bardzo zajęty tym, by utrzymać się w pionie na drżących nogach.

8

Sztuczne słońce wielkości piłki unosiło się pod trójkątnym dachem szklarni, rzucając ciepły, złoty blask na plantację. Gdy Olaide Nu spacerował wzdłuż rzędów dojrzewającej bawełny, przy każdym jego kroku unosił się kurz i czasem mężczyzna rozważał, czy nie wyłożyć alei płytkami. Zawsze jednak dochodził do wniosku, że właściwie lubi ten letni, suchy zapach rozgrzanego pyłu.

Woń była bardzo naturalna, a Olaide cenił wszystko, co naturalne. Jego szklarnia, największa w Lunapolis, stanowiła skrawek dawno minionego świata. Zbudowano ją na dachu dwudziesto- piętrowego budynku. Wzdłuż rzędów bawełny można było iść tak długo, aż człowiek tracił z oczu wejście i nie widział jeszcze wyjścia, mijając po drodze dwie zacienione łąki, altankę, a nawet strumyk z wodą krążącą w zamkniętym obiegu. Wrażenie dużej przestrzeni po części było sprytną sztuczką optyczną, ale tylko po części. Plantacja Olaidego naprawdę robiła wrażenie.

Ścisłej biorąc, robiła wrażenie na wszystkich poza sześciorgiem ludzi, którzy siedzieli wokół stołu w altance. Pili wino i jedli brzoskwinie, a pestki rzucali płowemu psu, zapewne jednemu z ostatnich w mieście, zaśmiewając się, gdy zwierzak rozgryzał je mocnymi białymi zębami.— Zobaczcie, jaką ma minę — wołała jasnowłosa kobieta o zbrązowiałej od słońca twarzy, którą jedynie warstwa najdroższych kosmetyków chroniła przed nazwaniem starą. — Biedaczek myśli, że to kość. O, i znowu.

— Głuptas — skomentowała druga, nieco młodsza i zarazem

poważniejsza. Gdy pozostała czwórka chichotała, ona tylko unosiła trójkątne brwi, w których włosy zastąpiono maleńkimi czarnymi piórkami, a na jej ustach błąkał się jedynie pobłażliwy uśmiech.

Najstarszy w tym gronie mężczyzna, którego bosa stopy ubrudzone były po kostki pyłem, rzucił kolejną pestkę. Wysoko, tak że aby jej dosięgnąć, pies musiał dać potężnego susa. Poradził sobie zgrabnie, chwytając domniemany smakołyk w locie, po czym opadł na cztery łapy, zwinny i sprężysty, z sierścią lśniąca w słońcu jak wypolerowana miedź. Starsza kobieta leniwie zaklaskała i najwyraźniej straciwszy zainteresowanie zwierzęciem, spojrzała na Olaidego.

— Dołączysz do nas? Mamy sporo kwestii do omówienia.

Podszedł do stolika, rozcierając w palcach kłaczek bawełny.

— Gotowa do zbiorów? — zapytał bosonogi.

— Jeszcze tydzień, dwa — odparł Olaide.

— Możesz nie zdążyć. — Kobieta, ta młodsza i poważniejsza, odsłoniła drobne, ostre zęby. Nie było w jej rysach nic nieludzkiego, a jednak uśmiech bardziej przypominał ostrzegawczą demonstrację kłów niż wyraz radości. — Lada moment całe Lunapolis zawali nam się na głowy.

— A my jesteśmy tu po to, żeby do tego nie dopuścić. — Olaide gładko wsunął się na swoje miejsce przy stole i sięgnął po brzoskwinie.

9

Z sześciu wybranych na chybił trafił wynalazków, które ukradli z Archiwum, Kairze i Finnenowi jak dotąd udało się rozszyfrować przeznaczenie trzech. Cienka plecionka osłaniająca ramiona oraz głowę sprawiała, że przypadkowy obserwator zamiast noszącej ją osoby widział kogoś dobrze znanego, komu ufał. Dzięki siatkowym rękawicom dłonie nabierały zręczności, a zapinany wokół szyi łańcuch wzmacniał głos.

Mieli też oczywiście wynalazki, których przeznaczenie poznali wcześniej: dodający siły pancierz, Siatkę Ochronną Raivina,

zakładaną na nogi konstrukcję, w której uciekła Arikol. Oraz obrozę - tę nosił Finnen, nikt inny nie potrafił jej bowiem włączyć. Chłopak nie miał pojęcia, dlaczego tak się dzieje - mógł jedynie podejrzewać, że to jeden z wynalazków, które raz uruchomione, odpowiadały wyłącznie na kod genetyczny pierwszego użytkownika. Przynajmniej tak podpowiadał rozsądek. Choć istniała także inna - znacznie mniej prawdopodobna, ale jednocześnie przyjemniejsza dla Finnena - koncepcja, że chłopak mimo wszystko ma w sobie coś, co go wyróżnia i co obroża rozpoznała.

Kaira szczególnie upodobała sobie plecionkę zmieniającą wygląd. Zakładała ją każdego wieczoru, gdy wymykała się z ich mieszkania sama albo w towarzystwie dzieci, najczęściej Nalle lub Tuira. Rzadko pozwalała Finnenu iść ze sobą; twierdziła, że ma ochotę tylko pospacerować po mieście i niepotrzebna jej pomoc.

Wracała nad ranem brudna, w potarganym ubraniu. Zdejmowała je i kładła się obok Finnena, wyczerpana, z tymi swoimi sterzącymi żebrami, opuszkami palców stwardniałymi od trzymania *darakki* i oczami błyszczącymi niczym dwa szkiełka.

— Uzgodniliśmy — mówił Finnen — że nie będziemy się narażać bez potrzeby. Powinnaś przynajmniej pozwolić mi cię chronić.

— Skąd ci przyszło do głowy, że ja się narażam? To nic takiego...

Po czym następowała mętna historia o tym, jak Kaira przypadkiem zobaczyła na schodach zapóźnionego przechodnia, któremu groziło aresztowanie przez straż miejską i któremu pomogła uciec.

— Biegliśmy przez zaułki — mówiła. — Nalle pomógł nas wyprowadzić, on doskonale zna miasto.

Albo:

— Spotkałam grupę dzieciaków wracających z klubu Dwunastu, strażnik na placu Solnym pytał o dokumenty, a one nie miały ich przy sobie, rozumiesz, nie zabiera się papierów w takie miejsca, bo łatwo je zgubić. Strażnik powinien o tym wie-

dzieć, ale nie, wciąż się czepiał, więc odciągnęłam jego uwagę. Nie patrz tak na mnie — mruzczała sennie. — Nie było żadnej bójki, żadnego narażania się.

Zastanawiając się przelotnie nad tym, kiedy to dziewczyna stała się ekspertką od młodzieżowych klubów, Finnen śledził wzór sińców na jej nagim ciele. Sińców ledwo widocznych na tle ciemnej skóry, a przecież wyraźnych, jeśli ktoś o bystrym wzroku wiedział, czego wypatrywać. Fascynował go ich układ, zamazane kontury, nieustępliwość, z jaką rozpełzały się, tworząc mapę nocnych wycieczek Kairy. Obrysowując palcami sinopurpurowe plamy, Finnen czuł się jak odkrywca nowych łądów.

Dziewczyna spoglądała na niego, po czym mrugała, przeciągała się i zasypiała, zwinięta w kłębek, z głębokim westchnieniem kogoś śmiertelnie znużonego, kto jednak wie, że odwalił tej nocy kawał dobrej roboty.

Któregoś ranka tym samym sennym głosem poinformowała go, że wieczorem widziała się z głową Gurleena:

— Zastanowił się już i doszedł do wniosku, że do naszych celów najlepszy będzie Tamsin Korrei. Ma niewielką manufakturę w Głębińcach, produkują tam głównie broń palną. Opłaca straż miejską, żeby zostawili go w spokoju, i udaje przykładowego obywatela, ale w młodości ponoć miewał rewolucyjne ciągoty.

— Można mu ufać?

— Esh uważa, że tak. Mogę na ciebie liczyć, Finnen? Odszukasz Tamsina i pogadasz z irim? Powołaj się na Gurleena, powinno pomóc. — Po czym, nie czekając na odpowiedź, dodała — i nie chodź za mną więcej.

— Nie wiem, o czym mówisz.

W istocie podczas jej nocnych wypraw raz czy dwa próbował dziewczynę śledzić, lecz szybko ją gubił. Kairę prowadził Nalle, który rzeczywiście świetnie orientował się w mieście. Finnen też kiedyś znał w Lunapolis każdy zaułek, kręte schody i wszystkie ciemne bramy, ale to było dawno, w czasach dzieciństwa.

— Przez całą noc nie ruszyłem się z mieszkania, Jaramei i Sura

świadkami.

— Jakby to był dla ciebie jakiś problem — mruknęła Kair a i uzupełniła już z zamkniętymi oczami — przez cały czas miałam dziś wrażenie, że ktoś za mną idzie. Jeśli nie ty, to nie wiem, kto to był.

10

Przez ostatni tydzień świat Mahamieniego skurczył się do archiwów, w których - mężczyzna mógłby przysiąc - kurz leżał chyba nawet tuż po Skoku, a w powietrzu unosił się zapach drewna butwiejącego pod wpływem wilgoci, starych papierów i stęchłego ludzkiego potu, słabszy, ale wciąż wyczuwalny dla zwierzęcego nosa.

Kichnął, opryskując śliną leżące przed nim dokumenty. Psie zmysły źle znosiły kurz i tutejsze zapachy. Mahameni nadawał się do pracy w terenie, a nie do siedzenia za biurkiem i grzebania w szufladach.

Lecz gdy Tellis poprosiła go o pomoc, nawet nie przyszło mu do głowy, że mógłby odmówić.

W nisko sklepionej sali było ciepło. Powietrze, nieruchome i skisłe, dobitnie świadczyło o braku wentylacji, choć na kostkach nóg Mahameni czuł od czasu do czasu wilgotny powiew. Z trudem zwalczył w sobie chęć, by położyć się na posadzce i wciągnąć w nozdrza odrobinę świeżości. Jak to by wyglądało, gdyby ktoś przypadkiem wszedł do Archiwum? Jak powtarzał jego dowódca: „Pamiętajcie, wasze zachowanie jest wizytówką straży, więc żadnego szczerzenia kłów, jedzenia palcami czy siadania na podłodze”.

Mahameni wyszczerzył kły, po czym zamaskował ów grymas zwyczajnym ludzkim uśmiechem. Z pracy w straży co prawda zrezygnował, jednak prowadząc wraz z Tellis prywatne śledztwo, posługiwał się legitymacją, której na szczęście nikt mu dotąd nie odebrał. Nieważny dokument otwierał przed nim wiele drzwi, ale zarazem sprawiał, że Mahameni wciąż czuł się ze strażą związany, zobligowany do lojalności, a tym samym do

przestrzegania określonych norm.

Westchnął, zdmuchując z akt warstwę kurzu. „Chłopiec, wybitny talent do naśladowania ludzkich i zwierzęcych głosów”, przeczytał z wysiłkiem, bo druk był drobny i wyblakły. Nic dziwnego, skoro akta pochodziły z roku 104 przed Przebudzeniem. Mahameni był wtedy małym chłopcem. Kawał czasu dla papieru. Dla ludzko-zwierzęcej istoty zresztą też.

Sięgnął po kolejną kartę do leżącej na biurku, podzielonej na przegródki szuflady.

Brakuje numeru 92N, pomyślał. Trafiliśmy na coś ciekawego?

Nie, odparła Tellis. Jest tutaj. Została w przeszłości, bo ktoś zalał ją kawą.

Może rok 105 sobie darujemy?

Nie, Kaira może być odrobinę starsza, niż na to wygląda.

Może też być znacznie starsza, niż wygląda. Jak jej ojciec.

A czy Issę ktoś pamięta jako dziecko?

Dobra, jestem idiotą, przyznał pokornie, bo przecież to właśnie on znalazł ludzi, którzy przed laty prowadzili z Issą interesy i przy okazji widywali małą Kairę. Przepraszam. Powinienem...

W porządku. Nie traćmy czasu.

Mahameni mechanicznie przeglądał dokumenty w poszukiwaniu brakujących numerów. To był pomysł Tellis - porównać karty zamówień z lat, kiedy musiała zostać stworzona najmłodsza córka Issy, ze spisem wydanych dziewięć miesięcy później dzieci, by w ten sposób zorientować się, co Wieże usiłowały ukryć. Używanie niezgodnych z prawem genotypów, bazowanie na skradzionych projektach - każda korporacja miała coś na sumieniu. Ściślej biorąc, każda z wyjątkiem Chaosu, którą Mahameni odwiedził jako pierwszą, gdyż zgodnie z aktem urodzenia tam właśnie powstał wzór genetyczny Kairy.

Jednak dokumentów dziewczyny w Wieży Chaosu nie było, a dyrektor zapewnił, że jego duszoinżynierowie nigdy nie splamili się niczym, co nie byłoby stuprocentowo legalne.

— To miejsce jeszcze istnieje tylko dlatego, że mam taki kaprys i wystarczająco dużo pieniędzy, aby je utrzymywać —

wyjaśnił z rozbajającym uśmiechem. — Dostajemy tak mało zamówień, że z pewnością wiedziałbym, gdyby coś się działo za moimi plecami.

— Przed laty też by pan wiedział? Powiedzmy, od roku 105 do 100?

— Też. Już wtedy byłem tu szefem i już wtedy klientów mogliśmy liczyć na palcach. Oczywiście nie musi pan mi wierzyć na słowo.

Nie uwierzyli mu na słowo. Lecz sprawdzili dokumenty i dalej wyglądało na to, że najmniej popularna w Lunapolis korporacja rzeczywiście nie ma nic do ukrycia. Zrobili więc listę pozostałych Wież, zaczęli od art-zbrodniarzy, potem przeszli do Ekwilibrium, a następnie do Principium. Mahameni żywił szczerą nadzieję, że tam wreszcie znajda Kairę.

Znów kichnął, kurz paskudnie drapał go w gardło. Żałował, że zapomniał wziąć ze sobą butelkę wody.

Gdy trafiali na niezgodność pomiędzy dokumentacją zamówień a listą wydanych dzieci, zaczynała się ciekawsza część pracy. Trzeba było pogrzebać głębiej w papierach, czasem też Mahameni odnajdywał ludzi pracujących dla korporacji przed laty i groźbą bądź przekupstwem zmuszał ich do wyjawienia sekretu zaginionej karty.

Prawdę powiedziawszy, przekupstwa użył tylko raz, dając w łapę byłemu pielęgniarzowi, a obecnie uzależnionemu od synestetyków ćpunowi, który za jedną działkę sprzedałby własne dziecko. W pozostałych przypadkach suma, jaką Mahameni musiałby zapłacić, znacznie przekraczała jego możliwości, bo dawni pracownicy Wież, ci, którym udało się osiągnąć godną szacunku starość, byli ludźmi bogatymi.

Bogatymi, ale - jak się okazywało - nieszczęśliwie odpornymi na ból.

W ten sposób Tellis oraz Mahameni odnaleźli troje nielegalnych Perfecti, z których - jak wynikało z dokumentów - żadne nie przeżyło swojego pierwszego dorosłego Skoku, zapewne ku wielkiemu rozczarowaniu rodziców, optymistycznie nastawionych albo po prostu bardzo głupich. Trafili też na dwa sobowtóry słynnego niegdyś aktora Irshika Naridu, parę

klonów wyższego niż ósmy rzędu (prawo dopuszczało klonowanie do siódmej kopii) oraz kilkanaście dziwadeł, pozbawionych jakichkolwiek zdolności, głuchych i ślepych seksualnych zabawek, które znikwały w przeszłości, zanim znalazły sposób, by poskarżyć się na swój los - i zanim znudziły się swym twórcom.

Sporo tragedii i jeszcze więcej nieprawości, lecz ani śladu Kairy.

Myślisz, że Kairę stworzono na podstawie skradzionego projektu?, zapytał. Jeśli tak, to czyjego? A może ona jest Perfecti, która jakimś cudem przeżyła tak długo? Albo...

Albo Kaira to autorski projekt Brina Issy, podpowiedziała Tellis.

Ale przecież nikt nie zabrania tworzyć dzieci na podstawie autorskich projektów, dlaczego więc Issa miałby chcieć to ukryć?

Bo Kaira jest na tyle specyficzna, że nikt nie powinien wiedzieć, jakimi cechami dysponuje? Zresztą mniejsza z tym, to tylko teoria. Jak ci idzie?

Powoli kończę.

Podzielili się w ten sposób, że Mahameni w teraźniejszości przeszukiwał szafki stojące po lewej stronie od drzwi wejściowych, podczas gdy Tellis w przeszłości przeglądała zawartość szafek znajdujących się po stronie prawej. Mehus miał więcej pracy, bo z konieczności musiał także zająć się zamówieniami zastrzeżonymi, które zabezpieczano tak, by ich kopie rozpadały się w chwili Skoku. Zazwyczaj kapitan kończyła szybciej.

Jedna szafka oznaczała zazwyczaj około trzech godzin śledzenia nad papierami. W archiwum Principium szafek zawierających dokumenty z odpowiedniego okresu było osiemnaście. Razem pięćdziesiąt cztery godziny, do czego trzeba jeszcze dodać przerwy na sen i na sprawdzanie obiecujących tropów. A w Lunapolis było jedenaście podobnych korporacji.

Mahameni Mehus nie był szczególnie dobry z matematyki, umiał jednak obliczyć, że w takim tempie śledztwo zajmie im nie dni, lecz tygodnie. Nie mieli tyle czasu.

Pamiętaj, że pozostałe Wieże nie są tak popularne, więc

zamówień będzie tam odpowiednio mniej, odezwała się Tellis z niezmaconym spokojem. Poza tym nie sądzę, żeby Issa zwracał się do mniejszej korporacji.

Bo w większej łatwiej ukryć szwindel?

Też, a poza tym Issa lubi to, co najlepsze. Większe korporacje cieszą się lepszą opinią, tu pracują zdolniejsi duszoinżynierowie. To dla Issy ważne.

Dobrze go znasz.

Żyję w jego domu, jem przy jego stole, sypiam w jego łóżku i siadam za jego biurkiem. Jasne, że go dobrze znam. Choć - gdy to przyznała, w jej głosie Mehus wychwycił cień frustracji - nie aż tak, jak chciałabym znać.

Gdy jego kieszonkowy zegarek wskazał północ, Mahameni odłożył na miejsce ostatnią szufladę. W progu jak na zawołanie pojawiła się pracownica korporacji, znacząco pobrzękując kluczami.

— Zamierza pan jeszcze pracować? Jeśli tak, przekażę trzeciej zmianie...

— Nie trzeba. Już skończyłem.

Poprowadziła go krętym korytarzem aż do wyjścia, jakby obawiała się, że po drodze wsunie się cichcem do któregoś z widocznych za okratowanymi drzwiami pomieszczeń, by wykraść sekrety duszoinżynierii. Zerkając pomiędzy roślinnymi wzorami krat, Mahameni widział kule świetlikowego blasku dryfujące poprzez złocisty półmrok, a także poruszające się na tle złotych ścian cienie, nietoperzowe i zniekształcone, z wodnymi refleksami drgającymi wokół stóp. Słyszał wysoki, wibrujący dźwięk piłowanej kości, szcęk metalu uderzającego o metal i ciche, uspokajające pomruki na granicy słyszalności.

Nie wszedłby tam, nawet gdyby go zaproszono.

Wyszli na schody wijące się wokół wieży korporacyjnej i zjechali nimi. Mahameni postawił kołnierz płaszcza dla ochrony przed ostrym wiatrem.

— Znalazł pan to, czego szukał? — zapytała jego towarzyszka.

— Jeszcze nie wiem — odparł zgodnie z prawdą.

W kieszeni miał kartkę z wynotowanymi brakującymi numerami. Być może Kaira okaże się jednym z nich.

Tellis wypila ostatni łyk wody i zjadła ostatnią kanapkę. Która mogła być godzina?

Późna, uznała. To wystarczyło, bo w przeszłości precyzyjne określenie czasu miało znaczenie tylko wtedy, gdy umawiała się na rozmowę z Mahamenim. Poza tym znaczenie miały tylko świt i zmierzch, a dobę dzieliła na pory, kiedy czuła się głodna albo zmęczona.

Teraz nadszedł czas, by położyć się do łóżka, mówiło jej ciało.

Zastanowiła się, czy warto wracać do domu Issy, i doszła do wniosku, że nie. W mieście nie działała już większość latarni, czekałaby ją więc droga przez gęstą, bezksiężycową i mroźną ciemność, spacer po śliskich stopniach z sercem skaczącym do gardła na odgłos najlżejszego szmeru.

Nic z tego, prześpi się tutaj. Była przygotowana na taką ewentualność. Miała ze sobą koc i dodatkowy sweter, gdyby noc okazała się szczególnie chłodna.

Najpierw jednak obeszła całą Wieżę Principium. Towarzyszyło jej kilka coraz słabszych świetlików. Unosiły się na wysokości twarzy, blade, lecz wciąż wystarczająco jasne, by nie potykała się na schodach. Obejrzała sale operacyjne z okrągłymi basenami przykrytymi przez zakurzone szyby, szuflady pełne metalowych instrumentów: haków, rozwieraczy i skalpeli, pękate butle leków oznaczone symbolami wypisanymi wyblakłym atramentem, stalowe ramiona mikroskopów i zakurzone płyty Merlinga, na których duszoinżynierowie manipulowali DNA ledwo rozwiniętych płodów. Sztuczne, przenośne łona oraz pojemniki z ciekłym azotem.

W pomieszczeniach wciąż unosiła się woń środków antyseptycznych i czegoś jeszcze, co Tellis odlegle kojarzyło się ze strachem i nadzieją jednocześnie. Zapach wierzących się, przywiązanych pasami do krzesel, nerwowo przełykających ślinę i śledzących refleksy światła na chirurgicznych narzędziach. I woń matek czy ojców, którzy przychodzili odebrać swoje dzieci,

zawinięte w kocyk popłakujące maleństwa.

Na jednym z wyższych pięter znalazła okrągłą halę, w której z sufitu zwieszały się - niczym kiście metalowych owoców - sztuczne łona. Gdy trąciła jedno ramieniem, z wnętrza wysypał się kurz.

Tu dorastała Erla, a wcześniej sama Tellis. Włożyła dłoń do środka i wyczuła nikły ślad wilgotnego ciepła, jakby trzymała rękę w obłoku pary. Kilka kroków dalej jej nozdrza zaatakował smród rozkładu.

Truchelko było maleńkie, zmumifikowane i wielkogłowe, z rachitycznymi rączkami i nóżkami. Projekt tak nieudany, że Przedksięźcowi nie pozwolili dziecku się narodzić? Najwyraźniej. Tellis mogłaby się założyć, że korporacje trzymają podobne incydenty w tajemnicy; ktokolwiek dziecko zamówił, nie został poinformowany, iż maleństwo zostało z tyłu.

Być może podczas Skoku zostawało z tyłu więcej dzieci, niż można by przypuszczać.

Tellis gwałtownie ruszyła do wyjścia. Osłabione świetliki ledwo za nią nadążały, gdy szła korytarzem. Byle dalej, poza strefę zapachu środków antyseptycznych, strachu i nadziei.

W jednym z pomieszczeń biurowych otworzyła okno. Wychodziło na podniebny trakt, którym coś się zbliżało. W mroźnej ciszy kapitan wyraźnie słyszała chrzęst śniegu i poskrzypywanie rdzewiejącego organizmu.

Mechaniczny?, przemknęło jej przez myśl.

Nie, nie mechaniczny. Oczywiście, że nie. Oni przecież zostaną z tyłu dopiero podczas ostatniego Skoku.

A więc mechanoid. Co on robi tak wysoko? Żeby tu się dostać, musiał najprawdopodobniej wejść ruchomymi schodami, co nie było przecież niemożliwe, schody były wystarczająco szerokie...

Nie było niemożliwe, ale trudne do wykonania i niebezpieczne dla animatora, który siedział w tej chwili wewnątrz metalowego zwierzęcia. Poręcz, zamontowana na wysokości pasa człowieka, nie chroniła mechanoida. Zbyt wysoki, gdy brał ostry zakręt, mógł w każdej chwili spaść i rozbić się na schodach

kilkadziesiąt metrów niżej.

Kociopodobny konstrukt wynurzył się z mgły tuż przed jej twarzą. Lewe ślepie płonęło czerwienią prawe, zmętniałe, zamigotało kilka razy słabym blaskiem i zgasło. Kapitan wstrzymała oddech. Maszyna pochyliła łeb, jakby chciała, żeby ją pogłaskać. Na metalu z prawej strony, tuż obok nieczynnego oka, widniało wgniecenie i głębokie rysy, przypominające ślady pazurów. Co mogłoby uszkodzić mechanoida? Zwierzozbroja? Inny mechanoid?

— Sumil? — powiedziała Tellis niepewnie, bo przyszła jej do głowy absurdalna myśl, że to animator, który jakimś cudem ją tu znalazł. Straciła z nim kontakt mniej więcej przed tygodniem, gdy nie stawił się na spotkanie, i uznała, że nie żyje bądź jest ciężko chory. Może się myliła?

— Wróciłeś mi pomóc?

Stworzenie potrząsnęło łbem. Oczywiście to nie był Sumil, jakże mógłby być?

Czując się jak we śnie, Tellis wyciągnęła rękę i dotknęła blizn na metalowej skórze. Przez moment prawie uwierzyła, że będą ciepłe i śliskie od krwi. Zwierzę patrzyło na nią łagodnie jednym okiem. Blizny były wilgotne od szronu, który topniał pod jej palcami.

Cofnęła się. Mechanoid skinął głową, odwrócił się i zniknął w ciemności.

Tellis powoli wypuściła powietrze z płuc. Przez ostatnią minutę chyba zapomniała oddychać.

Wiedziała, że dziś już nie zdoła zasnąć, wróciła więc do archiwum. Skoro już tu była i nie miała ochoty na sen, to może zdoła pożytecznie wykorzystać resztę nocy.

Przez jakiś czas przeglądała akta sprzed roku 105, na wszelki wypadek, gdyby Kaira jednak była starsza. Potem dała sobie spokój i przeszła do szafek oznaczonych napisem „Katalog wzorów”. Wyjęła kilka szuflad i zaniósła je na biurko. Świetliki były coraz bledsze, sięgnęła więc do kieszeni płaszcza po świecę, którą dotąd oszczędzała, wiedząc, że w Wieży Principium przyjdzie jej spędzić całą noc.

Złoty krąg blasku odepchnął ciemność. Tellis przez chwilę

Irzymała dłonie nad płomieniem, ciesząc się ciepłem. Potem wróciła do zawartości szuflad.

Przeglądała je raczej z ciekawości niż w nadziei, że znajdzie tu córkę Issy. Ostatecznie o Kairze nie wiedziała nic ponad to, jak dziewczyna wygląda. Mogło nią więc być każde ciemnoskóre, docelowo wysokie dziecko płci żeńskiej.

Wyglądało na to, że w roku 105 przed Przebudzeniem największą popularnością wśród rodziców cieszyło się piękno. Prawie każdy, kto zamawiał córkę, chciał, aby porażała urodą, co rzecz jasna wiązało się ze znacznie obniżoną inteligencją i brakiem talentów. Pozostałe wzory także nie grzeszyły oryginalnością: dziewczynki zamawiane w tym okresie miały ładnie tańczyć, śpiewać, grać na harfie, mieć dryg do robótek ręcznych czy malowania akwarelami. Nic ciekawego.

Tellis sięgnęła po kolejną szufladę, zaintrygowana, jak przez lata kształtował się gust lunapolitan. Rok 149 - pokolenie, z którym dorastała.

Tu piękności było mniej, za to popularnością cieszyło się dawanie dziewczynkom cech powszechnie uważanych za męskie. Siła fizyczna i wytrzymałość, talent do walki *darakką*, a nawet do boksowania, zdolności przywódcze, umiejętność analitycznego myślenia, mało empatii.

Ciekawe, czy matka kazała stworzyć Tellis na fali takiej właśnie mody? Kapitan nigdy wcześniej o tym nie myślała.

Jednym z oryginalniejszych projektów była pewna brzydula zapisana pod numerem 83L. Akta starannie wymieniały wszystkie jej niedoskonałości: zbyt krótkie nogi i przesadnie szerokie uda, płaski nos, nieregularne rysy twarzy, nawet paznokcie ze skłonnością do wrastania. Ale do tego dziewczyna obdarzona została magnetycznym urokiem, którego sekret, jak Tellis wywnioskowała z zapisków, opierał się na spec'alnie dobranej kombinacji wzmocnionych feromonów.

Kapitan potrząsnęła głową. Ludzka kreatywność nie przestawała jej zadziwiać.

Następna szuflada - rok 200.

Kartkowała kolejne akta i następne, coraz mniej zainteresowana treścią.

Wróc.

Gdzieś mignęło znajome nazwisko. Cofając się, zaczęła przeglądać wzory raz jeszcze, tym razem zwracając uwagę na dane zamawiającego.

Neeh Darika.

Kobieta, którą Tellis widziała wychodzącą z gabinetu Brina Issy i która, jak wynikało z informacji zebranych przez Mahameniego, często się z ojcem Kairy widywała.

Jasnowłosa piękność w futrze nie wyglądała na matkę, zatem z czystej ciekawości Tellis przysunęła kartę do świecy. Nie musiała wyteżać wzroku - w poprzek strony biegł tylko jeden duży napis:

„Powtórzyć wzór nr 37A/203”.

Neeh Darika zamówiła sobie kopię powszechnie dostępnego wzoru? To było możliwe, sporo ludzi tak robiło, jednak przyjaciółka Issy, podobnie jak sam Issa, sprawiała wrażenie zbyt wyrafinowanej, by zadowolić się podobnym rozwiązaniem.

Issa chciał tego, co najlepsze. Neeh Darika prawdopodobnie też.

Tellis oderwała świecę od blatu biurka i przeszła z nią w kąt sali. Wspomniany numer oznaczał zamówienie z roku 203. Powinno być gdzieś tu.

Znalazła odpowiednią szufladę, wyjęła ją i położyła na posadzce, nie kłopotując się powrotem do biurka. Kucnęła, krzywiąc się, gdy w kolanach usłyszała wyraźny trzask. Gorący wosk kapął jej na dłoń. Postawiła świecę na podłodze.

Wzór nr 37A/203 został zamówiony przez Iocati Tarkesha. Serce Tellis zaczęło bić szybciej. Spokojnie, nakazała sama sobie, to pewnie nic takiego.

Ale przecież Tarkesh także dobrze znał Issę. Prawdę mówiąc, jak wynikało z informacji zebranych przez Mahameniego, był wraz z Dariką jedną z niewielu osób, z którymi ojciec Kairy widywał się dla towarzystwa.

„Odcień skóry w tonacji czekoladowego syropu, oczy zielone, kształt twarzy bardziej wydłużony. Reszta jak we wzorze 23E/204”.

Czując się jak w dziecięcej grze, w której jeden trop prowadzi

do drugiego, a ten do kolejnego, kapitan odnalazła wskazany numer. Stworzona w roku 204 przed Przebudzeniem dziewczynka pewnie już nie żyła.

Żył za to człowiek, który zamówienie złożył. Irmi Janadra. Kolejny dobry znajomy Brina Issy.

Tellis odetchnęła, starając się opanować podniecenie. W długowieczności Issy oraz jego przyjaciół nie było nic niezwykłego, znała ich tajemnicę. Ale żeby trzy bliskie osoby z tego kręgu zamówiły niemal identyczne córki? I żeby dziewczynki te, sądząc po opisie numeru 23E/204, wyglądem zaskakująco przypominały Kairę? To nie mógł być przypadek.

Spłynęło na nią olśnienie: jeden z tych momentów, kiedy okazuje się, że klocki z dwóch na pozór różnych zestawów nagle do siebie pasują.

Ciemnoskóre dziewczynki-klony zamawiane przez Issę oraz jego przyjaciół.

Ciemnoskóre dziewczynki-klony znalezione swego czasu w Kwartale Kandrisa, jedna z największych zagadek Lunapolis, która fascynowała kolejne pokolenia strażników.

To była jedna i ta sama sprawa.

12

— Przyniosłem kolację, panie. — Sługa położył tacę na stoliku i skłonił się.

— Dziękuję. — Marely uniósł wzrok znad dokumentów, które trzymał w ręku. — Możesz odejść. Albo nie, zaczekaj.

— Życzy pan sobie, abym spróbował jedzenia? Już próbowałem, lecz oczywiście mogę to zrobić jeszcze raz na pana oczach.

— Nic w postawie służącego nie świadczyło, że w jakikolwiek sposób czuje się urażony brakiem zaufania.

— Spróbuj.

Inspektor obserwował, jak niski, schludny człowieczek unosi pokrywę. Z kieszeni wyjął własny widelec, wytarł go w chustkę, po czym oszczędnymi ruchami zjadł po odrobinie z każdej potrawy, wciąż spokojny, jakby posilał się w najlepszej restau-

racji, a nie kosztował potencjalnej trucizny. Odime był jednym z niewielu pozostałych w Lunapolis żywych służących. Tacy jak on niegdyś cieszyli się popularnością - ludzie urodzeni do służby bądź ci, którzy służbę dobrowolnie wybrali, przeszli genomianę i uczynili z całkowitego podporządkowania drugiemu człowiekowi sposób na przetrwanie. Wraz ze wzrostem liczby tańszych w utrzymaniu, silniejszych i bardziej wytrzymałych mechanicznych popyt na ich usługi zmalał; żywych służących było coraz mniej, a ci, którzy się trafiali, nie przypominali swych poprzedników. Arogancy bądź przesadnie lizusowaci, nie wiedzieli, jak się zachować, ich umiejętności zaś pozostawiały wiele do życzenia. Marely sporo się natrudził, zanim znalazł służącego ze starej szkoły, był jednak zadowolony. Odime - grzeczny, a zarazem zdystansowany, cichy, dokładny i bystry - wydawał się wyborem jeśli nie całkowicie idealnym, to przynajmniej bardzo ideału bliskim.

Niewielki mankament polegał na tym, że Marely wciąż nie wiedział, czy może mu ufać.

— Coś jeszcze, panie? — Służącemu jak widać kolacja nie zaszkodziła.

— Tak. — Inspektor zdecydował się. — Powiedzmy, że potrzebowalibyśmy usług zdolnego detektywa niezwiązanego ze strażą miejską. Czy znasz kogoś, kogo mógłbyś mi polecić?

Jak na doskonale wytresowanego służącego przystało, na twarzy Odimego nie drgnął ani jeden mięsień.

— Merha Nomahan, panie. To starsza pani, właściwie już bardzo stara. Rzadko wychodzi z domu, ale ma na swoje usługi gromadę młodych ludzi, którzy szkolą się przy jej boku. Są jej rękami i oczami, jeśli można tak powiedzieć. Jest niezwykle bystra, czasem można wręcz odnieść wrażenie, że siedząc w mieszkaniu, wie znacznie więcej o tym, co się dzieje na mieście, niż ci, którzy na co dzień chodzą po placach.

— I ta... staruszka, gdzie mieszka?

— W Przedświecie, pod numerem 32, przy placu Harmonii.

— A ty skąd o niej wiesz? Potrzebowałeś kiedyś usług detektywa?

— Nie, panie. Zresztą nie byłoby mnie na nią stać, bo pani

Nomahan liczy sobie dziesięć surimów od porady. Ale pochodzą z Przedświatu, a tam wszyscy ją znają.

13

Gdy następnego ranka inspektor zakołatał do drzwi Merhy Nomahan, wciąż nie opuszczały go wątpliwości.

Staruszka, która nie wychodzi z mieszkania - to nie brzmiało dobrze. Z drugiej strony to, że miała na swoje usługi armię młodych, chętnych do prowadzenia śledztwa ludzi, wróżyło nie najgorzej. Być może tyle wystarczy.

Otworzyła mu osobiście, drobna i skurczona jak wyschnięty na słońcu owoc morwy. Siwe włosy nosiła splecione w warkocz, który związała na końcu wstążką błękitną jak jej oczy. Dziewczęca zawadiackość kokardy na chwilę wytrąciła Marely'ego z równowagi.

— Witam, jestem...

— Wiem, kim pan jest. Od tygodni widuję pana zdjęcia w gazecie. Proszę wejść.

Spodziewał się, że pomieszczenie, do którego go zaprowadzi, będzie przytulne i staroświeckie, pełne dzierganych serwetek, bibelotów oraz pamiątek długiego życia, salonik jednak okazał się zaskakująco chłodny i niemal pusty. Szesnaście gładkich ścian z lapis lazuli sprawiało, że przywodził na myśl podwodną jaskinię, pośrodku której stały dwa ciężkie fotele oraz zaskakująco delikatny stolik z niebieskiego szkła. Nomahan usiadła w jednym z siedzisk, nietypowo jak na staruszkę, bo ze skrzyżowanymi nogami. Jej oczy wydawały się zimniejsze niż w korytarzu, lecz może był to efekt wszechobecnego błękitu. Uwagi Marely'ego nie uszło, że nie zaproponowała żadnego poczęstunku.

— Chce pan, abym pomogła panu w pracy?

Mięśnie na szczękach mężczyzny drgnęły lekko. Co ona sobie wyobrażała?

— Dziękuję, z pracą doskonale sobie radzę — odparł po chwili milczenia. — Jest natomiast inna sprawa, prywatna, na którą z

powodu nawału obowiązków nie mam czasu.

Nomahan skinęła głową. Marely miał nieprzyjemne wrażenie, że ona wie. Wie o przeszkodach, na jakie się natykał, o murze milczenia i sieci wzajemnych powiązań, które rozplątywał, ujawniając kolejne nieprawidłowości w działaniu straży miejskiej. Wie o wrogości przesłuchiwanym, gotowych wyprowadzać go w pole, nawet jeśli pytał o drobiazgi, które w niczym nikomu nie mogły zaszkodzić. Wszystkie te uciążliwości traktował jak zło konieczne; to, że ludzie nie darzyli inspektora sympatią, świadczyło o tym, że praca, której się podjął, ma sens, podobnie jak zamachy na jego życie świadczyły nader często, że zbliża się do prawdy. Dlatego nie zamierzał narzekać i radził sobie - może wolniej i z większym trudem, niżby chciał, ale jednak radził.

Z jednym wyjątkiem. W sprawie grupy ukrywającej się w noc Skoku w dzielnicy sierot udało mu się ustalić jak dotąd jedynie kilka faktów.

Starzec, którego polecono mu oszczędzić, nazywał się Esh Gurleen.

Tenże Esh Gurleen przez długi czas pracował jako wychowawca córki Brina Issy, obecnie uważanej za zmarłą. Jej rysopis mniej więcej odpowiadał opisowi dziewczyny, której Marely - dawny Marely - także miał darować życie.

Tuż po przeniesieniu Gurleena do Arkadii więzienie odwiedził mężczyzna wyglądający jak Brin Issa - tego inspektor raczej się domyślił z reakcji dyrektor Suhenri na pokazane jej zdjęcie, kobieta, jak wiele innych osób, dość niechętnie udzielała bowiem informacji.

— I co pan podejrzewa? Że Issa polecił przenieść świadomość Eshy Gurleena do mechanicznej głowy, a potem umieścić ją w Muzeum Sztuki Użytkowej? Że być może jest także winny śmierci chłopaka jak-mu-tam?

— Teccalis Dime. Nikt ważny czy szczególnie uzdolniony. Mógł umrzeć z szoku i bólu, to się czasem zdarza. Nie każdy jest w stanie wytrzymać dłuższe tortury. Ale to dziwne, że akurat jego zeznania gdzieś się zawieruszyły, prawda?

— Gdyby znał pan Arkadię lepiej, wiedziałby, że nie ma w tym

nic dziwnego. Niemniej owszem, akurat w tym konkretnym przypadku może mieć pan rację. Rozumiem, że nie ma pan żadnego świadka: Dime nie żyje, a z głowy trudno wydobyć zeznania.

Marely przytaknęła niechętnie.

— Myślałem, żeby postarać się o nakaz i zabrać ją do siebie. Może zdołałbym na nią jakoś wpłynąć...

— Nie sądzę — w głosie Nomahan zabrzmiała złośliwa nutka.

— Nie da się zastraszyć mechanicznej głowy, skoro nie ma zakończeń nerwowych, nie odczuwa zmęczenia ani potrzeby snu. Wpadłam na lepszy pomysł. Może dowie się pan, po co umieszczono ją w muzeum? Zastanawiał się pan nad tym?

— Nie. To ważne? Myślałem, że może trafiła tam przypadkiem.

— Niechże pan nie będzie naiwny. Muzeum to ogólnie dostępne miejsce. Dla mnie oczywiście jest, że ktoś - być może rzeczywiście Brin Issa - wysłał tam głowę, żeby można się było z nią skontaktować.

— Zwiedzający nie mogą rozmawiać z eksponatami. One znajdują się za dźwiękoszczelnymi szybami — zaprotestował Marely.

— Doprawdy? I pomiędzy tymi szybami nie ma przypadkiem żadnej, nawet najmniejszej szpary?

Inspektor poczerwieniał lekko.

— Co więc pani proponuje?

— Obserwować głowę. Zaczekać i zobaczyć, kto przyjdzie z nią porozmawiać.

— Nie mam na to czasu. Moje obowiązki...

— Och, oczywiście, lunapolitańska straż bez pana sobie nie poradzi. Zlecę to zadanie jednemu z moich ludzi. Rzecz jasna — uśmiechnęła się radośnie, dzięki czemu odmłodziła o dziesięć lat — pan zapłaci. I jeszcze jedno: ów mężczyzna w masce sowy, który pana wynajął...

— Który wynajął moją poprzednią osobowość — poprawił Marely.

— Mniejsza z tym. Rozumiem, że to nie Issa?

— Nie, poznałbym go po głosie. Prawdopodobnie Issa znalazł

kogoś.

— I ten ktoś przyszedł na spotkanie z dzieckiem? Nie wydaje mi się. Ale niech się pan nie martwi, z tą zagadką też sobie poradzimy. Przesłuchiwał pan Isse?

— Tylko w sprawie Gurleena. Przyznał, że mężczyzna kiedyś pracował jako preceptor jego córki, ale twierdzi, że potem zerwali kontakt. Bez konkretnego dowodu nie chciałem wspominać o wizycie w Arkadii.

— Bardzo dobrze. To chyba jedyna rozsądna decyzja, jaką pan podjął, bo obawiam się, że plotki o pana zainteresowaniu Issą i tak już się rozeszły. Resztę niech pan zostawi mnie.

— Ale...

— Nie stać pana na moje usługi?

— Oczywiście, że mnie stać. Jestem najlepiej opłacanym...

— Zatem nie ma się pan czym martwić. Proszę skupić się na swojej pracy i unikać zamachowców. Jeśli uda się panu przeżyć, proszę przyjść za trzy dni, przedstawię wtedy pierwsze wyniki.

Po niemal niezauważalnej chwili wahania Marely skłonił się oficjalnie. Merha Nomahan nie zaproponowała, że odprowadzi go do drzwi.

Przed budynkiem czyhał reporter z wycelowanym aparatem fotograficznym. Marely skręcił, odwracając się plecami, jednak za późno. Zacisnął zęby. Cóż, sława miała cenę. Jutro w jednej z popołudniówek ukaże się jego zdjęcie, a podpis prawdopodobnie będzie brzmiał: „Inspektor Ibris Marely odwiedza detektywa. Czyżby nagle zwątpił w swoje umiejętności?”.

14

— Nie masz zamiaru znaleźć Tamsina Korrei? — zapytał Finnen.

— Na razie nie — odparł Finnen. — Kaira sądzi, że próbuję, ale ja wolę zaczekać.

— Nie ufasz Gurleenowi, co? — Finnen wyszczerzył zęby do Finnena.

— Nie. Im dłużej o tym myślę, tym mniej prawdopodobne mi się wydaje, że to Dime na nas doniósł.

— Ale Gurleen?

— Pamiętasz resztki herbaty z wódką znalezione w kubkach? Dzieciaki piły tamtej nocy, co znaczy, że Gurleen na to pozwolił. Sam prawdopodobnie też się upił.

— Gurleen pił zawsze.

— Wcale nie. Nie w sytuacjach, kiedy trzeba było zachować ostrożność. A tamtej nocy wiedział przecież, że może będą musieli uciekać. Mimo to pozwolił na picie.

— Co z tego wynika?

— Ze wiedział, co się stanie, i nie chciał, żeby dzieciaki zwały czy walczyły. Albo, w miarę swoich możliwości, pragnął im oszczędzić cierpienia. Sobie też.— Gdyby Gurleen zdradził, nie skończyłby jako mechaniczna głowa.

— To jest pewien problem — przyznał niechętnie Finnen Pinnenowi. — Ale czy sama sytuacja, że osobliwym trafem głowa trafiła do muzeum, gdzie Kaira wciąż może z nią rozmawiać, nie jest podejrzana?

— Być może. Brakuje ci guzika przy koszuli.

— Tobie też.

Finnen sięgnął po płaszcz, odwrócił się i wyszedł, zostawiając Finnena w fotelu przed piecykiem z tomikiem wierszy Dulali Rajsy na kolanach. Przelotnie rozważył, co się stanie, jeśli tamten guzik przyszyje - czy po połączeniu będzie miał na sobie koszulę z guzikiem, czy bez? Trzeba będzie kiedyś spróbować, postanowił. Bawiły go podobne eksperymenty, tak samo zresztą jak i rozmowy z samym sobą. Dyskusje te pomagały mu uporządkować myśli.

W bramie naprzeciwko zaczekał, aż Kaira wyjdzie z budynku, lak jak się spodziewał, towarzyszył jej Nalle. Ramiona chłopca pod kurtką były absurdalnie szerokie, co świadczyło, że założył dodający siły pancerz. Połowę pancerza, poprawił się Finnen, bo nawet Nalle nie był na tyle głupi, by biegać po mieście w żelaznych gaciach.

Finnen ruszył za dzieckiem i dziewczyną obiecując sobie, że tym razem ich nie zgubi.

Lunapolis wydawało się... inne. Co dziwniejsze, w pierwszej chwili chłopak nie potrafił określić, na czym owa inność miała-
by polegać. Wzdłuż schodów ciepłym blaskiem wciąż płonęły
latarnie o fantazyjnych kształtach, a z szeroko otwartych drzwi
kawiarni i klubów dobiegały odgłosy zabawy. Co prawda część
lokali decyzją prezydenta miasta została zamknięta, a
funkcjonowały jedynie te, które mogły sobie pozwolić na
opłacenie strażnika pilnującego porządku. Było ich jednak
wystarczająco dużo, by podtrzymać złudzenie, że w Lunapolis
nic się nie zmieniło.

Złudzenie, które szybko bladło, bo przecież zdarzało się i tak,
że Kaira oraz Nalle - a w ślad za nimi Finnen - przecinali
niemal wyludnione place lub wspinali się schodami, które
pokrywała gładka, ledwo naruszona warstwa świeżego śniegu.
W takich miejscach samotni przechodnie przyspieszali kroku,
kuląc się i rzucając nieznajomym nerwowe uśmiechy, jakby
zawczasu próbowali odgadnąć, czy mają do czynienia ze
zwykłymi mieszkańcami, czy może z przedstawicielami straży.

W innych z kolei miejscach ludzi wydawało się za dużo -
wychodzący z nielicznych wciąż czynnych teatrów, galerii,
kabaretów czy klubów *darakka* woleli wracać do domów
razem, szli więc objęci przez całą szerokość schodów, zdzierali
sobie gardła, przekrzykując nawoływania strażników, i błyskali
w półmroku spoconymi twarzami. Jeszcze inni zbierali się na
placach w płochliwe, niewielkie grupki, gotowe w każdej chwili
rozpaść się i wtopić w ciemność, po czym wychynąć z niej jak
na zawołanie, gdy tylko zniknie kołująca nad placem skrzydlata
postać.

Finnen mógłby uchodzić za jednego z przechodniów, którzy
przemykali pod ścianami, lecz Kaira i Nalle nie należeli do żad-
nej z grup - ani do tchórzliwych, którzy chcieli jak najszybciej i
bez kłopotów wrócić do domu, ani do spiskowców, ani tym bar-
dziej do tych, którym odwagi dodały alkohol oraz towarzystwo
przyjaciół. Dziewczyna i dziecko po prostu szli przez miasto,
niezbyt szybko, ale też i nie powoli, gawędząc i nie zwracając
uwagi na strażników. Ci przysiadali na oplatających budynki
konstrukcjach niczym wielkie ptaki, nieruchomi tak bardzo, że

Finnen podejrzewał ich o używanie jeszcze jednego wynalazku - ten posągowy spokój, ta zdolność niemal idealnego wtopienia się w mrok nie mogły być naturalne. A potem bezruch pękał i strażnik zrywał się do lotu, wlokąc za sobą po ziemi skrzydlaty cień.

Na Schodach Woskowych minęli mężczyznę, który - oparty o drzwi sklepika ze świetlikowymi lampkami („Sprzedaż, programowanie, naprawa w domu klienta”) - perorował głośno, wymachując przy tym dłońmi. Nos miał rozbity, po podbródku ciekła mu krew, lecz zamiast ją wytrzeć, od czasu do czasu wskazywał pokiereszowaną twarz, biorąc na świadka swojej krzywdy każdego, kto tylko chciał słuchać.

Na placu Klepsydr, zaplątana w konstrukcję otaczającą siedzibę Banku Acharjan, wisiała maska Przedksiężycowego - wysoka na pół metra blada twarz ze sztywnego papieru lub gipsu, z oczodołami płonącymi czerwienią i z rozwartymi ustami. Zimne podmuchy szarpały doklejonym do maski kapturem. Całość była prymitywna, a jednak Finnen odruchowo przyspieszył kroku. Wzdrygnął się, gdy uderzył w niego wiatr.

Na Schodach Węgielnych stracił Kairę i Nallego z oczu. Już myślał, że zgubił ich na dobre, lecz na szczęście, gdy się rozdzielił, jeden z Finnenów zdołał wpaść na trop śledzonej pary.

Liczył, że drugi Finnen będzie na tyle rozsądny, by wrócić do domu. Nie miał ochoty krążyć po mieście w poszukiwaniu samego siebie, choć na swój sposób byłaby to niezła metafora całego jego życia.

Na placu Drucianych Zwojów dziewczyna i dziecko weszli do kawiarni noszącej dumną nazwę Wieczność. Finnen chwilę zastanawiał się, czy nie pójść za nimi - wewnątrz było tyle osób, że zginąłby w tłumie - ostatecznie jednak zdecydował się pozostać na dworze.

Finnen stał, obserwując otwarte drzwi Wieczności, i Finnen wycofał się w cień jednej z bram, po czym cichymi, mrocznymi podwórzami przeszedł w dół Schodów Węgielnych.

Tak jak się domyślał, nie tylko on śledził Kairę i Nallego. Podążał za nimi także niewysoki, chudy człowiek, którego

twarz skrywał cień. Finnen ocenił sytuację - być może, jeśli będzie ostrożny, uda mu się podejść wystarczająco blisko, żeby dostrzec rysy twarzy nieznajomego i jednocześnie nie zostać dostrzeżonym.

Był ostrożny, wykorzystał wszystkie wdrukowane w procesie genozmiany umiejętności, cały arsenał sztuczek skrytobójcy, który osacza nocą ofiarę. A jednak nie udało mu się zbliżyć do chudego mężczyzny. Dwa razy niewiele brakowało, lecz tamten zawsze wykonywał niespodziewany ruch - odwracał się bądź skręcał, tak że Finnen zmuszony był się wycofać.

Albo nieznajomy był uzdolnionym wywiadowcą, albo po prostu miał szczęście - Finnen stawiał na to drugie, bo nic w postawie mężczyzny nie świadczyło, że w ogóle zdaje sobie sprawę z tego, iż jest obserwowany. Było w nim coś nieuchwytnie znajomego, co Finnen prawie rozpoznawał; wrażenie dręczące jak słowo na końcu języka. Jakby chłopak spotkał po latach widzianego w dzieciństwie, a teraz mocno zmienionego człowieka.

Kim on jest?

Gdy Kaira i Nalle przez dłuższy czas nie wychodzili z kawiarni, chudy, ku zdumieniu jednego z Finnenów, kucnął, po czym rzucił na stopień schodów jakiś drobiazg - monetę, medalion albo może złoty guzik - w którym przelotnie odbił się blask latarni. Efekt widać mężczyzny nie zadowolili, bo potrzęsnał głową i powtórzył operację. Wreszcie wstał, zrezygnowany i wyraźnie nieszczęśliwy. Z wysoko postawionym kołnierzem, kuląc się w podmuchach coraz silniejszego wiatru, wyglądał jak żywy obraz zniechęcenia. Finnen nie musiał widzieć twarzy, by wiedzieć, że nieznajomy wcale nie ma ochoty sterczeć przed kawiarnią, że najchętniej wszedłby do ciepłego wnętrza, by wypić kubek grzanego wina.

Cóż, nie on jeden.

Wreszcie Kaira i Nalle wyszli. W towarzystwie strażników, z których jeden był żywy, drugi zaś mechaniczny. Pierwszy, w zbroi częściowo ptasiej, a częściowo rybiej, trzymał za ramię dziewczynę, podczas gdy jego towarzysz prowadził chłopca. Nalle próbował się wyrwać, lecz pół pancerza nie wystarczało, by przeciwstawić się istocie zbudowanej z metalu. Finnen

musiał jednak przyznać, że mały radził sobie nieźle, o czym dobitnie świadczył wyraz zdumienia na srebrzystej twarzy.

Cała czwórka stanęła pośrodku placu Drucianych Zwojów. Finnen nie słyszał z tej odległości słów, dźwięki porywał wiatr, odniósł jednak wrażenie, że dwaj strażnicy sprzeczzają się o coś.

Kaira, pomyślał. To ta przekłeta plecionka, którą pewnie założyła.

Chodziło o to, że wynalazek zmieniający wygląd pokazywał odmienne obrazy dla różnych osób. Nic dziwnego, że strażnicy nie mogli dojść do porozumienia, kogo właściwie wyprowadzili z Wieczności. Finnen uśmiechnął się na myśl, jak prawdopodobnie wygląda ich rozmowa, lecz zaraz zrzędła mu mina. Jeśli strażnicy nie byli głupcami - a nie sądził, aby byli - szybko domyślą się, że schwyтана osoba używa wynalazku z Archiwum, i po prostu zmuszą Kairę, by się rozebrała.

Dziewczyna coś mówiła. Finnen wciąż nie słyszał słów, ale to nie miało znaczenia, widział jej minę, znał ten wyraz twarzy. Prowokujący, ostry, pozbawiony cienia strachu.

Nie rób tego, poprosił w myślach, nie drażnij ich.

A ponieważ nie odniosło to skutku - i ponieważ wiedział, że nie odniesie, nawet gdyby Kaira prośbę usłyszała - ruszył w stronę grupy stojącej pośrodku placu. Zrobił to, zanim zastanowił się, jak właściwie zamierza im pomóc, i zanim zdążył stchórzyć.

Podpowiedź pojawiła się sama.

— Panie oficerze. — Szarpnął żywego strażnika za rękaw, jednocześnie przybierając zaniepokojony wyraz twarzy. Byłe tylko nie wypaść z roli...

— Jestem zajęty — warknął mężczyzna, prześlizgując się po Finnenie wzrokiem.

— Niedaleko stąd, na placu Klepsydr, jacyś ludzie wieszają tę okropną maskę, wie pan, jak twarz Przedksiężycowego. Jeśli się pan pospieszy, zdąży pan ich schwytać.

Strażnik zaklął i wepchnął Kairę w ramiona mechanicznemu towarzyszowi. Zrobił dwa kroki, po czym odwrócił się, tknięty nagłą myślą. Spojrzał na Finna.

— Kogo widzisz? — Ruchem podbródka wskazał Kairę.

Chłopak zawahał się. Najlepiej byłoby poprzeć wersję żywego strażnika, problem polegał jednak na tym, że Finnen nie miał bladego pojęcia, jaki obraz podsuwa tamtemu umysł. Popatrzył na Kairę, która zawsze - niezależnie czy w plecionce, czy bez niej - wyglądała dla niego tak samo, lecz z jej twarzy nie potrafił niczego wyczytać.

— Dziewczyne — zdecydował. — Jasnowłosą, niewysoką... To ważne?

— Dziewczyne, co? — Strażnik potrząsnął głową, zasunął przyłbicę w kształcie głowy halibuta i rozłożył skrzydła. — Powinni pozwolić nam rozstawić w mieście bramy teleportacyjne — poskarżył się, unosząc się w powietrze.

Finnen odczekał moment, po czym, wciąż stojąc w miejscu, podszedł do Nallego, chwycił go i szarpnął. Chwila dezorientacji wystarczyła, by mechaniczny puścił dziecko.

— Co... — Strażnik nie dokończył pytania. Kaira, też korzystając z zaskoczenia, wywinęła się z metalicznego uścisku i pobiegła za Finnenem i Nallem.

— Szybciej! — ponaglił ich chłopak.

Mechaniczny zostawał z tyłu, zresztą gdy tylko zdołali się wyrwać, nie miał szans - mechaniczni byli silni, lecz wolniejsi niż przeciętny żywy człowiek. Mimo to cała trójka zatrzymała się dopiero na Schodach Pergaminowych.

Nalle oparł się o ścianę jednego z budynków i roześmiał.

— Widzieliście... jego... minę? — Łapał powietrze, zdyszany i radosny. — Jak... kompletny... kretyn... dał się nabrać... A ten metalowy... Nie wiedziałem, że w straży pracują blaszaki.

— Od niedawna, owszem — odparła Kaira z roztargnieniem. Patrzyła na Finnena, nie na Nallego. — Brakuje im ludzi, więc dostali pozwolenie na zatrudnienie mechanicznych, pod warunkiem że żadna z ich osobowości nie została skazana za ciężkie przestępstwa, no i oczywiście, że pracować będą na najniższych stanowiskach. Nie prosiłam cię o pomoc, Finnen. — Przeszła od jednego tematu do drugiego tak gładko, że chłopak drgnął, zaskoczony.

— Nie miałaś przecież zamiaru z nimi walczyć?

Wzruszyła ramionami. Nie wyglądała na zirytowaną czy tym

bardziej wściekłą. A Finnen wołałby ją właśnie taką. Pretensje to przynajmniej początek dialogu. Tymczasem Kaira stała z rękoma w kieszeniach, nie zwracając uwagi na wiatr, który wpychał jej końce włosów do oczu i ust, nieruchoma i odległa. Patrzyła wzrokiem, który chłopak dobrze znał, jakby spoglądała na niego i jednocześnie przez niego. Przez chwilę Finnen mógłby przysiąc, że jej oczy się uśmiechają.

— Nie prosiłam o pomoc — powtórzyła, a Nalle dodał gorliwie:

— Właśnie, poradzilibyśmy sobie sami. Wszystko zepsułeś.

Kaira nawet na niego nie spojrzała, co sprawiło Finnenowi przynajmniej odrobinę satysfakcji. Czuł też oczywiście ulgę i zadowolenie z tego, że oszukał strażnika tak zgrabnie, lecz było w tym wszystkim coś jeszcze. Dopiero po chwili przyznał się do tego sam przed sobą.

Przelotny, absurdalny żal. Ominęła go dzisiejszej nocy szansa na... właściwie na co? Awanturę równie potężną jak ta w Archiwum? Zabawę, w której ryzykuje się życie?

Potrząsnął głową i spróbował się roześmiać. Nieszczególnie mu wyszło, ale przynajmniej poczuł się lepiej. Poza tym ktoś tu musiał być rozsądny, a nie zanosilo się na to, że tym kimś będzie Kaira.

— Wracamy do domu? — zaproponował.

Sądził, że dziewczyna zaprotestuje, lecz ona po chwili wahania skinęła głową. Finnenowi nie przyniosło to jednak ulgi. Jej mina mówiła aż nadto wyraźnie: „Nie tym razem, to następnym”.

Finnen odprowadził więc Kairę do mieszkania, został z nią i przynajmniej tej nocy nie podziwiał nowych sińców na czarnej skórze. Jednocześnie Finnen wciąż śledził chudego mężczyznę.

Nieznamy poszedł za nimi aż do domu dziewczyny, po czym jeszcze przez jakiś czas tkwił na zimnie, wpatrzony w okna. Potem sięgnął do kieszeni i rzucił monetę - bo Finnen był już niemal pewien, że tym właśnie jest ów drobny, błyszczący przedmiot.

Usatysfakcjonowany chudzielec zatarł ręce i ruszył w dół schodów, a Finnen podążył za nim. Przeszli przez Zimowy Ogród. Przy wschodniej bramie mężczyzna usiłował wynająć

mechanoida, lecz widać nie spodobała mu się podana przez animatora cena, bo odszedł, wykonując obelżywe gesty.

Tym lepiej dla Finnena, który w kieszeni miał może ze dwa surimy.

Chłopak zorientował się, dokąd nieznajomy zmierza, niemal w tym samym czasie, gdy tłum na Schodach Siepaczy unieruchomił chudzielca na chwilę i pozwolił Finnenowi zbliżyć się do niego niepostrzeżenie.

Szedł on do domu Brina Issy. Kulawy mężczyzna, a przynajmniej kiedyś kulawy, bo teraz po utykaniu nie został nawet ślad. To właśnie był ów dysonans, który nie pozwalał Finnenowi go rozpoznać.

Człowiek z gwiazd, o którym chłopak zdążył niemal zapomnieć. Uzdrawiony i najwyraźniej nieźle posługujący się używanym w Lunapolis językiem. Na polecenie Brina Issy śledzący jego córkę, którą ten powinien uważać za martwą.

Kiedy Finnen to zrozumiał, zabrakło mu tchu, a kiedy go odzyskał, zorientował się, że od dłuższej chwili stoi pod domem Issy, doskonale widoczny z większości okien. Wycofał się szybko i bezradnie potarł podbródek. Było mu zimno i nie miał pojęcia, co zrobić z tym odkryciem.

Naprawdę nie chciałby widzieć wyrazu twarzy Kairy, gdyby jej ktoś o tym powiedział.

15

Paczkę przyniósł tuż po śniadaniu posłaniec: młody chłopak w lichej, pasiastej kurtce i ze śladami makijażu mima na twarzy. Niecierpliwie zakolatał do drzwi, a kiedy Niebieska Jedynka otworzył, wepchnął przesyłkę w metalowe ramiona.

— Do kogoś w tym domu — powiedział. — Imię jest napisane o, tu. — Niepewne machnięcie ręką nad ozdobnym szlaczkiem świadczyło, że chłopak raczej nie umie czytać. Być może należał do tych, którzy oryginalności szukali w nieuctwie.

Popatrzył na mechanicznego znacząco, lecz nie doczekał się napiwku, odszedł więc, pogwizdując z fałszywą nonszalancją.

Niebieska Jedyńka przeczytał napis - „dla Brin Noory, do rąk własnych” - a potem, ponieważ nie miał pojęcia, co zrobić z pakunkiem, położył go stoliku w hallu, gdzie przeleżała kilka godzin obok pary skórzanych rękawiczek, teatralnej lornetki, kilku prospektów reklamujących nową rewię oraz wyliniałej maski lisa. Niedaleko wisiał parasol; skapująca z niego woda rozmięczała ozdobny papier pakowy i rozmazywała adres.

Tuż przed obiadem Żółta Szóstka, która zastąpiła Niebieską Jedyńkę, przypomniała sobie o paczce i poinformowała o niej Pantalekisa. Znalazł się w pobliżu, a służba przywykła uważać go niemal za domownika. Daniel już przymierzał się do otwarcia przesyłki, jednak inny służący przyprowadził akurat pannę Mau, która dopiero co na zamierzonym placu Sworzni kreśliła łyżwami mapę Kontynentu, recytując jednocześnie ustępy z *Geografii* Vodrana, w wolnych zaś chwilach umilała Pantalekisiowi popołudnia. W ten sposób paczka znów została zapomniana.

Trafił na nią przypadkiem Niraj, którego ojciec poprosił o przyniesienie jednego z prospektów leżących w hallu. To błahe, stosowne dla służącego zadanie uraziło młodzieńca, nie przyszło mu jednak do głowy, żeby odmówić. I w ten sposób znalazł paczkę. Imię odbiorcy było już nieczytelne, dało się jedynie zauważyć, że ktokolwiek przesyłkę zaadresował, miał równe, dziecinne pismo. Wrażenie młodego wieku nadawcy pogłębiał starannie wyrysowany i częściowo jeszcze widoczny szlaczek z kwiatów oraz muchomorów.

Niraj wezwał jednego służącego, potem drugiego i trzeciego, i w ten sposób dotarł do Żółtej Szóstki, który przyznał, że paczka dostarczona została dziś rano i że wówczas widniał na niej napis „dla Brin Noory”.

Pierwszym odruchem Niraja byłoby oczywiście odniesienie przesyłki Issie, Noorze przecież nie mógł jej oddać.

Byłoby.

Lecz Issa potraktował go dziś jak pierwszego lepszego służącego, a wcześniej jeszcze, w czasie obiadu, młodzieniec zmuszony był siedzieć obok ojca, słuchać, jak ten otwarcie rozważa kolejne sposoby wykorzystania syna oraz Pantalekisa, i co naj-

ważniejsze, patrzeć, jak mężczyzna z wyraźnym smakiem zjada smażone krewetki z czosnkiem. Speq'ał zwrócił uwagę Niraja, chłopak wiedział bowiem, że niegdyś bardzo go lubił, jednak nie potrafił przypomnieć sobie smaku. Dziura w pamięci i puste miejsce na metalowym języku dręczyły go przez cały posiłek.

To wystarczyło, by Niraj się zawahał. A kiedy Niraj się wahał, do głosu dochodził Unaj.

Nie masz ochoty zerknąć, co jest w tej paczce?, odezwał się.

To przesyłka dla mojej siostry, nie dla mnie.

Ale twój ojciec może ją otworzyć? Daj spokój, Noora i tak jej nie odbierze, więc co za różnica, czy do środka zajrzysz ty, czy Issa?

Różnica jest taka, że w tym domu zasady ustala mój ojciec.

Zasady, jasne. Zasady są ważne. Na przykład zasada otwierania Imczek zaadresowanych do nieżyjących osób albo zasada wysługiwania się swoim dzieckiem, albo - czekaj, ta jest chyba najważniejsza - zasada, dzięki której można zmienić swojego syna w blaszaka, nie pytając go o zgodę. Takie zasady miałeś na myśli?

Rozmawialiśmy o tym.

Wiem, wiem, kochający tatuńcio robi to wszystko dla twojego dobra, mówiłeś. Facet w dzieciństwie pewnie wyrywał pająkom nóżki, bo sądził, że od tego poczują się lepiej.

Jeśli to wszystko, możemy skończyć naszą rozmowę.

W porządku, posłuchaj, może masz rację, może jestem tylko wrednym, złośliwym głosem w twojej tępej czaszce i wcale nie warto mnie słuchać, czemu nie? Ale naprawdę uważasz, że zaglądając do tej paczki, sprzeciwisz się ojcu? Przecież on nawet o niej nie wie! To tylko durna przesyłka, prawdopodobnie są tam jakieś świecidełka albo mazidła, które twoja siostra zamówiła i nie zdążyła odebrać. Chcesz Issie zawracać głowę takimi bzdurami? Niraj, na Studnię z gnijącymi 1'rzędksiężycowymi, możesz być psem, jeśli już musisz, ale nie bądź kundlem, który niedługo zacznie pytać o pozwolenie, czy może się wysrać.

Zamknij się.

Zajrzysz do środka?

Czemu tak ci na tym zależy?

Nie zależy, po prostu boli mnie, kiedy widzę, jak robisz z siebie idiotę. Siedzimy w jednym ciele, pamiętaj.

Znikaj.

Zajrzysz do środka?

Tak, a teraz spieprzaj.

Gdy Unaj wycofał się posłusznie, Niraj zaniósł paczkę do swoich pokoi i zerwał namokły papier. Wewnątrz była książka. *Opowieści z Czasów Odległych* - przeczytał. Przypomniawsobie, że z tą właśnie lekturą często widywał Kairę, po czym spróbował przewrócić kilka napuchłych od wilgoci stronic.

Kartki kleiły się jedna do drugiej, ale w końcu dał radę. W książce tkwił list, zalany wodą, ale wciąż czytelny.

Droga Nooro,

zwracam prezent, który od ciebie dostałam. Nie jest mi już potrzebny, wyrosłam z takich bajek. Czeka mnie misja, o której Ci mówiłam. Ty pewnie masz ciekawsze rzeczy do zrobienia, takie jak tańce i zabawy czy spotykanie się z chłopakami. Nie żywię do Ciebie pretensji, każdy robi to, do czego go przeznaczono. Tato mówi, że ja jestem przeznaczona do rzeczy wielkich. Wciąż mam sny o komnacie z przeszłości, opowiadałam Ci o nich, pamiętasz? Koszmary o akwarium, w którym pływają ciała ciemnoskórych dziewczynek. Z nocy na noc stają się coraz gorsze, ale ja już się nie boję. Pogodziłam się z moją rolą i Tobie życzę, żebyś pogodziła się ze swoją, jakakolwiek ona jest.

Ellona

Córka Maroutiego? Niraj się zdziwił. To ona nie wie, że Noora nie żyje?

Jednak ważniejszy był fragment o osobliwym koszmarze. Akwarium, w którym pływają ciemnoskóre dziecięce ciała, pomyślał Niraj, skąd ja to znam?

Unaj dobijał się do ich wspólnego umysłu. Niraj pozwolił mu mówić.

Może słyszałeś o tym od Kairy, zasugerował. Czy ona jako dziecko nie miewała aby dziwacznych snów?

Tak, ale śniła o bohaterskich czynach, a nie o trupach w wodzie. Pamiętałbym coś takiego. Ogarnęły go wątpliwości, więc dodał: Chyba.

Spróbuj zobaczyć się z Elloną i wypytać o szczegóły snu. To może pomóc.

Niraj nie miał najmniejszej ochoty widzieć się z Elloną. Nigdy nie przepadał za małymi dziewczynkami, a córka Maroutiego, jak pamiętał, należała do dziewczynek wyjątkowo męczących.

Zmiał list w wilgotną kulkę i cisnął do kosza na śmieci.

To nie ma znaczenia, powiedział, a kiedy Unaj próbował protestować, zepchnął go w głąb umysłu i zapanowała cisza.

16

Tego samego ranka, gdy do domu Brina Issy dostarczona została paczka, Finnen zapytał Kairę, czy w czasie nocnych wypraw nie zauważyła przypadkiem, że ktoś próbuje jej pomóc.

— Ja nie potrzebuję pomocy — wymruczała sennie dziewczyna, przewracając się w pościeli, lecz Finnen nie zamierzał się poddać.

— Wiem, już mówiłaś. Nie miałem na myśli ratowania cię z rąk strażników ani nic w tym rodzaju. To mogło być coś o wiele mniej spektakularnego.

— Jak na przykład strzały? — Gdy otworzyła oczy, wyglądała na o wiele przytomniejszą. Prawdę powiedziawszy, w jej wzroku była teraz ta świetlista czujność, której Finnen tak nie lubił.

— Strzały?

— Tak. Trzy, nie, cztery dni temu posłaliśmy dzieciaki, żeby

pomagały trupie Doktora Manekina, pamiętasz?

Pamiętał.

— Poszłam zobaczyć, jak sobie radzą, i też wzięłam kilka ulotek. Wepchnęłam je do kieszeni płaszcza i szczerze mówiąc, zupełnie o nich zapomniałam, dopóki na placu Siepaczy nie zaczepił mnie strażnik. Pytał, skąd mam ulotki, a ja odparłam, że to nie jego interes.

Dlaczego go to nie zdziwiło?

— Zaczęliśmy się szarpać, kiedy u wylotu Schodów Miedzianych zabrzmiało coś podobnego do wystrzału z pistoletu, wiesz, jak wtedy, w Archiwum. Strażnik mnie puścił i pofrunął w tamtą stronę. A innym razem, gdy wspólnie z Nallem próbowaliśmy przeprowadzić pewnego aktora przez posterunki straży, nie mogliśmy jednego z nich ominąć. Było tam za dużo ludzi, jakaś łapanka czy coś, czekaliście więc ukryci w bramie, a kiedy wyjrzelіśmy, nagle się okazało, że na posterunku z sześciu strażników zostało ledwo dwóch - pozostali leżeli na ziemi, krwawili, jęcząc, jakby wbijano im gwoździe pod żebra.

— Ktoś ich zaatakował, prawdopodobnie z daleka, bo przy bezpośrednim kontakcie walka trwałaby dłużej, a strażnicy nie daliby się tak zaskoczyć. Może ten człowiek użył broni palnej?

— Może — przyznała Kaira. Jej obojętny ton głosu kontrastował z czujnością wzroku. — Lunapolitanie ostatnio nie pałają sympatią do strażników, może zauważyłeś.

— I osobliwym trafem ów atak zdarzył się wtedy, kiedy najbardziej go potrzebowałeś?

— No dobrze, ktoś próbuje nam pomóc. Co z tego?

— Nie nam. Tobie. Za mną nikt nie chodzi, żeby w nocy wyciągać mnie z tarapatów.

W oczach Kairy niespodziewanie błysnęła kpina. Uśmiechnęła się ostrożnie.

— A za mną chodzisz ty i jeszcze jakiś nieznajomy. I pomyśleć, że do niedawna narzekałam na brak powodzenia.

Ten nieznajomy jest człowiekiem z obcego świata, pomyślał, i został wynajęty przez twojego ojca. Ciekawe, czy to też przyjąłabyś z taką drwiną?

Dziewczyna czekała jeszcze przez kilka uderzeń serca, a kiedy

Finnen nie powiedział nic więcej, napięcie w jej rysach zelzało i opadła na poduszkę. Spała już po chwili głębokim, mocnym snem.

Kaira miała dar wyrzucania z pamięci rzeczy nieistotnych albo przynajmniej tych, które za nieistotne uznała. Finnen, pozbawiony tej łaski, męczył się do południa, leżąc z otwartymi oczami i rozważając zmultiplikowane scenariusze przyszłych wydarzeń.

17

Następnego dnia Tellis znalazła jeszcze osiem kart z opisem wzoru będącego mniejszą bądź większą (zazwyczaj mniejszą) modyfikacją modelu 23E/204. Część z nich zamówili znajomi lirina Issy, część ludzie, których nazwiska nic jej nie mówiły.

Jest też karta, która może należeć do Kairy, powiedziała do Mahameniego, gasząc świecę. To była ostatnia, jaką zdołała znaleźć w zapasach pobliskiego sklepiku. Musiała ją oszczędzać, i zresztą i tak w ciemności kapitan łatwiej przychodziło się skoncentrować. Numer 57M/101.

Wiem, mam ją zapisaną jako jedną z tych, które warto sprawdzić.

Dziewczynka, ciemnoskóra, wysoka, silna i nieszczególnie ładna. Data też mniej więcej się zgadza. Zamawiającym jest Nimra Jai.

Issa użył fałszywego nazwiska?

Tak sądzę. To pasowałoby do jego ostrożności.

Dlaczego tak samo nie postąpili jego znajomi?

Pozostałe karty są starsze, zresztą jeszcze do niedawna Wież nikt nie kontrolował. Nawet po likwidacji Perfecti ludzie wciąż zamawiali doskonałe dzieci w innych miejscach i nikt z tego powodu nie robił problemów - uznawano, że skoro rodzice chcą ryzykować gniew Przedksiężycowych, to ich sprawa. Ograniczenia wprowadzono dopiero niedawno, po sprawie córek Księcia Popieliska.

Moment, coś mi się nie zgadza. Mówiłaś, że na najstarszych

kartach znowu pojawiają się nieznane nazwiska. To jak, znajomi Issy najpierw używali pseudonimów, a potem nie? Z jakiegoś powodu nagle przestali być ostrożni?

Nie wydaje mi się, żeby to były pseudonimy. Pomyśl: gdybyś żył przez kilkadziesiąt Skoków, musiałbyś od czasu do czasu zmieniać tożsamość, bo inaczej ludzie zaczęliby się interesować twoją długowiecznością. Brin Issa był swoim własnym ojcem i dziadkiem, pozostali też pewnie w odpowiedniej chwili zmieniali nazwisko. A wiesz, co jest najciekawsze?

Co takiego?

Umilkła, by wzmocnić napięcie, i niemal w tej samej chwili zdała sobie sprawę, że to bez sensu - nowina tak wyraźnie wyryła się w jej umyśle, że Mahameni prawdopodobnie potrafił ją odczytać, nawet gdy Tellis nie formułowała myśli w słowa.

Aylen Thai, mężczyzna rzeczywiście wyłowił z jej głowy nazwisko. Dobrze zrozumiałem? Możesz powtórzyć?

Jedno z zamówień z roku 323 zostało podpisane przez niejakiego Aylena Thaa.

Potomka TEGO Aylena? Niemal usłyszała wielkie litery. Największego wynalazcy w dziejach Lunapolis?

Niewykluczone. Kapitan wolala zachować ostrożność, lecz Mahameni podobnych obiekcji nie miał i do Tellis dotarło coś na kształt mentalnego odpowiednika gwizdnięcia.

Niech mnie Skok, wygląda na to, że wkopaliśmy się w kurewsko poważną sprawę.

Zanim zaczniemy spekulować, najpierw musimy wszystko dokładnie sprawdzić. Podam ci nazwiska z najstarszych kart, może zdołasz dojść do tego, kim ci ludzie są lub byli naprawdę.

Jasne, nie ma sprawy. A Kaira? Co jest w opisie jej osobowości? Dziewczyna rzeczywiście ma wyjątkowe zdolności?

Mam problem z żargonem duszoinżynierów, przyznała Tellis. Potrafię rozszyfrować skróty dotyczące wyglądu fizycznego, to jest stosunkowo proste, opisy popularnych talentów czy cech psychiki też nie sprawiają mi kłopotu. Ale to, co

napisano przy Kairze...

No dalej, Tellis, przecież musiałaś coś zrozumieć z jej karty. Co jest lak niezwykłego w tej dziewczynie?

Nawet teraz kapitan nie zapaliła świecy. Kartę Kairy znała na pamięć.

Na pewno nie uroda, żadnych szczególnych talentów też nie ma. Stworzono ją, żeby była silna i zdecydowana, ale ma przy tym w charakterze jakby rys... niestabilności? Nie wiem, czy dobrze odczytuję...

To wszystko? Mahameni był rozczarowany tylko przez chwilę. Tellis prawie usłyszała w jego mentalnym głosie podniecenie. Jest coś jeszcze, prawda? Chowasz coś w zanadrzu?

Mogłam źle zrozumieć, broniła się.

No to co? Przecież nie jesteśmy w sądzie, tylko dzielimy się spostrzeżeniami.

Odetchnęła. Mahameni miał rację, nie było żadnego powodu, dla którego miałyby ukrywać przed nim swoje podejrzenia. Kłopot w tym, że kapitan tak cholernie nie lubiła się mylić.

Zdecydowanie i niestabilność to dodatki, najważniejsze są uspięne wspomnienia. Coś w rodzaju pamięci genetycznej, uruchamianej w odpowiednich okolicznościach. Kaira prawdopodobnie nawet nie zdaje sobie sprawy, że coś takiego ma.

Ale nie wiesz, jakie to wspomnienia i w jakich okolicznościach mają się uruchomić?

Na to pytanie potrafiłby odpowiedzieć chyba tylko duszoinżynier nadzorujący tworzenie wzoru.

Pozostałe klony też to mają?

Jeśli jeszcze żyją, ale wątpię, żeby tak było.

Czemu? Hej, Tellis, znowu coś przede mną ukrywasz. Jesteśmy przecież partnerami, nie?

Powiedziała mu o swojej teorii dotyczącej trzech ciemnoskórych klonów znalezionych w Kwartale Kandrisa. Mahameni, jak wszyscy strażnicy, wiedział, o co chodzi, swego czasu jego też fascynowała ta zagadka.

Tym razem nie gwizdnął, nie było też mowy o „kurewsko poważnej sprawie” ani niczym w tym rodzaju. Mahameni po

prostu milczał i Tellis pomyślała, że mężczyzna się boi.

Nie dziwiło jej to. Ona też się bała.

Jeśli się chcesz wycofać..., zaproponowała niepewnie.

Nie chcę. A ty?

Dla mnie jest już za późno.

Dla mnie też. Przecież żadne z nas nie ma złudzeń, że mógłbym przetrwać do końca. Nie tak naprawdę. Czy słyszała w jego głosie gorycz? Jej własne emocje nie pozwalały rozpoznać uczuć rozmówcy. A miasto ostatnio zrobiło się paskudne, kontynuował Mahameni. Na schodach pełno jest latających strażników, ludzie albo spiskują, albo boją się wyściubić nos z domu. To koniec, Tellis, nie ma co się oszukiwać. Przedsięwzięcowi raz-dwa zdecydują się sprzątnąć ten bałagan i ani się obejrzysz, jak nastąpi Przebudzenie. A skoro i tak trafi nas szlag, to nie ma przecież sensu, żebyśmy się trzęśli o własną skórę.

Zapaliła świecę. Siedziała przy biurku w gabinecie dyrektora korporacji, w miejscu, w którym spędzała większość chwil wolnych od przeglądania akt. Tu było sucho i w miarę ciepło, a leżanka w kącie pozwalała całkiem wygodnie spędzić noc.

Tellis?

Kapitan patrzyła w lustro, które wisiało na jednej ze wschodnich ścian. Kurz z akt i zapuszczonych pokoi wżarł się w bruzdy na jej twarzy, włosy miała przerzedzone, a usta lekko, lecz widocznie skrzywione w starczym grymasie goryczy i lęku. Czasem udawało jej się ów grymas wygładzić, zazwyczaj rankiem, gdy czuła się silniejsza, jednak potem wracał. Nawet triumf związany z odnalezieniem karty Kairy nie przegonił go na długo.

Nie, pomyślała, jednocześnie zdając sobie sprawę, że wygląda jak czarownica z przedstawień dla dzieci. Mogła sobie na to pozwolić, bo kontakt mentalny już zaczynał się rwać. *Nie sądzę, żeby to miało sens.*

Nocami Niraj zazwyczaj wychodził z Pantalekiszem - mechaniczni wszak nie potrzebowali snu. Czasem jednak moneta Daniela mówiła, że powinni zostać w domu, i wówczas Pantalekis kładł się do łóżka, sam lub znacznie częściej z kobietą, a sfrustrowany Niraj krążył po korytarzach.

Nie mógł dołączyć do służących, którzy godziny nocnej nudy zabijali historiami z czasów, gdy byli żywymi ludźmi, oraz wymianianiem anegdot o kapryсах Brina Issy. Gardził też ich prymitywnymi rozrywkami polegającymi na grze w kości albo zażywaniu woniejących dziegciem, oleistych stymulantów, które wstrzyknięte przez nos wprost do mózgu, powodowały krótkotrwałe zmieszanie współlistniejących w mechanicznym ciele osobowości.

Niraj nie mógł spędzać czasu w towarzystwie służących, nie był przecież jednym z nich. Problem polegał na tym, że nie miał lakże żywych znajomych.

Ci, z którymi niegdyś pił i chodził do klubów *darakka*, zaczęli się wykruszać już wtedy, gdy młodzieniec coraz więcej czasu poświęcał Kairze oraz Pantalekiszowi, a zmiana ciała na metalowe okazała się ciosem ostatecznym dla i tak niezbyt silnej przyjaźni. Samotne poszukiwanie rozrywek w mieście też nie wchodziło w grę, gdyż mechanicznych nie wpuszczano do większości teatrów czy winiarni. A przynajmniej nie jako gości, bo wejść tam mogli tylko jako ochroniarze w towarzystwie podopiecznych. Niraj mógłby zapłacić komuś, by taką rolę odegrał, Pantalekis sam zaproponował, że za odpowiednią sumę to zrobi, lecz syn Issy odmówił.

Gdyby dało się wdrzeć do środka siłą, młodzieniec nie pogardziłby takim rozwiązaniem. Tyle że najlepsze - a więc najbardziej interesujące - lokale były znakomicie pilnowane.

Nirajowi pozostawało więc granie z Unajem w szachy, czego nie lubił (Unaj zazwyczaj wygrywał), lub czytanie książek, co od dzieciństwa uważał za jedno z najnudniejszych zajęć, jakie wymyślił człowiek. Mógł także spacerować po domu Issy, i w ten właśnie sposób najczęściej zabijał nudę.

Obchód rozpoczął od głównego hallu, potem przechodził do galerii i kolejnych salonów. Wmawiał sobie, że w ten sposób pilnuje rezydencji lepiej niż służący, których mijał od czasu do czasu. Ostatecznie oni byli zwykłymi blaszakami, a on szkolonym w walce mechanicznym o najszybszym i najsilniejszym ciele, jakie tylko było dostępne w sprzedaży.

W pustej i cichej sali balowej zazwyczaj zatrzymywał się na kilka chwil, by spojrzeć na unoszący się pod sklepieniem Skrzydlaty Dysk. Nie miał go kto używać, odkąd Issa zrezygnował z usług telepaty - jeśli rezygnacją można nazwać wyrzucenie za próg zakrwawionego, szlochającego karła i wciśnięcie mu na pożegnanie pękatej sakiewki.

Raz Niraj ściągnął dysk na dół i stanął na nim - bardziej z nudów niż z nadzieją na jakikolwiek efekt - i rzeczywiście, wynalazek nie chciał się unieść. Cóż, młodzieniec był teraz znacznie cięższy niż przeciętny człowiek.

Ciężki czy nie, Niraj wciąż potrafił poruszać się cicho jak artzabójca. W specjalnych butach, które tłumyły odgłos metalu uderzającego o posadzkę, stąpał tak bezszelestnie, że ludzie orientowali się, iż nadchodzi, dopiero gdy padał na nich cień groteskowo szerokich barków.

Dzisiejszej nocy we wschodnim skrzydle nikogo nie było.

Minął dawną pracownię Issy (gdy ten przeszedł genozmianę i przez krótki czas był rzeźbiarzem), gabinet zabiegowy (kiedy bawił się w chirurga), potem zakurzoną bibliotekę (w której zostało niewiele książek, bo ciekawsze pozycje Issa i Kaira przenieśli do swoich pokoi). Unaj próbował coś powiedzieć, lecz Niraj nie dopuścił go do głosu. Pozwoli mu mówić później, gdy zawiodą inne sposoby na zabicie czasu.

Przeszedł obok sali muzycznej z wąską sceną teatralną. Pomieszczenie było ciche i od dawna nieużywane. Instrumenty, zepchnięte w jeden kąt i przykryte prześcieradłami, wyglądały jak gromada duchów przyłapanych na spiskowaniu. Blask księżycy był zmętniały, inoszybę przydałoby się oczyścić z kurzu. Służący czasem zapominali o swoich obowiązkach. Niraj zanotował w pamięci, by natrzeć za to uszu Czerwonej Trójce. Czy on sobie wyobraża, że przyjdzie Skok i odwali robotę za niego?

Przelotnie przemknęło mu przez myśl, że sala muzyczna mogłaby przypaść do gustu Noorze. Pamiętał, że dawno temu siostra zaciągnęła go na sztukę, której bohaterka nocą plątała się po takich właśnie mrocznych i zakurzonych pomieszczeniach. Dziewczynie bardzo się to podobało, mówiła, zdaje się, że przedstawienie „ma atmosferę”. On uważał fabułę za nudziarstwo i dawał temu wyraz, strzelając w aktorów pestkami czereśni.

Jak dawno temu to było? Przed pięcioma czy sześcioma Skokami? A ile czasu upłynęło, odkąd ludzie słuchali tu muzyki, kiedy ostatni raz używino sali balowej? Niraj nie pamiętał.

Poczuł ukłucie żalu, że pan tak dużego domu nie organizuje przyjęć ani tańców. Unaj znów coś próbował powiedzieć, lecz Niraj go uciszył.

Na piętrze przystanął przed pokojami Issy. Wejść, czy nie wejść? Jeśli ojciec jeszcze nie śpi, prawdopodobnie nie będzie zadowolony, że syn mu przeszkadza. Lecz jeśli śpi... Dlaczego nie? Niraj mógłby wśliznąć się do sypialni szybko i cicho. Jak art-zabójca, podpowiedział głos, być może należący do Unaja, choć ten nie powinien umieć się przebić przez blokadę. Niraj na wszelki wypadek uciszył go jeszcze raz. Porównanie, rzecz jasna, było niemądre.

Otworzył drzwi i wsunął się do środka. Wewnątrz panował mrok, świetliki spały, a inoszyba była zasłonięta, jednak oczy Niraja zostały przystosowane do widzenia w ciemności. Przeszedł krótki korytarzyk i zajrzał do sypialni.

Issa leżał na łóżku z rozrzuconymi rękami, miarowy oddech unosił pierś. We śnie jego twarz wydawała się bardzo młoda i niewinna. Nirajowi znów przemknął przez głowę art-zabójca, lecz tym razem myśl ta obudziła w nim uczucie opiekuńczości. Ojciec był słaby i bezbronny, a on mógłby podejść i pięścią zgru- chotać mu czaszkę. Mógłby, i Issa o tym wiedział, a mimo to nie zamknął na klucz drzwi. Ufał synowi.

Dlaczego w zamian Niraj nie potrafił się zdobyć na zaufanie do niego?

Issa nigdy nie zdradził mu swojego prawdziwego wieku, jed-

nak chłopak zdawał sobie sprawę, że ojciec jest starszy, niż na to wygląda. Przeżył wiele Skoków, a żeby tego dokonać, musiał być mądry, o wiele mądrzejszy niż Niraj. Czy Issa kiedykolwiek zrobił coś, co pozwoliłoby synowi wątpić w słuszność jego decyzji?

Nie, odpowiedział sam sobie. Nigdy. Wszystkie postanowienia Issy były częścią planu, w którym Niraj stanowił tylko jeden z pionków, śrubkę dokręconą we właściwym miejscu. Jedną z ważniejszych śrubek, z czego powinien być dumny, zamiast poddawać się wątpliwościom.

Niraj wycofał się, idąc tyłem, i wreszcie dopuścił do głosu Unaja.

Błaszak z poczuciem winy, mruknęła podosobowość. Cóż za rarytas. Rozumiem, że teraz już nie będziesz się zastanawiał, skąd znasz sen Ellony?

Mówiłem już, to nie ma znaczenia.

Ty mówisz, ja nie wierzę, tak to już jest. Dalej, Niraj, zrób to dla mnie i trochę pomyśl. Przypomnij sobie. Zapuszczona sala, odrapane wilgotne ściany, wiesz, jak to w przeszłości. I akwarium z brudną wodą, tam przecież nie mogłaby być czysta. A w niej ciała, całe mnóstwo pływających ciał. Wszystkie dziewczęce, ciemnoskóre i nagie. Czy były nagie? Lubileś na nie patrzeć?

Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

To może choć lubileś sobie wyobrazić? Założę się, że takie widoki podniecały cię, kiedy byłeś chłopcem.

Gówniane bzdury.

To dlaczego tak bardzo boisz się sobie przypomnieć?

Nie boję się, po prostu...

Wspomnienie nadeszło, ciche i niechciane. Najpierw rozedrgane, o zatartych konturach, jak miękki cień ćmy polatującej na granicy pola widzenia, potem coraz bardziej konkretne. Sala w przeszłości, podobna do tej, jaką opisywał Unaj. Akwarium z brudną wodą. I ciała, mnóstwo ciał.

Niraj?

Zamknij się.

Pamiętasz, prawda? Pamiętasz!

Pamiętam, że coś podobnego kiedyś widziałem, to jeszcze nie znaczy.

Ty czy Kaira? Może widziałeś to w jej snach, kiedy razem z ojcem grzebałeś siostrze w głowie?

Ja, odparł, najpierw niepewnie, a potem już stanowczo. Ja.

I wbrew temu, co wcześniej powiedział, zrozumiał, że to jednak coś znaczy.

19

Kobieta o nietypowej dla Lunapolis, bo mocno opalanej twarzy zmrużyła oczy, patrząc w sztuczne słońce. Pot spływał jej po policzkach, niszcząc kunsztowny makijaż i odsłaniając zmarszczki. W szklarni panował tropikalny zaduch, przesycone zapachem katlei powietrze kleiło się do skóry jak wilgotna chusta. Isai Tarhita uniosła do ust szklanekę z cytrynowym, mocno osłodzonym sokiem; na dnie zabrzczczały kostki lodu.

— Gorąco — poskarżyła się wieloletnia szefowa Wieży Ekwilibrium.

— Mówiłem, że powinniśmy spotkać się na mojej plantacji.

— Olaide Nu sięgnął do miseczki i natarł sobie kark topniejącym lodem.

Był mężczyzną, na którego większość ludzi nie zwróciłaby uwagi - średniego wzrostu i średniej tuszy, z gładką, pozbawioną wieku twarzą i początkami łysiny. Mało kto zgadłby, że człowiek ten rządzi Wieżą Odmieńców i zgodnie z wielowiekową tradycją, sam również jest odmieńcem. Deformację skrywał pod luźnymi koszulami; czasem tylko pod materiałem widać było niewielkie wybrzuszenie na wysokości mostka. Krążyły najróżniejsze plotki dotyczące owego zniekształcenia - niektórzy twierdzili, że to wrośnięty w dało homunkulus, inni, że wrzód ukształtowany na wzór róży lub ludzkiego oblicza, a byli i tacy, którzy upierali się, iż deformacja jest mistyfikacją.

— Ja w ogóle byłem przeciwny spotkaniu. — Starszy bosonogi mężczyzna wyciągnął się wygodnie na pasiastej leżance. Stopy miał upačkane ziemią i sokiem roślinnym, w ręce

trzymał liść, którym wachlował się leniwie. — Ostatnich kilka nocy było raczej spokojnych.

— Masz ciekawą definicję spokoju, Gagouti — parsknęła Tarhita. — Kilkudziesięciu aresztowanych i wielu rannych, kolejne zamieszki pod Archiwum i na placu Wodnym, mnóstwo szyb powybijanych w Wieżach. To mało?

— Jak na tak duże miasto, to tyle co nic. — Mężczyzna wzruszył ramionami.

Na twarzach siedmiu pozostałych osób siedzących w roślinnym gąszczu pojawiło się siedem różnych rodzajów niechęci - od lekkich, niemal niedostrzegalnych drgnień niezadowolenia, aż po otwartą wrogość. Tę ostatnią zademonstrowała kobieta o brwiach z czarnych piór i ostrych, wyszczerzonych zębach. Lajal Rhema, szefowa korporacji zwierzolutzi, zazwyczaj wyglądała na stuprocentowego człowieka, dopiero silne emocje wyzwalały jej atawistyczne cechy.

Reszta zgromadzonych również sprawiała ludzaco zwyczajne wrażenie. Niechęć do demonstrowania własnej oryginalności była cechą osób na najwyższych szczeblach władzy; za dowód złego smaku uważano wśród nich obnoszenie się z jakąkolwiek niezwykłością. Gardzono także kolejnymi modami, którym nader chętnie ulegało Lunapolis. Ich wyzywająca nijakość była sposobem na powiedzenie światu, że mają najlepsze geny i nie muszą nikomu niczego udowadniać.

Z ośmioosobowego grona zebranego w szklarni jedynie Ambreę Pai, przewodniczący rady korporacji okaleczonych, dopiero od niedawna sprawował swą funkcję, jednak i on dostosował się do panujących zasad. Miał przecięte ścięgna w prawej stopie, lecz dzięki spec'alnemu obuwiu ów defekt łatwo mógł ująć uwagi niezbyt uważnego obserwatora.

Właśnie on zdecydował się przerwać pełne niechęci milczenie.

— Cenimy twoją opinię... Gagouti — zawahał się, zanim użył dziecięcego imienia, ale przecież mężczyzna sam się tak przedstawiał. — Eee... oczywiście, że tak. — Zerknął na pozostałych.

Przez usta Rhemy przemknął ironiczny uśmiezek, inni mieli twarze jak wykute z kamienia. Ambreę zaklął w myślach, szarpiąc kołnierzyk koszuli. Trudno, teraz już nie mógł się

wycofać.

— Ale czy nie sądzisz, że powinniśmy zdusić te zamieszki w zarodku, póki jeszcze dajemy radę nad nimi zapanować? Rzecz jasna pomyśl, żeby pozwolić im samodzielnie się wypalić, też jest godny uwagi, eee... ciekawa idea...

— To nie żadna idea, tylko lenistwo. — Tarhita zlitowała się nad Ambrem. — Gagouti wołałby w tej chwili bawić się z psem, zamiast zajmować sprawami miasta. Przyznaj się, przeszedłeś genozmianę i twoją główną cechą jest teraz umiejętność nieprzejmowania się nikim i niczym?

— Doskonale wiesz, jaka jest moja główna cecha — odparł z niezmaconym spokojem dyrektor Principium. — Kto jak kto, ale ty akurat zgłębiłaś ją dokładnie.

Tarhita uśmiechnęła się i uniosła w stronę mężczyzny pełną do połowy szklanę, po czym, ponieważ lód się roztopił i rozwodniony sok stał się niesmaczny, chlusnęła złościwym płynem w krzaki.

Wiotka kobieta o wilgotnych oczach poruszyła się niespokojnie.

— Żarty żartami, ale wygląda na to, że naprawdę mamy poważny problem.

— Problem jest, owszem, ale bez przesady — odezwał się Karam, szef korporacji animatorów. — Odkąd straż miejska dostała z Archiwum wynalazki, doskonale nad wszystkim panuje. Trzeba po prostu przeczekać, i tyle.

— Każdej nocy w mieście ma miejsce przynajmniej jedno przedstawienie *Nieszczęść spowodowanych przez Przedsięwzięciowych* — oznajmiła Tarhita. — Wiem o tym nie dlatego, że tam chodzę, po prostu mam zaufanych ludzi, którzy informują mnie o takich rzeczach. Waszym zdaniem to też trzeba przeczekać? To wywrotowa sztuka, a walą na nią tłumy, które po spektaklu upijają się i wywołują awantury. W Ekwilibrium...

— Przedstawienie za każdym razem odbywa się w innym miejscu — przerwała jej Jashri, owa wiotka kobieta o zamglonym wzroku. Mówiła bardziej do siebie niż do rozmówców, a w jej głosie dało się wychwycić delikatną nutkę

ni to rozbawienia, ni podziwu. — Dzieci roznoszą ulotki informujące, gdzie i kiedy zacznie się spektakl. Te dzieciaki są bystre, jak dotąd żadnemu z naszych agentów nie udało się uzyskać ani jednego rysopisu. Mają pomalowane twarze, są zwinne i szybkie. Jedno z nich ma Akcelerator Ruchu Dwunożnego skradziony z Archiwum. Idiotyczna nazwa, swoją drogą. Rozdają ulotki, a potem stoją na czatach i ostrzegają aktorów przed strażą miejską.

— Ktoś musi je organizować — wymruczał Ambreę znad szklanki z lemoniadą. — Dzieci nie są samodzielnie zdolne do tak buntowniczych postaw.

— Cóż za oryginalna myśl — zachichotał Gagouti.

— Zamknijmy wszystkie restauracje, teatry, kawiarnie i kluby *darakka* — zaproponował szef korporacji szaleńców skokowych.

— I wydajmy zakaz wychodzenia po zmroku. Wtedy miasto się uspokoï.

— Nonsens — głos Tarhity zabrzmiał jak dźwięk pilnika tnącego metal. — Dopiero wtedy znudzeni ludzie zaczną się buntować. Moim zdaniem już zamknięcie części lokali było błędem.

— Kawiarnie służyły jako miejsce spotkań spiskowców.

— A teraz temu celowi służą opuszczone mieszkania.

— Artyści... — Gagouti wymownie uniósł wzrok. — Lunapolis zawsze miało z nimi problem.

Nikt go nie słuchał. Mężczyzna zamknął więc oczy, chłonąc głosy dobiegające z obu stron.

— Przydałaby się porządna nauczka, lekcja pokazowa, jak w starych dobrych czasach.

— Moim zdaniem popełniliśmy błąd, dając straży skrzydlate broje. Latający strażnicy są szybsi i bardziej przerażający, ale też lepiej widoczni. Oni powinni...

— Moim zdaniem wszyscy niepotrzebnie...

— ... coś, co wzmocni ich słuch i wzrok, a jednocześnie dzięki czemu nie będą się wyróżniać z tłumu. I powinni chodzić w cywilnych ubraniach, z ukrytą bronią...

— ... egzekucji...

— ...niebyło...

— Zastraszyć, to moja rada. Nie ma innego...

— ... Archiwum się nie zgodzi...

— Co za idiotyczny pomysł...

Gagouti odprężył się, przywołując myśli o psie, którego zostawił dziś w domu, by mogła się z nim pobawić jego mała wnuczka.

20

— Cóż, przynajmniej wiemy, że rzeczywiście warto było zboczyć z kursu — powiedział kapitan Cerniglia, patrząc na przesuwający się po ekranie obraz powierzchni planety. — To robi wrażenie, przyznaję.

W jego śmiechu Tasos Hairetis wychwycił lekką nutę nerwo-wości. Sam zresztą też czuł się niepewnie. Ruiny niewątpliwie były imponujące, ale jednocześnie budziły wielki niepokój. Porzucony na górskich zboczach labirynt. Wyrastające z mar-tywnej ziemi ciężkie, kamienne budowle, pokryte wielowiekowym kurzem i oświetlone światłem gasnącego słońca. Zbyt stare, pomyślał, zbyt ciemne. Inne i samotne. Miasto widmo.

Dachy przypominały poskręcane grzbiety biblijnych stworów, których szkielety, przysypane warstwą szarego piasku, spoczywają na pustyni. Hairetis nie chciałby znaleźć się tam, na dole, w płataninie schodów koloru popiołu, wśród domów rzucających głęboki, zimny cień. Tam, na dole, w świetle słońca, które nie dawało już ciepła, a tylko męczyło oczy chorobliwym blaskiem, jak luna pożaru.

Potrząsnął głową. Był rozsądnym człowiekiem, który nie powinien poddawać się takim nastrojom. — Ksenoarcheolodzy będą mieli tu raj.

— A my jesteśmy po to, żeby ułatwić im pracę i jak najszybciej wrócić do naszego zadania. — Cemiglia odzyskał już panowanie nad sobą. Był teraz taki, jak zawsze: energiczny, zdecydowany i pozbawiony wyobraźni. Z grzywą srebrnych włosów i w niedba-łe rozpiętym pod szyją mundurze kojarzył się ze starym jowial-ny wilkiem morskim. Wrażenie psuła tylko opalenizna, przy-

wodząca na myśl nie tyle słoneczne plaże, ile raczej samoopalacz w sprayu. — Zbieramy wszelkie możliwe dane i znikamy stąd. Marilia, masz pierwsze odczyty?

— Temperatura nieco powyżej zera, lekki wiatr, atmosfera zdalna do oddychania, brak śladów życia — oznajmiła szczupła brunetka. Miała wąską, smagłą twarz, zrosnięte brwi i ślad wąsika nad górną wargą, jak odcisk ubrudzonego węglem palca. Jednego i drugiego łatwo mogłaby się pozbyć, uważała jednak, że to dodaje jej uroku. — Schodzimy na dół?

— Rozkazy mówią wyraźnie, że możemy to zrobić tylko w razie konieczności. Ta planeta jest niebezpieczna. Podobno.

Ośmielona owym „podobno” i śladem sceptycyzmu na twarzy kapitana, Marilia Stavrena wyszczerzyła zęby.

— Chyba tylko dla ludzi z astmą, tam w dole musi być mnóstwo cholernego kurzu. Ale w porządku. — Uniosła dłonie, bo Cerniglia spojrział na nią ostrzegawczo. — Nie, to nie.

— Może nie chodzi o kurz — mruknęła Katia Kyrizaki, krzyżując ręce na piersi. Nieregularnie obcięte rękawy bluzy odsłaniały blade, piegowate ramiona, na których solidną warstwę mięśni porastała jeszcze solidniejsza warstwa tłuszczu. Prawy biceps zdobił tatuaż przedstawiający głowę królika w kapeluszu, najwyraźniej zrobiony w czasach, gdy ciało Katii było znacznie szczuplejsze, bo teraz, rozciągnięty i wyblakły, wyglądał jak sprany. — Może w tym pyłe żyją jednak jakieś organizmy wystarczająco drobne, żeby nasze czujniki nie mogły ich wykryć, i wystarczająco złośliwe, żeby nas załatwić?

— Zabójcze Bakterie Atakują — roześmiała się Marilia, ale zaraz spoważniała.

— Niech sobie atakują, byle nie nas. — Cerniglia posłał jej ciepły, ojcowski uśmiech, zawierający także lekkie napomnienie.

— My mamy misję do wykonania, a przede wszystkim powierzono naszej opiece półtora tysiąca osób, które są całkowicie od nas zależne.

Katia wpatrywała się w ekran, poruszając ustami, jakby żuła gumę, a jej szeroka twarz wyglądała w tej chwili na jeszcze bardziej tępą niż zazwyczaj. Wiele osób dawało się nabrać na ów pozór, tak samo jak dawali się nabrać na tatuaż, krótkie zielone

włosy i obcięte rękawy bluzy. Katia wyglądała jak starsza o dwadzieścia lat i cięższa o trzydzieści kilo dziewczyna małomiasteczkowego gangstera, w rzeczywistości jednak nie tylko świetnie znała się na swojej pracy, ale była też niezwykle spostrzegawcza.

To właśnie ona pochyliła się do przodu i krzyknęła:

— Cofnij!

— Co się stało? — Hairetis zatrzymał obraz. Miasto zastygło w blasku czerwonego słońca, cienie pod jednym z budynków ułożyły się w kształt skaczącego wilka. Mężczyzna zamrugał, ale wilk nie chciał zniknąć. — Zauważyłaś coś?

— Do tyłu i bardziej w lewo — komenderowała Katia, nie kłopotząc się odpowiedzią. — Teraz. Zatrzymaj i powiększ. Tu.

Powiększony obraz składał się głównie z pikseli. Hairetis wyostrzył go na tyle, na ile mógł i nieregularna dotąd plama przybrała kształt ludzkiej sylwetki, leżącej na ziemi z rozrzuconymi ramionami.

Marilia gwizdnęła cicho.

— Czy mnie oczy mylą, czy to rzeczywiście jest człowiek?

— Martwy człowiek — sprecyzowała Katia.

— Może to tylko gra cieni? — Hairetis miał w pamięci dopiero co zobaczonego wilka.

— Wątpię. Przesuń kamerę w lewo, jeszcze trochę... O tu, widzicie? To wygląda jak...

— Wahadłowiec, niech mnie szlag. — Tym razem odezwał się Cerniglia. — I to, sądząc po kształcie, nasz, z Kerberosu. Chyba znaleźliśmy ofiarę ostatniego lądowania na tej planecie.

— Damy radę ściągnąć ciało bez schodzenia? — zapytał Hairetis.

— Możemy podlecieć kopterem, a potem opuścić na linie kogoś, kto je podniesie. Innego wyjścia nie widzę. Tasos? Włóżysz skafander, więc nic się nie stanie, zresztą z powierzchnią będziesz miał kontakt może przez pół minuty.

Hairetis niechętnie skinął głową. Nie miał innego wyjścia. Kapitan wyznaczył właśnie jego, sam bowiem nie powinien ryzykować, a kobiet nie chciał wysyłać do potencjalnie niebezpiecznego zadania. Dla większości ludzi pleć nie miałyby

znaczenia, pech jednak polegał na tym, że Cerniglia był tradycyjnalistą wychowanym w neoagrarniej kulturze Thyone. Tasos nie podzielał jego przekonań, ale też bez dobrych powodów nie mógł zaprotestować.

Półtorej godziny później, gdy kopter do działań w atmosferze zszedł już na wysokość pięciuset metrów, Hairetis wsunął hełm i zapiął zatrzaski mocujące go do kombinezonu. Katia pomogła mu założyć uprząż.

— Gotowy?

Potwierdził, unosząc kciuk w górę. Bardziej gotowy już nie będzie, zwłoka mogła tylko napędzić mu więcej strachu. To tylko pół minuty, powtórzył w myślach. Co może się stać w ciągu pół minuty?

Kopter zawisł nad miastem, mieląc powietrze łopatomi wirnika. Jasnożółte smugi światła odepchnęły upiorny czerwony półmrok, blask omiótł zakurzone, wijące się schody, sporą część czegoś, co wyglądało na plac, szczątki wahadłowca i ludzką sylwetkę pogrzebaną pod warstwą pyłu, który falował na lekkim wietrze. Pył unosił się i opadał, jakby całe miasto, budynki, schody, place i porzucone zwłoki oddychały sennie pod wielką szarą kołdrą.

— Marilia, co tam? — Katia, nie pamiętając, że mówi przez interkom, odruchowo podniosła głos, by przekrzyknąć szum wirnika.

Pilotka syknęła.

— Czysto! Tasos może schodzić.

Zeszli na odpowiednią wysokość. Hairetis zjeżdżał ze stopami wygodnie wspartymi o nosze, na których miał umieścić ciało. Pięćdziesiąt pięć metrów, pięćdziesiąt, czterdzieści pięć...

Na wysokości czterdziestu odniósł wrażenie, jakby niespodziewanie wsunął się pod wodę. Przeszedł go dreszcz, choć w kombinezonie nie miał prawa czuć zimna. Uszy przytkana nagła cisza, dźwięk wirnika docierał stłumiony, jak przez grubą, obitą materacami ścianę. Mężczyzna szarpnął się, wystraszony.

— Tasos, wszystko w porządku? — głos Katii brzmiał w słuchawkach cudownie wyraźnie.

— Tak. Chyba tak. — Mężczyzna oddychał spokojnie, starając

się uspokoić łomoczące serce.

— Na pewno? Możemy wciągnąć cię na górę.

— Nie trzeba. Wszystko OK. Jestem prawie na miejscu.

Impet wywołany gwałtownym lądowaniem uniósł kurz i odsłonił zwłoki. Były skurczone i szerniałe, z resztką włosów Irzymających się nagiej czaszki, w szczątkach ubrania, którego koloru ani nawet kroju nie sposób było rozpoznać. Hairetis spojrział na nie sceptycznie, kucnął, wsunął ręce pod plecy i uniósł ciało, popychając je jednocześnie w kierunku noszy.

Było lekkie, jakby trzymał wyschnięte truchło przerośniętego polnego świerszcza. Zaraz się rozpadnie, pomyślał. Z wrażenia zrobiło mu się gorąco, cisza wciąż naciskała na uszy, jakby ktoś położył na nich dłonie. Nie chciał rozglądać się, nie chciał patrzeć na miasto widmo, miasto labirynt, spoczywające od tysiącleci pod szarym, poruszającym się na wietrze całunem. Może powinno spoczywać tak nadal. Może istniały rzeczy, których nie należało zmieniać.

Wepchnął ciało na nosze, po czym szybko, ukradkowym gestem i z poczuciem winy, zgarnął kilka drobnych zakurzonych kostek.

— Gotowe.

Obie liny - ta przywiązana do noszy i ta, do której przymocowana była uprząż Hairetisa - naprężyły się i drgnęły. Wtedy mężczyzna po raz pierwszy spojrział nie pod nogi, lecz przed siebie; zrobił to odruchowo, bo teraz już nie przejmował się miastem. Jego wzrok padł na stojący w odległości kilku metrów wrak wahadłowca. Sprawiał wrażenie bardzo starego. Prześarte rdzą ściany w wielu miejscach były tak cienkie i dziurawe, że przypominały delikatną, brązową koronkę, z której silniejsze podmuchy wiatru zdmuchiwały kurz.

— Jesteście pewni, że mamy właściwego człowieka? — zapytał z powątpiewaniem, gdy znaleźli się z powrotem na statku, a ciało spoczęło bezpiecznie w sali kwarantanny. — „Optymista” wylądował kilka miesięcy temu, a ten wrak sprawia wrażenie, jakby stał tu od lat. Ciało zresztą też chyba powinno inaczej wyglądać, choć na tym się nie znam.

Katia z ulgą zdjęła kombinezon, który założyła, by pomóc

przenieść zwłoki.

— Zaczekajmy na opinię lekarza, może ona coś wyjaśni. — Przeniosła wzrok na Cerniglię. — Bo przecież budzimy doktora Soulele, prawda?

Po chwili nieco dłuższej, niż potrzeba na zastanowienie się, kapitan skinął głową.

— Budzimy.

Wyciągnięty brutalnie ze stanu hibernacji Anton Soulele zakaślał, wypluwając resztki wody zalegającej w krtani. Trząśnięty, mrużył oczy i sztywnymi palcami bezskutecznie próbował złapać narzucony na ramiona koc. Hairetis poklepał go po ramieniu i pomógł przytrzymać przy ustach kubek.

— Obudziliście mnie... — wyrzucił lekarz. Odchrząknął. — Obudziliście mnie, żebym zbadał ciało?

— Tak się złożyło — mruknął Tasos z niejaką skruchą. Soulele był mały, żyłasty i pomarszczony jak zółw, ale oczy miał zaskakująco duże i łagodne. Być może z powodu tych oczu Hairetis poczuł do staruszka sympatię. — To nikt z naszych, na szczęście. Chodźmy, po drodze wszystko wyjaśnię. A, i będzie pan musiał włożyć skafander. Poradzi pan sobie?

— Człowieku, ja w tej chwili nie umiałbym sam włożyć gaci.

Na szczęście po kolejnym kubku kawy Soulele odzyskał władzę w palcach na tyle, by z gaciami sobie poradzić. Jednak z podopinaniem kombinezonu Tasos musiał mu już pomóc.

Wyraźnie czując się niepewnie w grubym, sztywnym ubraniu i hełmie, staruszek poczłapał do sali kwarantanny. Ciało, leżące aa stole jak zwęglona ofiara pożaru, najpierw obejrzał przez szybę. Pokręcił głową - nie wiadomo czy z dezaprobatą, czy ze współczuciem - po czym wcisnął przycisk otwierający pierwsze drzwi.

— Niech pan pamięta, proszę w żadnym przypadku... — zaczął Hairetis, lecz Soulele uniósł rękę.

— Znam procedurę.

Zamknął za sobą pierwsze drzwi i dopiero wtedy otworzył drugie. Tasos obserwował go w napięciu na wpół przekonany, że staruszek - jak Cerniglia pochodzący z Thyone - okaże się zagubiony w laboratorium. Jednak nie. Anton Soulele ożywił

się wyraźnie, gdy podszedł do ciała, i wyglądało na to, że znakomicie sobie radzi.

— Brak śladów pozostawionych przez zęby drobnych zwierząt — głos w interkomie był stłumiony, ale wyraźny. — Brak jaj i larw owadów, ograniczona działalność bakterii gnilnych. Temperatura na powierzchni jest niska, prawda?

— Niewiele wyższa niż zero — przyznał Hairetis.

— Co sprzyja zachowaniu zwłok w dobrym stanie. Dziwne, mamy tu do czynienia z niemal zahamowanym procesem gnicia i zaawansowaną autolizą... Nie widzę śladów żadnych podejrzanych infekcji bakteryjnych. Synu, może jednak zdejmę z siebie to ustrojstwo i założę po prostu rękawiczki?

— Lepiej nie.

— Masz rację, lepiej nie. Daj mi chwilę na przeprowadzenie jeszcze kilku badań. — Przez jakiś czas w interkomie było słycać tylko oddech lekarza. Mężczyzna nagle przerwał ciszę, rzucając ze złością — czy wy próbujecie zrobić ze mnie idiotę? To ciało ma ponad dwadzieścia lat!

— Jest pan pewien?

— Niczego nie jestem pewien, od kiedy wyciągnęliście mnie z tej lodówki, ale tak mówi analiza spektrometryczna, a ja przywykłem jej ufać. Zaraz, moment, macie tu może zwykłe nożyczki?

— Powinny być w szufladzie po lewej.

Hairetis patrzył, jak Soulele wycina kawałek materiału ze strzępów ubrania i kładzie go pod okular mikroskopu. Po chwili w interkomie rozległo się soczyste przekleństwo, a lekarz gestem przywołał Tasosa bliżej szyby. Mężczyzna niemal rozpląszczył nos o szkło.

Soulele odwrócił w jego stronę ekran, na którym widniał powiększony i komputerowo podrasowany obraz wzoru odtworzonego z kawałka materiału.

— „Optymista” — przeczytał Hairetis. — Ten człowiek miał na ubraniu naszywkę z nazwą „Optymista”.

— Aha — przyznał lekarz. — Facet wyleciał na statku kilka miesięcy temu, trafił tu, umarł, a teraz jego ciało liczy sobie ponad dwadzieścia lat. Rozumiesz coś z tego?

Tasos Hairetis nie rozumiał.

Wieczorem - czy przynajmniej w porze, która na „Arce Odrodzenia” uchodziła za wieczór - Hairetis położył się wcześniej do łóżka, ale nie mógł zasnąć. Obracał się w przepoconej pościeli, czując coraz większy ciężar na piersi. Jakby ktoś włożył mu kamień do płuc. Oddychał z trudem, pod powiekami wciąż mając obraz upiornego miasta. Gdy nie spał, wiedział, że to kurz unosi się i opada na wietrze, lecz gdy wreszcie zapadł w ciężki półsen, zdało mu się, że to miasto porusza się pod kurzem. W jego wizji schody i te dziwne, wielosegmentowe budynki pełzały pod szarym przykryciem, przemieszczały się i wiły, cierpliwie dążąc w sobie tylko znane miejsca.

Było mu gorąco, odrzucił więc kołdrę. Chwilę później chwycił go atak kaszlu. Usiadł i zapalił światło; jasny, ostry blask wdarł się pod powieki i posiekał mózg na drobne skrawki.

Hairetis kaszłał, zgięty wpół, zlany potem, z zamkniętymi oczami, z których spływały łzy.

— Co jest, kurwa... — wyrzeźził, gdy mógł już złapać oddech.

Wstał i podszedł do lustra w łazience. Blady, z ceglastymi plamami na policzkach, wyglądał trochę jak dziecinna lalka, a trochę jak upiór. Właściwie bardziej jak upiór.

Zakaszłał znowu, chwytając się brzegu umywalki. Była chłodna, a chłód był dobry. Kamień w płucach Hairetisa roztopiał się i zalewał wnętrze falą gorąca. Mężczyzna poczuł, jak coś w nim się urywa. Właśnie tak - że głęboko w jego ciele odpada krwawy strzep mięsa.

Gdy znowu zakaszłał, upstrzył biel umywalki szkarłatnymi kroplami.

21

Pantalekis wracał nad ranem z nocnych eskapad, jadł śniadanie, kładł się do łóżka i wstawał na obiad. Potem kręcił się po domu Issy, pisał - choć już z mniejszym zapalem - dziennik, ćwiczył z Nirajem i spotykał się z kobietami, a w przerwach łapał jeszcze odrobinę snu, polegając w ubraniu na kanapie

albo w fotelu. Z drzemek budził się jeszcze bardziej zmęczony, z ociężałą głową i suchością w ustach, jak na kacu.

Coraz częściej bywał przygnębiony lub rozdrażniony. Na początku sądził, że może to przez niedobór światła słonecznego, lecz przecież zdarzało się wcześniej, że całe tygodnie spędzał w ciasnych kabinach statków międzygwiazdnych i nigdy nie było tak źle. Wyglądało więc na to, że dopadła go wreszcie tęsknota za domem. Na nic zdawało się tłumaczenie samemu sobie, że w razie czego zdoła się tu nieźle urządzać. Pantalekis miał dość tego świata, dość Issy wraz z jego zagmatwanymi planami, dość Niraja, który nocą, gdy nie wychodzili na miasto, błąkał się po domu niczym stuknięty blaszany Hamlet. Tęsknił za Kerberosem, za rzeczywistością, którą znał i z którą potrafił sobie radzić.

Tam był panem własnego losu, tu kukielką objaną i wykorzystywaną przez ludzi, których nie rozumiał, i siły, których zrozumieć nie chciał. Nawet brane do łóżka dziewczyny, niby mówiące tym samym językiem co on, plotły takie bzdury, że Pantalekisowi przewracały się wnętrzności.

Chcę pogadać z kimś normalnym, myślał, gapiąc się w sufit, na którym skrzydlate błękitne smoki otaczały ciemne ślepie inoszyby. Kimś, kto będzie miał sztukę w dupie, kto nie będzie mi opowiadał, jak bardzo jest oryginalny, bo potrafi wyrecytować pieprzoną treść pieprzonego atlasu kozic górskich albo chwycić się stopą za ucho. Chcę sypiać ze zwyczajnymi, miłymi dziewczynami, które interesują się plotkami o aktorach i najnowszymi metodami powiększania biustu. Chcę robić interesy z ludźmi, którzy cenią sobie złoto i drogie kamienie, a nie zdarte ze zwierzaków futra. I zjeść porządny barani kotlet, i napić się porządnego piwa. Czy ja tak dużo wymagam?

Gdy sufit nie odpowiedział, Pantalekis sięgnął do kieszeni. Moneta była chłodna i wyslizgana od częstego pocierania. Wyjął ją.

— Możesz mi to załatwić? Co, mała? A może masz co do mnie własne plany? Nie? To powiedz mi, czy szybko wrócę do domu.

Chuchnął w zaciśniętą pięść i rzucił pieniążek na posadzkę. Nie chciało mu się wstawać z kanapy, wychylił się więc, skrę-

cając głowę pod bolesnym kątem, by spojrzeć, na którą stronę upadł.

Awers, tak.

Z wrażenia usiadł. Gdy podnosił monetę, dłonie mu drżały.

— Czy... — zawahał się. To już nie były wyglupy, tylko poważna sprawa. Jak zawsze w takich chwilach poczuł grozę przemieszaną z absurdalną nierealnością sytuacji. Powinien się już przyzwyczaić, ale jakoś mu nie wychodziło. — Czy statek z mojego świata przyleciał?

Zdenerwowany, rzucił monetę za daleko, na drugi koniec pokoju. Widział ją teraz z oddali, jak połyskuje złotem pod szklano-heliotropowym stolikiem, niemal dokładnie pomiędzy trzema rzeźbionymi nogami: lwią, strusią i końską.

Przez głowę przeleciały mu strzepy zapamiętanych z dzieciństwa modlitw, jednak przegnał je na wszelki wypadek. Nie był pewien, czy to... coś, co rządzi monetą, nie poczuje się aby urażone, jeśli zacznie wzywać obcych bogów. Ograniczył się więc tylko do powtarzanego w myślach „proszę...”, skierowanego nie wiadomo do kogo czy czego.

Wstał i na miękkich nogach podszedł do stolika. Ukląkł, nachylił się.

Awers. Tak.

Powtórzył pytanie i rzut, i jeszcze raz. Odpowiedź za każdym razem była taka sama.

Miał szczęście, że klęczał, bo gdyby stał, prawdopodobnie zawiodłyby go mięśnie.

— Dziękuję, kurwa, dziękuję, kurwa... — mamrotał, ściskając monetę w garści.

Gdy trochę się uspokoił, zerknął na stojący pod ścianą wysoki i cudacznie poskręcany zegar. Pięć tarcz informowało, jaka jest pora w odległych i bezludnych już miastach, szósta pokazywała czas lunapolijski.

Do zmroku pozostały dwie godziny.

Jeśli miał się wymknąć, teraz była najlepsza okazja.

Może uda mu się nawiązać kontakt od razu, a może będzie musiał wrócić. W takim przypadku postara się - naprawdę się postara - zdążyć, nim zapadnie noc.

O zachodzie słońca, gdy całe miasto oblane było gęstniejącą z każdą chwilą czerwienią gryczanego miodu, na siedmiu najważniejszych placach Lunapolis zjechały w dół sceny ruchomych leatrów.

Ludzie zatrzymywali się, choć bez wielkiej ciekawości. Ostatnio prezydent miał sporo do powiedzenia obywatelom - że zamknięta zostanie część lokali, że obowiązuje zakaz zgromadzeń lub że strażnicy uzbrojeni w wynalazki Archiwum zajmą się zaprowadzeniem porządku.

Spodziewano się kolejnej podobnej wiadomości i twarze widzów już zaczynał wykrzywiać grymas niechęci. Jednak uruchomione przez animatorów figury po prostu skłoniły się, chwilę trwały w milczeniu, po czym oznajmiły mocnymi głosami, że o północy zapraszają lunapolitan na „barwne i zarazem pouczające widowisko, podczas którego zbrodnie burzycieli porządku społecznego zostaną przykładowo ukarane”.

Informację tę przyniósł Ionne, pędząc co sił w krótkich, krzywych nogach, zaczerwieniony z wysiłku i poczucia własnej ważności. W domu przy placu Sworzni, gdzie mieszkała teraz Kaira wraz z Finnelem i dziećmi, kończył się senny dzień, a rozpoczynała pracowita noc. Dziewczyna, która sypiała w porach równie dziwnych co Pantalekis, właśnie się zbudziła. Siedziała na łóżku z twarzą opuchniętą od snu i z potarganymi włosami, w luźnej męskiej koszuli, która - krzywo zapięta - opadała z lewego ramienia, odsłaniając poszarpaną bliznę. Obok leżał Nalle - nagi, śliski od potu, długoręki i długonogi; przypominał bladą żabę. Reszta dzieci stała wokół łóżka, w herbacianym półmroku wczesnego wieczoru mrugając ślepiami zaciekawionych sów.

— Zbrodnie burzycieli porządku — powtarzał Ionne — ukarane. Dziś o północy. To znaczy, że będzie egzekucja.

Patrzyli na niego wszyscy, z wyjątkiem Finnena - on nie był zdumiony nagłym posunięciem prezydenta miasta, w gruncie

rzeczy czegoś podobnego nawet się spodziewał. Publiczna egzekucja była logicznym następstwem wszystkich poprzednich działań władz, mających na celu zastraszenie miasta. Względnie łagodne środki nie poskutkowały, trzeba więc sięgnąć po coś mocniejszego.

Finnena to nie dziwiło i planowanym widowiskiem nie zaprzętała sobie chwilowo głowy. Patrzył na Kairę i na budzące litość ciało Nallego, myśląc, że tych dwoje, u licha, w ogóle do siebie nie pasuje. A czy pasowali do siebie Kaira i Jaramei? Nie dalej jak wczoraj widział je przecież w tym samym łóżku. Albo Kaira i którekolwiek z dzieci?

Kłopot polega na tym, że nie pasowali, lecz dziewczynie najwyraźniej to nie przeszkadzało. Finnen nie mógł pojąć, jakim cudem ktoś tak absolutnie pozbawiony jakiegokolwiek kokieterii mógł wpaść na to, by uczynić seks narzędziem kontrolowania grupy. Kaira sypiała z tymi, których pragnęła nagrodzić, a odstawiała od łóżka dzieciaki, które zamierzała ukarać. System funkcjonował tak sprawnie, że Finnen - choć dla niego nie było w nim miejsca - nie mógł nie czuć podziwu. Kaira wciąż nie robiła niczego, by się upiększyć. Chodziła w męskich ubraniach, miała stwardniałą skórę na dłoniach, a włosy, jeżeli w ogóle jej się chciało, spletała po prostu w krótki warkoczyk. Lecz w ciągu ostatnich dni (to się zaczęło od czasu Archiwum, myślał Finnen, kiedy planowaliśmy napad na Archiwum) ów brak wdzięku zaczął coraz wyraźniej stawać się wdziękiem samym w sobie i Kaira, opromieniona blaskiem, jaki daje władza, z płonącymi wiarą oczami i ciałem naznaczonym siecią blizn, zadrapań oraz sińców, wydawała się Finnenowi najbardziej pociągającą kobietą, jaką widział w życiu.

Teraz poprawiła zsuwającą się z ramienia koszulę i oznajmiła, że muszą koniecznie być przy egzekucji, co Finnena nie zdziwiło. Zaprotestował jednak, bo przecież dobrowolnie przyjął na siebie rolę głosu rozsądku grupy i pełnił ją uczciwie, choć zarazem z fatalistycznym przecuciem przegranej.

Zabrali ze sobą kilka wynalazków, skrywając je pod warstwami ubrań. Finnen był zadowolony: w razie kłopotów pancierz Nallego, konstrukcja Arikol czy nawet rękawice dodające zręczności lub wzmacniający głos łańcuch mogły się przydać. A kłopoty, niestety, przewidywał. Inna rzecz, że wynalazki mogły też zaszkodzić, bo dzięki nim dzieci stawały się bardziej zuchwałe.

Wszystkie, nie tylko Nalle, który jako jedyny nosił coś, co przydawało się w walce. Jakby nikt i nic nie mogło im zagrozić. Były nieśmiertelne, każdy w tym wieku jest. Miały też krótką pamięć - niedawno przecież zginęła Chira, której zwierozbroja w niczym nie pomogła. To jednak nie miało dla nich znaczenia, było przeszłością i dlatego się nie liczyło, podobnie zresztą jak nie liczyła się przyszłość. Mówiły, że chcą walczyć o lepsze jutro, jednak Finnen był przekonany, że powtarzają tylko słowa Kairy. Wiedziały, że ona chce to usłyszeć, być może nawet wydawało im się, że same tego pragną. Lecz tak naprawdę żyły terażniejszością, a nie wiarą w jakiegokolwiek „jutro”. To go martwiło.

Założmy, rozważał, że uda nam się połączyć rzeczywistości. Co wtedy pocniemy z dziesiątką chłopców i dziewczynek, którzy za wcześniej zaczęli zabijać, z gromadą przywykłych do adrenalinowego haju małaolatów?

Z Arikol, Ionne i Tashą wspinali się schodami na plac Solny. Rozdzielili się na kilka mniejszych grup, nie chcąc zwracać na siebie uwagi, i podążali teraz odmiennymi drogami w to samo miejsce. Kaira proponowała, by każda z tych grup poszła na inny plac, bo w mieście miało się odbyć siedem różnych egzekucji, lecz Finnen zaprotestował i tym razem zdołał postawić na swoim. Ja mogę być w kilku miejscach jednocześnie, oznajmił, ale ty nie, a bez ciebie kto wie, co strzeli do głowy dzieciakom? Już gdy wyszli z domu, przemknęło mu przez myśl, że nie było to właściwie zadane pytanie. To prawidłowe brzmiało: „Co strzeli do głowy Kairze?”.

Noc z początku była księżycowa, lecz kiedy minęli nieczynną galerię handlową przy Schodach Wiertel, zaczęło się chmurzyć,

a nim dotarli na plac Solny, z ciężkich chmur sypnęło śniegiem. Finnen ciasniej otulił się kurtką.

Kaira czekała już na nich w towarzystwie Tuira, Jaramei i Mirrisa. Na jasno oświetlonym placu było sporo ludzi. Kręcili się tu i ówdzie, popijając sprzedawaną ze straganów gorącą czekoladę oraz parujące na zimnie wino, pogryzając pieczone kasztany i najwyraźniej walcząc z potrzebą zbiccia się w rozdykutowany tłumek. Temu ostatniemu skutecznie przeciwdziałali skrzydlaci strażnicy, którzy za każdym razem, gdy liczba zebranych przekraczała dziesięć osób, podlatywali do grupy i nawoływali do rozejścia się.

— Jak oni wyobrażają sobie oglądanie czegokolwiek w taki sposób? — zapytała Kaira. — Przecież jeśli zejdzie się więcej ludzi, to tak czy inaczej będzie tu jedna wielka ciżba.

— Może na czas widowiska dadzą nam spokój — zasugerował Finnen bez przekonania. Jego uwagę przyciągnął ruch na podniebnym trakcie. Coś tam się przesunęło, coś ciemnego, wielkiego i sądząc po tempie przemieszczania, ciężkiego.

Chłopak patrzył w górę, ramię nad czołem nie pomagało, śnieg sypał mu w oczy. Mrugnął, obraz rozmazywał się i odkształcał.

— Kaira, spójrz, co to?

— Nie wiem. — Dziewczyna również zadarła głowę, białe, szczepione ze sobą płatki osiadały jej na twarzy i rzęsach. Włosy, które od czasu do czasu przeczesywała palcami, miała już niemal całkiem mokre.

Dołączyły do nich pozostałe dzieci. Sura ścisnęła w rękę oblane karmelem jabłko, nadgryzione, a potem zapomniane, kiedy dziewczynka zamarła, z otwartymi ustami i lepkiem śladem cukru pod nosem, wpatrzona w podniebny trakt. Teraz już wszyscy spoglądali w tamtym kierunku. Ludzie szeptali do siebie, machając dłońmi nad głowami, i nawet strażnicy coraz rzadziej rozganiali tłum, a częściej zerkali w górę.

Krzętały się tam rozmazane w śnieżycy, zwinne cienie. Wskakiwały na poręcz, majstrowały coś przy zaczepach mocujących teatralne sceny do traktu, potem zeskakiwały z powrotem i wspinały się na ów ciemny, masywny i kwadratowy

kształt, który przyciągnęły ze sobą.

— To klatka. — Tuir pierwszy zorientował się, na co właściwie patrzą. — Zaczepią ją na hakach i opuszczą w dół jak scenę.

Zebrani na placu także musieli na to wpaść, bo przez tłum przeszedł pomruk. Ludzi przybyło, Finnen nie zauważył nawet kiedy. Jakby spadli na bruk razem ze śniegiem, pomyślał. Ulepiona z mroku masa ludzka, szereg szarych sylwetek falujących niespokojnie w zupie z żółtego światła latarni i białych, kotłujących się płatków. Czasem widział ich oczy, płonące jak ślepie drapieżników. Nie był pewien, czy oni chcą, aby egzekucja się odbyła, czy też zamierzają rozszarpać kata gołymi rękami. Może pragnęli jednego i drugiego jednocześnie, a może te spojrzenia były złudzeniem i tak naprawdę gapie bali się równie mocno jak Finnen?

Kaira chwyciła go za rękę. Palce miała lodowate, mokre włosy zwisały w strąkach wokół twarzy, a mimo to dziewczyna nie wyglądała na zziębniętą.

W metalicznym łomocie rozwijanych łańcuchów klatka zaczęła zjeżdżać. Zbudowana z żelaza i szkła, jak akwarium, wypełniona jednak nie wodą, lecz ciepłym światłem, kołysała się nad głowami widzów. Z piersi tłumy wyrwał się okrzyk. Finnen i dzieci też krzyknęli, Kaira milczała. Łańcuchy zgrzytały, wiatr wiał coraz silniej, klatka chwiała się, siejąc wokół bursztynowym blaskiem. Wewnątrz znajdowało się dwoje ludzi.

Naga kobieta przypięta była do szklanej ścianki, mężczyzna stał na szeroko rozstawionych stopach i z trudem utrzymywał równowagę. Nosił maskę i - jak na ironię - czarny płaszcz z kapturem, w jakim przedstawiano Przedksiężycowych.

Gdy klatka-akwarium wyhamowała, mężczyzna omal się nie przewrócił. Dopiero teraz Finnen zauważył, że ubrany na czarno człowiek ma przyczepiony do pasa przyborek podobny do łyż, jakie nosili art-złodzieje. Tyle że - chłopak był tego pewien przyborek nie zawierał kompletu wytrychów, lecz narzędzia do zadawania bólu.

Kobieta była przytomna, jej ciało od czasu do czasu skręcało się konwulsyjnie w metalowych pierścieniach założonych na

ręce i nogi. Przez dźwiękoszczelne szyby nie przenikały słowa, jednak Finnen odniósł wrażenie, że uwięziona krzyczy na kata, że klnie i próbuje go poniżyć. Ale oczy miała martwe - zwrócił na to uwagę, choć w gęstej śnieżycy umykało mu sporo szczegółów matowe i ciemne jak wypalone gwiazdy.

Kat wyjął z przybornika ostry skalpel i z wprawą zaczął wycinać na odsłoniętym brzuchu bukiet krwawych kwiatów, lego spokój, precyzja ruchów i niewątpliwy artyzm kontrastowały z wściekłością ofiary. Tak naprawdę kobieta nie budziła współczucia. Nie była ładna ani młoda, a Finnen podejrzewał bo pewności mieć nie mógł - że nawet kiedy się nie złościła, miała nieprzyjemne, jędrzowate rysy. Teraz straciła nawet ludzki wygląd. Z odsłoniętymi zębami i twarzą wykrzywioną furią przypominała raczej groźne zwierzę. Pies, który się wściekł, pomyślał chłopak. Jego wiedza pochodziła z książek, lecz odziedziczony po przodkach instynkt wciąż reagował prawidłowo, rozpoznając niebezpieczeństwo.

W tłumie rozległy się posykiwania i szmery. Jeśli na początku sympatia była po stronie ofiary, to teraz szala zaczynała się przechylać na stronę eleganckiego, poruszającego się jak w tańcu kata.

Jedynie Kaira nie poddała się ogólnej tendencji.

— Możemy ją ocalić — szepnęła gorączkowo. — Szkło nie może być grube, bo inaczej nie daliby rady zaciągnąć klatki na podniebny trakt. Rozbijemy szyby kamieniami, a jak nie, to Nalle pomoże, ma na sobie pancerz. Strażnicy...

Oczy tej kobiety, pomyślał Finnen. Żaden człowiek, wściekły czy przerażony, nie powinien mieć takich oczu.

— ... będą interweniować, ale ludzie nam pomogą, Finnen...

— Czekaj. — Ścisnęła palce Kairy. Nie próbowała się wyrwać. Na razie.

— Nie możemy czekać, ona się wykrwawi!

— Proszę. Daj mi chwilę.

Kobieta wciąż wila się w więzach, jakby upływ krwi wcale jej nie osłabił. Naga, zakrawiona i torturowana przez ubranego na czarno mężczyznę. Finnen widział tragiczną tandetność tej sceny - doprawdy, jeśli ktoś zamierzał urządzić widowisko ku

uciesze ludu, to szukając wzoru, mógł sięgnąć do czegoś ambitniejszego niżli prymitywne pisemka dla wielbicieli artzbrodniarzy. Z drugiej strony przedstawienie chyba działało. Ludzie nie mogli oderwać wzroku od szklanej klatki. Problem polegał na tym, że Finnen przez cały czas miał wrażenie, iż ten kicz, banał i tandeta przesłaniają mu coś znacznie ważniejszego.

— Finnen!

Kat zabrał się właśnie do krojenia lewego uda kobiety. Ciął, jakby obierał pomarańczę, pasek za paskiem.

— Finnen! — zawyła Kaira. Wyrwała mu dłoń, ale zdążył chwycić ją za ramię.

— Ta kobieta nie żyje — powiedział. — Patrz na jej oczy! Patrz, jak się rusza!

— Co...

— Wciąż powtarza się ta sama zapętłona sekwencja. Teraz spróbuje kata kopnąć, teraz szarpnie się w prawo, a za chwilę odwróci głowę. To skomplikowana, długa pętla, dlatego nie widać tego od razu, ale wystarczy popatrzeć na jej oczy. Wypatroszyli ją, wpakowali pod skórę obwody, tłoki i zębate kółka, nawet zszyli tak, że nie ma śladu. Ale nie potrafili ożywić oczu. Widzisz?

— Widzę. — Napięte mięśnie pod palcami Finnena rozluźniły się i chłopak puścił ramię Kairy. Dziewczyna odetchnęła.

— Dlaczego to robią? Żeby zastraszyć miasto?

— Może to pułapka. Może ktoś spodziewał się, że zareagujesz tak właśnie, jak chciałaś zareagować. Chodź.

— Dokąd?

— Na dach Bractwa Matematyków. Stamtąd będzie lepiej widać. Weź ze sobą dzieciaki. Gdzie Mirris i Occri?

— Przed chwilą tu byli. — Kaira rozejrzała się po tłumie.

— Poszli kupić pieczone kasztany — oznajmiła Sura. — Powiedzieli, że zaraz wrócą.

— Trudno, potem się znajdą. Chodźcie.

Aby dostać się na dach, Finnen musiał sforsować dwa zamki, co uczynił, podczas gdy Kaira gawędziła z nocnym stróżem, który z powodu zmieniającej wygląd plecionki wziął ją za niezyszącą od lat matkę.

— Popłakał się -- mruknęła dziewczyna, gdy wspinali się krętymi schodami. Inoszyby dawały ledwo tyle światła, by podkreślić wyłaniające się z ciemności rybie paszcze, wyrzeźbione na kratownicy otaczającej szyb windy. Chłopak zastanowił się przelotnie, po co winda w budynku, który ma dwa piętra, i pożałował, że nie wziął latarki. Dzieciaki popychały się i posykiwały w mroku. — Niech mnie Przedksiężycowi zostawią z tyłu, facet naprawdę się popłakał. I wciąż ryczy. Myślisz, że wszystko z nim będzie w porządku?

— Mam nadzieję.

Zauważył, że w każdym rozwartym rybim pysku tkwi miniaturowa ludzka twarz z otwartymi ustami. Być może w ustach znajdowały się kolejne paszcze, ale nie zatrzymał się, by sprawdzić. Zresztą i tak było zbyt ciemno.

Przesuwając dłonią po rzeźbionej poręczy, wyczuł warstwę kurzu. Ciekawe, czy ktoś tu jeszcze był? Bractwo zostało założone przez studentów, lecz na uniwersytecie od kilku Skoków nie było już kierunków ścisłych. Może budynek został zupełnie opuszczony, może nawet mężczyzna w stróżówce był tylko stróżem samozwańczym, który pełnił tę funkcję nie dlatego, że mu płacono, lecz z nudów, z powodu nadziei na Przebudzenie lub przez sentyment do dawnych czasów.

Po drabince wspięli się na płaski dach, z którego wyrastały oblepione białym puchem tarcze księżycowe. Śnieg przestał padać, wiatr przegonił chmury i odsłonił małego i odległego Wołu.

Finnen kucnął na skraju dachu. Obejmował stąd wzrokiem niemal cały plac, a jednocześnie wciąż mógł obserwować szczegóły. Dlatego właśnie wołał ten, a nie któryś z wyższych budynków. Obok przykucnęła Kaira, dalej dzieci, rządkiem, jak stado ptaków. Kobieta w klatce nie była już naga, teraz okrywała ją

krew. Ruchliwa czerwień spływała po jej ramionach, piersiach, brzuchu i udach. Tylko twarz pozostała blada. Kobieta coraz słabiej szarpała się w więzach - widać ktoś przytomny pomyślał o tym, że tortury powinny jednak w pewnym momencie nadważyć jej siły.

Gdy kat zanurzył ostrze zbyt głęboko w szyi, sięgnąć musiał poprzez warstwę ciała do mechanizmu. Z rany poszły iskry, mężczyzna w czerni cofnął się niepewnie. Po chwili wrócił do pracy. Na placu nikt chyba nie zauważył incydentu. Może, pomyślał hinnen, z dołu wyglądało to zupełnie inaczej. W miarę jak ofiara słabła, tłum stawał się coraz bardziej rozeźlony. Niektórzy wciąż leszcze nagradzali kata oklaskami za szczególnie zgrabne cięcia, lecz większość buczała gniewnie i wygrażała pięściami. Finnen zauważył, że dwie czy trzy dłonie już ściskają kamienie.

Pierwszy nie stłukł szyby, drugi też nie - oba odbiły się od szkła i spadły na głowy tych, którzy znajdowali się tuż pod klatką. Ktoś krzyknął z bólu, rozplakało się jakieś dziecko. Trzeci kamień pozostawił na szybie siatkę drobnych pęknięć.

Finnen obserwował ludzką masę. Miał wrażenie dysonansu, jak wtedy, gdy po raz pierwszy zauważył oczy torturowanej kobiety i jej mechaniczne ruchy. Zebrani na placu zlewali się w morze otwartych ust, wykrzywionych twarzy i rumieńców na policzkach. Jednak nie wszyscy tak wyglądali. Tam, w dole, byli też inni ludzie, spokojni i czujni. Czasem również wznosili okrzyki oraz pięści, lecz robili to bez przekonania, a ich spojrzenia kierowały się nie w stronę klatki, lecz sąsiadów. Obserwowali ich ukradkiem, tak by w każdej chwili mogli odwrócić wzrok, gdy tylko zostaną przyłapani.

Chłopak nerwowo potarł czoło. Mylił się czy nie? Nie, chyba jednak nie, bo oto jeden z owych ludzi dał dyskretny znak drugiemu, a po chwili stojący obok mężczyzna o szczególnie zaciętrzewionej minie zaczął być popychany. Tak właśnie to wyglądało. Popychany. Seria na pozór przypadkowych ruchów, jakie zdarzają się przecież w tłumie - ktoś zastąpił mu drogę, ktoś cofając się, wpadł na niego, jeszcze ktoś inny złapał za łokieć i pociągnął do tyłu. Mężczyzna próbował walczyć, lecz

robił to nieudolnie, jego gniew osłabł, on sam sprawiał wrażenie oszołomionego, jakby dopiero się zbudził. Szybko znalazł się na skraju placu, gdzie ujęła go pod ramię jasnowłosa kobieta. Finnen z tej odległości nie widział ich wyraźnie, w dodatku zaczął padać śnieg z deszczem, odniósł jednak wrażenie, że kobieta go podtrzymuje.

Chwilę później ujrzał podobną scenę i wskazał ją Kairze. Tym razem ofiarę przejął brodaty młodzieniec, który poprowadził ją w stronę Schodów Haków.

— Wyławiają ludzi, którzy najbardziej się buntują — mruknął Finnen.

— Liczą, że w ten sposób trafią do nas — podsumował Nalle, a Sura zapytała naiwnie:

— Jak to do nas?

Chłopiec parsknął.

— Do ludzi, którzy są odpowiedzialni za to, co dzieje się w Lunapolis — wyjaśnił z wyższością. — Mają nadzieję, że ktoś z tych tutaj coś wie i sypnie na przesłuchaniu.

— Czekajcie. — Finnen pobiegł na drugi koniec dachu i znalazł się nad Schodami Haków.

Brodaty młodzieniec i jego ofiara już tam byli. On nie wyglądał na strażnika, ona - bo tym razem była to kobieta - nie sprawiała wrażenia aresztowanej buntowniczkii. Słaniała się z głową na ramieniu mężczyzny. Przez chwilę Finnen zwątpił. Może kobiecie po prostu zrobiło się słabo w tłumie? Bywa.

Lecz jeśli tak, dlaczego ten człowiek prowadził ją nie w dół schodów, lecz w głąb konstrukcji otaczającej budynek uniwersytetu? Finnen znał to miejsce - w podcieniach splecionych łuków, naśladujących kształtem najróżniejsze, często trudne do rozpoznania litery, nie było żadnej kawiarni, żadnego miejsca, gdzie można by ocucić zemdłoną.

Kaira kucnęła obok, omiotła mu policzek zimnym oddechem. Odwrócił się. Jej oczy też były zimne. W połyskujących strugach deszczu twarz dziewczyny miała kolor rtęci, białe włosy przypominały sople lodu. Zdjęła kurtkę, odsłaniając wiszący u boku nóż. Chłopak poczuł ochotę, by położyć rękę na jej karku i poczuć pulsujące wewnątrz ciepło.

— Patrzcie! — krzyknął Nalle, który podobnie jak Kaira, nie posłuchał Finnena.

Kobieta prowadzona przez brodacza znikła, a chwilę później w podcieniach uniwersytetu przepadł też jej towarzysz. Finnen potarł policzek. Dopiero teraz zauważył, że prostokątna metalowa rama, którą wcześniej wziął za część konstrukcji, wcale nią nie jest.

— Transportery Materii Ożywionej, niech to szlag — wymamrotał. — Ustawili wokół placu bramy i teraz mogą błyskawicznie przenosić ludzi, dokąd chcą. Co robimy?

— Zejdziemy — oznajmiła Kaira. — Nie schodami, nie ma sensu więcej straszyć tego nieszczęsnego stróża. Po tym. — Podbródkiem wskazała rynnę, będącą jednocześnie łądygą róży. Mokry od deszczu i topniejącego śniegu metal wyglądał na cholernie śliski. — Ruszcie się, nie mamy czasu do stracenia.

Nim znaleźli się na dole, Finnen zdążył się zastanowić, czy to by coś dało, gdyby wspomniał, że nie są odpowiedzialni za nieszczęśników prowadzonych do bram. Doszedł do wniosku, że nie. Pamiętał przecież, że Kaira zdjęła kurtkę, zanim nawet którekolwiek z nich pomyślało o zejściu - zdjęła ją, by ciężkie okrycie nie krępowało ruchów i by łatwo mogła chwycić nóż.

Zeskoczył na ziemię w ślad za Nallem. U wylotu schodów pojawił się następny niewyglądający na strażnika strażnik, który prowadził buntownika niesprawiającego wrażenia buntownika.

Cofnęli się w cień.

— Nie znamy tego człowieka — wymamrotał. — To nikt z naszych.

Kaira nie zwróciła na niego uwagi, Nalle i Hannen posłali mu pogardliwe spojrzenia. Reszta dzieci chyba niczego nie usłyszała. Finnen odwrócił głowę. Po prostu przyznaj, że jesteś tchórzem, pomyślał. Było mu zimno i czuł się przytłoczony absurdalnością całej tej sytuacji. W pół drogi pomiędzy jedną osobowością a drugą, już nie artysta, który z lęku i niepewności potrafił czerpać zadowolenie, a jeszcze nie art-zabójca, który nie poddaje się takim uczuciom. Mrugał, strzepując z rzęs krople. Chłód rękojeści *darakki* pod palcami przynosił tylko

chwilową ulgę.

Strażnik i jego ofiara schodzili po schodach, wyraźnie kierując się w podcienia uniwersytetu. Kaira zastąpiła im drogę. Strażnik wykrzyknął imię, które utonęło w deszczu, schwytny buntownik tylko niepewnie zmarszczył brwi. Finnen i dzieci otoczyli ich wianuszkami, małolaty już szczerzyły radośnie zęby. Na ich widok zaskoczenie strażnika przeszło w osłupienie. Buntownikowi z kolei było chyba wszystko jedno, po pierwszym odruchu zdumienia przytknął oczy i chwiał się teraz na szeroko rozstawionych nogach, jakby się sumiennie przygotowywał, by runąć na ziemię.

— Puść go. — Kaira ruchem głowy wskazała półprzytomnego mężczyznę. Strażnik otworzył usta i zaraz je zamknął. Dopiero po chwili udało mu się coś powiedzieć.

— Ale dlaczego? Przecież wiesz... Bezpośrednie rozkazy...

— Nastąpiła zmiana rozkazów — oznajmiła Kaira. Niebo nad nią pociemniało, na schody padł szybko się przesuwający cień, wielki i kanciasty, który po chwili rozdzielił się na dwa mniejsze, wyraźnie ptasie. Usłyszeli metaliczny zaśpiew lotek w deszczu i grzmiący łopot skrzydeł, jakby wiatr szarpał sporym kawałkiem blachy.

— Odsunąć się! — wrzeszczał jeden latający strażnik.

— Odsunąć się! — sekundował mu drugi i choć głos tłumiała przyłbica hełmu, Finnen go rozpoznał. To był mężczyzna, który wyprowadził Kairę i Nallego z kawiarni Wieczność, człowiek, który prawdopodobnie nie da się więcej nabrać na plecionkę zmieniającą wygląd i najprawdopodobniej ostrzegł już przed nią towarzyszy.

Finnen doskoczył do oszołomionego, ubranego po cywilnemu strażnika, wyrwał z jego rąk ofiarę i niemal cisnął nią w Arikol.

— Zabierz go stąd. Już!

Dziewczynka pod luźnymi spodniami skrywała oplecioną wokół łydek konstrukcję. Tym razem wynalazek niewiele jej dał, ślaniający się na nogach mężczyzna nie pozwalał biec szybko, ale to nie miało znaczenia. Uwaga latających strażników i tak skoncentrowana była na Kairze.

Runęli z nieba z wrzaskiem, rozgarniając kurtynę deszczu pał-

kami, z których wysunęły się już na całą długość specjalne ostrza i wibrowały śpiewnie. Przewrócili dziewczynę, która wrzasnęła nie tyle z bólu, ile ze zdumienia. Jednocześnie doskoczyli do nich Finnen i Nalle. Ten pierwszy z furją wbił *darakkę* w skrzydło, metal był cienki, więc ostrze dało sobie z nim radę. Drugi wykręcił strażnikowi rękę, aż trzasnęła kość, i odebrał mu pałkę. Reszta dzieci uczepiła się ściągniętych na ziemię lotników i szarpała ich tak, jak sfera szczeniąt mogłaby szarpać dwa ranne orły.

Jeden ze strażników był już właściwie niegroźny, lecz jego towarzysz wciąż walczył. Pałką oberwała Kaira, potem Tasha i Tuir, skrzydła poruszały się jak tłoki. Hannenowi z czoła spływała krew, Jaramei straciła przytomność, a ostrze *darakki* Finnena wciąż trafiało tylko w metal. Jak dobieranie się szpilką do owocu w puszcze.

Chłopak pocił się, wściekły na Nallego, który zajął się pracowitym darcim na strzępy zbroi słabszego strażnika, zamiast pomóc w walce z silniejszym. Finnen kłął w myślach, ale nie odważył się zawołać, bo każda chwila dekoncentracji mogła kosztować życie. Gdzieś niedaleko usłyszał przeciągły krzyk i uświadomił sobie, że ktokolwiek wrzeszczy, zwabi tu więcej latających przeciwników.

Wtedy Kaira powiedziała coś, czego Finnen nie usłyszał. Walczący wciąż strażnik zamarł na krótką chwilę i to wystarczyło, by chłopak wbił *darakkę* pod hełm, w jedyne miejsce, gdzie można było sięgnąć ciała.

Z chrapliwym gulgotem mężczyzna osunął się na schody, czerwień wylała się ze szpary i rozmyła w deszczu.

— Jesteście cali? — zapytała Kaira. — Jej lewe oko zniknęło właśnie pod opuchlizną, wargi miała obrzmiałe i umazane krwią. — Tasha, Tuir, Hannen?

Potwierdzili wszyscy, nawet Jaramei, która właśnie odzyskała przytomność i siedziała teraz na stopniu, trzymając się za brzuch, jakby miała zaraz wymiotować.

— A gdzie ten szpicel w cywilnych ciuchach?

— Przeszedł przez to. — Tasha pokazała bramę Transportera.

W oczach Kairy coś błysnęło, przez twarz przemknął tęskny

skurcz. Finnen uznał, że trzeba działać, zanim będzie za późno. Wyłowił wzrokiem dwójkę dzieciaków, które dobrze się trzymały.

— Ionne i Sura, zaprowadzicie resztę do Tanay i zaczekacie tam na nas.

Tanay, należąca do trupy aktorów, którzy zabrali ciało Chiry, kiepsko radziła sobie na scenie, za to świetnie zszywała rany i nastawiała zwichnięte kończyny.

— Nalle — zwrócił się do chłopca, który jako jedyny był cały i zdrowy — poszukasz Arikol i pomożesz jej. Nie wiem, co podali tamtemu człowiekowi, ale mam nadzieję, że się dobudzi. Jeśli nie, wsadźcie go do najbliższego mechanoidu i powiedzcie animatorowi, żeby podrzucił gościa pod szpital. Arikol ma pieniądze. Ja i Kaira poszukamy Mirrisa i Occri.

Dzieci się rozeszły, deszcz stłumił odgłos ich kroków, a dziewczyna wciąż patrzyła na bramę.

— Mirris i Occri znają drogę do domu, nie ma sensu, żebyśmy szukali ich w tym tłumie — mruknęła.

— Wiem.

— Poza tym słyszałam, jak ktoś krzyczał. Pewnie pobiegł po następnych strażników, którzy zaraz tu będą.

— Zdaję sobie z tego sprawę.

— Może więc powinienesz sobie stąd pójść?

— Może oboje powinniśmy sobie stąd pójść?

Kaira wreszcie spojrzała na Finna. Uśmiechała się. I ten świetlisty uśmiech na krwawiących ustach, nieprzytomny i zarazem w pewien sposób chytry, chłopak miał zapamiętać już zawsze.

— Może nie — odparła i skoczyła w bramę.

Finnen podążył za nią, zanim zdążył się zastanowić, a tym samym rozmyślić.

W ułamku chwili, gdy przechodzili przez Transporter - ciemność, zawrót głowy, nagła dezorientacja, gdzie góra, a gdzie dół

- Finnen zdążył sobie wyobrazić czekających na nich uzbrojonych po zęby strażników. Tymczasem po drugiej stronie wpadli w tłum mężczyzn i kobiet w większości ubranych po cywilnemu.

Ktoś pędził, wymachując papierami, ktoś wrzeszczał: „Dawajcie tu tę jednooką pannę!”, ktoś wypytywał, gdzie jest sierżant Peret. Hala, w której się znaleźli, przypominała dworzec mechanoidów w godzinach szczytu, była tak samo gwarna i pełna ludzi biegających tu i tam z zaaferowanymi minami. Brakowało tylko stoisk z kiełbaskami sojowymi, watą cukrową i lemoniadą. Zamiast nich pośrodku hali znajdowało się kilkanaście bram przypominających puste, rzeźbione w brązie ramy wielkich lusterek.

W jednej z nich pojawił się właśnie strażnik holujący zapłakaną dziewczynę potykającą się o własne nogi. Zaraz przejęli ją dwaj mężczyźni w mundurach, jeden poklepał pannę po ramieniu w zdawkowym geście pocieszenia, drugi, nie tracąc czasu, pociągnął ją w stronę umieszczonych pod ścianą zakratowanych boksów.

Na Finna i Kairę nikt nie zwrócił uwagi. Dwie czy trzy osoby przesunęły po nich wzrokiem, w oczach jednej pojawiło się napięcie i niepokój, ale żadna nie przystanęła ani o nic nie zapytała.

— Uważają mnie za kogoś, kto ma prawo tu być — wymruczała Kaira, patrząc przed siebie, nie na Finna. — Może za jednego ze strażników. A ciebie pewnie mają za ofiarę, którą przyprowadziłam.

— Może — odparł chłopak, również cicho i patrząc przed siebie. Jeśli Kaira miała rację, nie powinni rozmawiać. — Co teraz? Jeśli będziemy tak tu stać, zaraz ktoś się nami zainteresuje.

— Gdzie jesteśmy? — Rozejrzała się.

Sklepienie oraz ściany były czarne i gładkie, jak ciemne lustra, które odbijają światła gazowych lamp. Dopiero po chwili dostrzegano się, że gładkość ta jest pozorna, że w regularnych odstępach czerń wybrzusza się w wał prostego nosa, w linie pełnych ust i zarys oczu.

Twarze, wysokie na kilka metrów, na wpół wynurzone z murów, z przymkniętymi powiekami i uśmiechające się leniwie niczym oblicza sennych olbrzymów.

— Nie wiem, pewnie w podziemiach komendy głównej, co za różnica? Chodźmy stąd. — Finnen stłumił impuls nakazujący mu chwycić Kairę za ramię i pociągnąć do wyjścia. Po pierwsze, nie miał pojęcia, gdzie jest wyjście, po drugie, jak by to wyglądało, gdyby aresztowany prowadził aresztującego?

Podszedł do nich pulchny czteroręki mężczyzna w zwyczajnej kurtce, lecz z naszywką komendy na piersiach. Górna para ramion była obrosnięta tłuszczem, dolna - krótka i sucha jak gałązki martwego drzewa. W lewej, atroficznej dłoni niezgrabnie trzymał podkładkę, na której spoczywał przyciśnięty klamrą stos dokumentów.

— Przejmujemy? — Ruchem głowy wskazał Finnena.

— Nie — odparła Kaira. — Potrzebuję go jeszcze na pół godziny.

— Dobrze wygląda. — Tłuscioch spojrział na chłopaka z powątpiewaniem. — Usypiacz nie działa?

— To jedna z rzeczy, którymi muszę się zająć. — Ton głosu Kairy wyraźnie mówił „Spadaj, nic tu po tobie”, ale czteroręki się nie zraził.

— Aha. — Spojrział na twarz dziewczyny. — Dobrze się pan czuje? Facet stawiał opór? Może zawołam lekarza?

— Nie trzeba.

— To nie wygląda...

— Nie trzeba.

Dopiero teraz tłuscioch odszedł. Finnen odetchnął z ulgą. Niestety tylko na chwilę, bo zaraz wyrósł przy nich kolejny mężczyzna, dla odmiany niski, z twarzą odlegle kojarzącą się z lisią mordką i wyraźnie zdenerwowany.

— Co tu robisz? — szepnął do Kairy. — Miałaś zostać w domu! Mówiłem, że nie powinnaś dziś wychodzić! Przedksiężycowi, co z twoją twarzą? Kto ci to zrobił? Pajun? Powiedz, a zabiję sukinsyna, jak mi Przebudzenie miłe, rozwałę w końcu tę jego tępą mordę. — Trzęsły mu się chude ręce, grdyka podskakiwała jak korek na falach, lecz Finnen musiał przyznać, że lisi

człowieczek sprawia wrażenie nielecho zdeterminowanego. — Pajun?

Finnen ścisnął Kairę za ramię.

— Tak — odparła. Była kiepską aktorką, chłopak na jej miejscu jeszcze spuściłby głowę i może nawet załkał dla lepszego efektu, ale nieznanemu wystarczyło jedno słowo.

— Załatwię to — powiedział, po czym pomaszerował w tłum z uniesionym czołem i miną żołnierza, który w akcji rozpaczliwej odwagi rzuca się na przeważające siły wroga.

— Tam jest wyjście — wymruczał Finnen. Wreszcie udało mu się rozgryźć układ hali, a przynajmniej taką miał nadzieję. — Wynosimy się stąd. Już.

— Poczekaj.

— Musimy...

— W takim razie możesz iść sam.

Nie poszedł, oczywiście. I skłamałby, gdyby twierdził, że następne piętnaście minut było dla niego koszmarem. Momentami robiło mu się niedobrze ze strachu, ale odczuwał też niemal tę radość, którą czuła Kaira podczas nocnych eskapad. Euforia uderzała do głowy, szaleństwo krążyło w żyłach. A Kaira gawędziła z ludźmi, nic więcej. Z jednym, drugim, trzecim. Nigdy z kilkoma naraz. Nie starała się być szczególnie błyskotliwa, czasem brakowało jej konceptu albo próbowała pociągnąć rozmowę w niewłaściwą stronę. Wtedy wkraczał Finnen, który mruzczał pod nosem potrzebne słowa, zgarbiony, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Wyglądał tak niepozornie, że nikt nie zapytał, kim on, u licha, jest, a Kaira... Kaira mimo niedostatku zdolności aktorskich miała po swojej stronie panujący w hali chaos i przede wszystkim cudowną zdolność ludzi, którzy zazwyczaj wierzą w to, w co chcą uwierzyć.

W ciągu tych piętnastu minut kilka osób dowiedziało się, że ich ukochani bliscy zostali aresztowani i brutalnie pobici, choć nic złego nie zrobili, pewien kapitan usłyszał, że jeden z jego przyjaciół złożył na niego donos do inspektora Ibrisa Marely'ego, a kobieta w stopniu porucznika doszła do wniosku, że sypianie z koleżanką z pracy było fatalnym pomysłem.

Kaira jaśniała, Finnen starał się zachować rozsądek, choć niebezpieczeństwo wyostrzało kolory i smakowało jak młode wino. Kończyli rozmowę tuż przed tym, zanim podchodziła do nich kolejna osoba, przepadali w tłumie na oczach ludzi, którzy właśnie uzgodnili między sobą, że „coś tu chyba nie gra”. Chłopak czuł, jak zaciska się sieć, w ścisłości śledziły ich spojrzenia, ubrani po cywilnemu strażnicy łapali za łokcie swych umundurowanych kolegów, szeptali niepewnie i pokazywali palcem miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowali się Finnen i Kaira. Mundurowi marszczyli brwi i przybierając profesjonalne miny, starali się ukryć zdezorientowanie. Zbiorowisko ludzkie wrzało jak dobrze podgrzany garnek z krabami.

Na jednym krańcu hali wybuchła gwałtowna kłótnia, na drugim jeszcze gwałtowniejsza bójka. Wzdłuż rzędu bram przebiegł wściekle gulgoczący mężczyzna, który pozostawił na posadzce rozbryzgi krwi, szybko zresztą zatarte podszwami butów. Szybujące w powietrzu pytania, odpowiedzi i okrzyki były coraz głośniejsze, a jednocześnie coraz częściej było w nich słycać niepewność. Usta otwierały się, by zażądać wyjaśnień, oczy błędziły w poszukiwaniu przyczyny zamieszania.

Finnen holował Kairę w stronę wyjścia, powoli, by nie zwracać na siebie uwagi. Krok po kroku. Dziewczyna wciąż się uśmiechała, on zresztą też szczerzył się wariacko, choć było mu gorąco, a na plecach czuł już niemal zimno służbowej strażniczej *darakki*. Za nimi nerwowe krzyki przechodziły w pełne złości wrzaski.

— W nogi — szepnął w końcu Finnen. Pobiegli.

Umknęli przed wzbierającą burzą, znów w ostatniej chwili, jakby tej nocy szczególnie czuwali nad nimi Przedksiężycowi.

Na korytarzu potrącał ludzi, którzy spoglądali na nich zdumieni. Starsza kobieta z okrzykiem „Moja maleńka!” złapała Kairę za rękaw, jakiś mężczyzna wołał: „Czekaj, mam do ciebie sprawę”, parę osób próbowało za nimi biec. Dopadli schodów prowadzących w górę. Kaira przewróciła młodą urzędniczkę niosącą stos akt, kobieta schyliła się po nie i zastygła w pół ruchu, gapiąc się szeroko otwartymi oczami.

- Mamo, co tu robisz?
- Szukam wyjścia.
- Ale... jak? Dlaczego?

Finnen rozsądnie uznał, że przekonanie urzędniczki, by pokazała im drogę, potrwa zbyt długo, pociągnął więc Kairę dalej. Przebiegli kilka korytarzy. Chłopak zawsze skręcał w ten szerszy i wyżej sklepiony, w przekonaniu, że któryś z nich będzie prowadził do głównego wyjścia.

W ostatnim natknęli się na kotopodobnego mechanoida. Leżał z głową między łapami, ale wciąż sprawiał wrażenie olbrzyma w domku dla lalek. W otwartej kabinie animator przeglądał wyniki turniejów *darakka*, obok, na siedzeniu pasażera, leżała pękata teczka.

Finnen ruchem głowy wskazał Kairze kabinę. Nie mieli innego wyjścia.

Dziewczyna wspięła się na żelazny obojczyk. Animator odłożył gazetę.

— Szybko pan wrócił, panie Marely. — Gdy spojrział na Finna, w jego oczach błysnęła ciekawość, ale nie powiedział nic. — Dokąd teraz?

— Na plac Żonglerów.

Finnen podejrzewał, że Kaira rzuciła nazwę pierwszego z brzegu miejsca. Ale sam prawdopodobnie nie wpadłby na nic lepszego.

— Gdzie oni są?! — Biegający korytarzem mężczyzna chwycił kolejnych urzędników za łokcie. — Chłopak, długie brązowe włosy, widziałas go? Jest z nim... ktoś.

Zasuwała się szyba kabiny, jednak Finnen zdążył jeszcze usłyszeć zdziwienie w kobiecym głosie.

— Ktoś, sierżancie?

— Ktoś, właśnie ktoś! Twoja siostra, babka, twój kochanek, przyjaciel albo nawet ja sam.... Mniejsza z tym, dawajcie chłopaka, to...

Szyba opadła, odcinając płynące z korytarza dźwięki. Jednocześnie w drzwiach najbliższej sali pojawił się Ibris Marely, nie do pomylenia z nikim innym - jego twarz z plakatów („Pomóż mi walczyć z korupcją!"), okładek

propagandowych druków („Spotkałeś się z nieuczciwym strażnikiem? Zlekceważono twoje zgłoszenie? Napisz...”) oraz ze zdjęć w gazetach znaly nawet dzieci.

Inspektor zatrzymał się na widok wstającego mechanoida.

— Szybciej! — ponagliła animatora Kaira.

— Szybciej! — zawtórował jej Finnen, niepomny tego, że nie powinien się odzywać, bo licho wie, za kogo animator go uważa.

Potem - bo teraz nie miał na to czasu - musiał przyznać, że Mareły wykazał się niezłym refleksem. Zdumiony, zamarł tylko na ułamek chwili, zaraz potem krzyknął w stronę biegnącego korytarzem sierżanta. Jedną ręką popędzał go, drugą wskazywał mechanoida.

Skoncentrowany na uruchomieniu silnika animator nie zauważył inspektora.

Metalowy kot wstał. Ludzie, którzy swobodnie mogliby przejść mu pod brzuchem, odsunęli się, a niektórzy nawet rozplaszczyli na ścianach, przyciskając do piersi pękate teczki. Zwierzę ruszyło, z zaskakującą zręcznością omijając stoliki, na których piętrzyły się stopy akt.

— Szybciej! — krzyczała Kaira, choć teraz pośpiech nie miał sensu, bo sierżant i Mareły zostali daleko w tyle. — Szybciej!

Wypadli na zewnątrz, na plac Solny. Wciąż padał deszcz ze śniegiem, latarnie nadal płonęły jasnym blaskiem, ale tłum już się rozszedł. Po egzekucji pozostały rozmiękle papierowe kubki, rozbite szkło i kilka wielkich czerwonych kałuż, które sieczone ulewą, rozmywały się w błądy róż.

— Możemy pobiec podniebnym traktem, jeśli panu się spieszy — powiedział animator. — Dam radę wejść po schodach wokół wieży uniwersyteckiej.

Finnen posłał Kairze ostrzegawcze spojrzenie. Zignorowała je.

— Zróbmy tak.

Chłopak jęknął w duchu, a potem zapiął pas. Wedle jego wiedzy poruszanie się mechanoidami po podniebnych traktach było zabronione, ale ostatnio w Lunapolis tyle się zmieniło, że mógł przeoczyć i unieważnienie tego przepisu.

Pędzili ponad miastem, kołysząc się niebezpiecznie na boki.

Żelazne łapy ślizgały się na mokrej drodze, deszcz spływał po kabinie, przy każdym przechyle chlustając falą, jakby ktoś wylewał na szybę wodę z wiadra. Kaira się śmiała.

— Szybciej!

Przeskoczyli z jednego traktu na drugi, biegnący pod nim; wstrząs sprawił, że Finnen omal nie odgryzł sobie języka. Mechanoid zachwiał się, metal łap zazgrzytał o metal barierki. Szaleństwo Kairy musiało się udzielić animatorowi, bo nawet nie zwolnił. Zabijemy się, pomyślał Finnen i też zachciało mu się śmiać. Odpiął pas, przesunął się w fotelu i wyciągnął rękę w stronę Kairy. Dziewczyna trzymała na kolanach teczkę, z której wystawały donosy. Finnen odsunął jej mokre włosy i położył dłoń na karku. Zdziwione, przelotne spojrzenie animatora nie miało znaczenia, nic nie miało znaczenia prócz pędu w ciemności i deszczu, z cieniem śmierci biegnącym tuż obok i ciepłem pulsu bijącym równo pod gładką, zimną skórą.

Na placu Żonglerów pozostawili animatora bez słowa wyjaśnienia - Finnen nie potrafił nic wymyślić, Kairze nawet nie przyszło do głowy, że powinna spróbować. Teczkę z donosami zabrali i wrzucili do cembrowiny fontanny pełnej burzowej wody. Wciąż padało, a deszczówka szybko rozmyła atrament.

26

Pantalekis z wielkimi metalowymi słuchawkami na uszach tkwił w najniższym ze światów, kucając na tarasie wieży widowiskowej. Ciemność rozgwieżdżonego nieba napierała na zgarbione plecy, palce miał sztywne z zimna. Z coraz większym trudem przychodziło mu kręcenie ozdobnymi miedzianymi gałkami radiostacji.

— Halo, słyszy mnie ktoś? — chrząkał. Jeszcze kilka minut, a doszczętnie straci głos. — Nazywam się Daniel Pantalekis, pochodzę z Kerberosa. Przyleciałem na statku „Optymista” i zszedłem na powierzchnię razem z dwoma członkami załogi. Tylko ja przeżyłem. Halo, odezwijcie się i zabierzcie mnie stąd. Halo, halo, słyszyście?

Miasto odpowiadało ciszą pyłu zalegającego grubą warstwą, jak śnieg barwy popiołu.

— Halo, halo? Jestem Daniel Pantalekis...

Na dachu pojawiła się postać o szerokich barach. Nowo przybyły stąpał cicho i ostrożnie, pozostawiając w miękkiej szarości ślad wyraźnie widoczny w świetle gwiazd. Obok, mocno już zatarte, widniały odciski stóp Pantalekisa. Daniel podniósł głowę, dopiero gdy cień kwadratowych ramion, nie do pomylenia z żadnymi innymi, sięgnął jego stóp.

Skulił się odruchowo, skowycząc z paniką w mikrofon:

— Halo! Odezwijcie się! Kurwa mać, kurwa mać! Halo, hal...

Gdy metalowa dłoń spadła mu na ramię, Pantalekis zgarbił się jeszcze bardziej.

— Chodź.

— Pięć minut, proszę! Oni zaraz odpowiedzą! Niraj, nie bądź sukinsynem, mam cię błagać? Tego chcesz? Pięć minut, tylko tyle, przyjdę zaraz, jak się odezwą, przysięgam...

— Siedziałeś tu pół nocy i jak dla mnie wystarczy.

— Issa obiecał, że będę mógł wrócić do domu! Obiecał! Nie możesz...

Metalowa dłoń chwyciła Pantalekisa za kurtkę na karku i uniosła w powietrze, jakby nic nie ważył, druga dłoń zabrała radiostację.

— Jeśli się... wydaje... zostanę... pierdolonym świecie... — Daniel poświstywał, bo podciągnięty pod brodę materiał zaciśkał mu się na gardle — ... mylisz. Pu-uuszczaj, krety... sam, ja... sam.

Opadł na dach, łapiąc powietrze spazmatycznymi haustami. Czerwień sprzed oczu ustępowała, wokół wirowały drobinki kurzu. Pantalekis wciągnął je do płuc i rozkaszał się. Z oczu pociekły łzy. Po chwili z przerażeniem uświadomił sobie, że kurzu już się pozbył z gardła, ale wciąż płacze. Mechaniczny wznosił się nad nim jak góra.

— Proszę, Niraj, miej odrobinę litości. Musiałem to zrobić, rozumiesz? Musiałem. Tam są ludzie z mojego świata, kurwa, sam byś zrobił to samo na moim miejscu, nie? Proszę, nie bij mnie, szlag, tylko nie bij, dogadamy się jakoś... Proszę, musia-

łem... Nie bij, więcej bicia nie wytrzymam, a jak mnie uszkodzisz, lo na nic się nie przydam. Pomyśl o tym. Chcecie, żebym był sprawny, nie? Ja pomogę, naprawdę pomogę, ale potem muszę odejść.

— I odejdiesz. Potem. Nie martw się, Daniel. — Niraj wymówił jego imię jak „Danijel”. Sięgnął dłonią w dół i Pantalekis, przekonany, że syn Issy chce go złapać za ramię, szarpnął się w tył, jednak wielka jak bochen chleba metalowa łapa z wycuciem tylko go klepnęła w plecy. — To już nie potrwa długo. A teraz przestań wyć i rzuć monetą.

— Co?

— Zapytaj, czy z Kairą wszystko w porządku, i rzuć monetą. Moja siostra wpakowała się dziś w kłopoty.

— P... poważne?

— Rzucaj.

Moneta spadła w kurz. Pantalekis podniósł ją i przetarł rękawem. Obraz rozmazywał się przed oczami. Daniel zamrugał i spłynęła na niego ulga.

— Rewers, czyli wszystko w porządku! Nie oszukuję, sam możesz...

— Stąd widzę doskonale. — Niraj nawet się nie nachylił. — Masz szczęście.

— Issa jest wściekły?

— Jest, ale nie ma zamiaru cię uszkadzać, czy jak to tam określiłeś. Obawiam się jednak, że przez jakiś czas będę ci wszędzie towarzyszył. — Po lekkim śladzie ironii Pantalekis zorientował się, że rozmawia teraz z Unajem. Może przez cały czas to był Unaj. Daniel nieco się uspokoił, bo podosobowość Niraja była mniej skłonna do używania pięści. — Wszędzie, rozumiesz? Jak pójdziesz za potrzebą albo weźmiesz sobie panienkę do łóżka, to też, więc lepiej się przyzwyczajaj. Nie wykręcisz więcej takiego numeru.

— Ale będę mógł próbować nawiązać kontakt? — Pantalekis wstał i otrzepał się z pyłu. Gdy niezgrabnie, wciąż drżącymi rękami wycierał lzy, już trzęsły nim upokorzenie i złość.

— Nie wiem, muszę pogadać z ojcem. Teraz wracasz na górę i zajmiesz się swoją robotą.

— Czyli łażeniem za twoją siostrą? — zapytał Pantalekis kilkanaście minut później, gdy stali w windzie czasowej. Zdążył do tego czasu odzyskać nieco dobrego humoru. W dupę jebany blaszak jeszcze się przekona, że Daniela nie należy lekceważyć. Będzie, kurwa, żałował, że w ogóle go spotkał.

— Czyli chronieniem mojej siostry. — Mechaniczny bez problemu skojarzył pytanie z wcześniejszą rozmową, co świadczyło, że Daniel prawdopodobnie wciąż ma do czynienia z Unajem. Niraj nie był na tyle bystry. — Ojciec twierdzi, że to nie potrwa już długo, więc nie masz się czym martwić.

— Jasne. A Kairę trzeba chronić, bo...?

Unaj milczał. Wysiedli z windy i przeszli przez hall Archiwum. Było tu pusto, tylko na krześle przy wejściu sennie kiwał się tłusty mężczyzna. Gazowe płomienie syczały za osłonami w kształcie lwich paszcz, świetliki krążyły wokół mechanicznych zwierząt. Przez otwarte drzwi wpadał mrok.

Pantalekis myślał już, że nie doczeka się odpowiedzi, kiedy Unaj niespodziewanie odwrócił metalicznie połyskującą głowę.

— Nie wiem — powiedział spokojnie, jakby to, że ojciec nie informował go o takich rzeczach, nie było żadnym powodem do upokorzenia czy złości. — Ale się dowiem. A ponieważ przez najbliższe dni będziemy trzymać się razem jak dwa zakochane gołąbki, to dowiesz się i ty. I nic z tym nie będziesz mógł zrobić, biedaku, bo przez cały czas będę patrzył ci na ręce.

— Wcale nie miałem zamiaru...

— Tak, ja też nie byłem zadowolony, kiedy się dowiedziałem, że będę cię niańczył przez całą dobę. — Unaj zignorował słowa Pantalekisa. — Ale może to nam wyjść na dobre. Ty pomożesz mi dowiedzieć się, czemu staremu draniowi tak zależy na Kairze, a ja w moim dobrze pojętym interesie pomogę ci odlecieć stąd w cholerę.

— A co na to... Niraj?

— Niraj już jest przekonany. — Unaj uśmiechnął się. — Jeszcze o tym nie wie, ale jest.

Nim dotarli do domu, zaczęło świtać. Pantalekis zatem, klnąc w myślach, wykapał się pod czujnym okiem Niraja, a potem położył spać.

Kaira cicho zamknęła drzwi na klucz.

— Nie wrócą — powiedziała do stojącego za nią w półmroku Finnena. — Schwytali ich tam, na placu.

— Może Mirris i Occri zdecydowali się odejść?

— Sam w to nie wierzysz.

— Rzeczywiście, nie wierzę. Co teraz? Zakładając, że dzieciaki rzeczywiście zgubiły się w tłumie i wpadły w oko szpicli?

— Dowiemy się, gdzie ich trzymają, i spróbujemy odbić.

— To szaleństwo.

— Nie pierwsze w moim życiu.

— Za to najpewniej ostatnie — mruknął Finnen. Czar nocnego pędu podniebnymi traktami przestał działać i chłopak się bał.

Kaira przeszła do pokoi. Pozostałe dzieci już spały, kręcąc się i posapując pod ścianami na prowizorycznych posłaniach. Światło wschodzącego słońca ślizgało się po zamkniętych oczach i twarzach dręczonych niespokojnymi snami. Sura tuliła do piersi szmacianą lalkę, Tuir pochrapywał lekko z otwartymi ustami. Ionne miał brudną szyję. Finnen zauważył to i pomyślał ze smutkiem, że gdyby ktoś miał rozliczać jego oraz Kairę z bycia rodzicami, już dawno oblaliby egzamin. Nalle jako jedyne czuwał. Spojrzał na dziewczynę z nadzieją, ale ta odmówiła ruchem głowy. Zasunęła drzwi sypialni, lecz Finnen i tak wszedł za nią, nieproszony. Nie zwróciła na niego uwagi. Zdjęła koszulę oraz spodnie i w bieliźnie położyła się na posłaniu. Chłopak usiadł na posadzce w strudze padającego /, okna blasku. Splecione na kolanach dłonie płonęły ogniem świtu.

Gdy sądził już, że Kaira zasnęła, podszedł do niej cicho. Miała zamknięte oczy i oddychała równo. Dotknął jej włosów, wciąż wilgotnych po nocnym deszczu, a potem bardzo ostrożnie obrysował nowy fascynujący szlak krwawych bruzd, sińców i opuchlizny.

Pod powiekami błysnęły białka i Kaira spojrzała na niego

czujnie. Finnen miał wrażenie, że dziewczyna chce coś powiedzieć. Miał nadzieję, że coś powie, cokolwiek. Patrzyli na siebie przez chwilę, później chłopak wstał i wyszedł. Usiadł przed budynkiem, wystawiając twarz na promienie słońca, które nie dawały ani odrobiny ciepła.

Wieczorem w całym mieście zawisły plakaty z portretami Finnena oraz Kairy. Nagroda za „informację o miejscu pobytu wyżej wymienionych osób” wynosiła pięćdziesiąt surimów. Rysunki były prymitywne, Kaira wyglądała na nich na o wiele starszą, a Finnen przeciwnie, sprawiał wrażenie niemal dziecka, niemniej oboje można było rozpoznać.

Nalle na widok przyniesionego plakatu splunął z pogardą i rzucił „Zdrajcy”, a gdy Sura zaczęła dopytywać, o co chodzi, podniósł głos.

— Twój kolega Mirris okazał się gównem wart, przycisnęli go trochę i zaraz wszystko wygadał. Rozumiesz? Teraz gnije gdzieś w Arkadii, mały sukinsyn, i dobrze mu tak. To samo Occri, ta malowana pinda, z którą lubiłaś się zadawać.

— Nieprawda! Nieprawda! — zawodziła Sura, podczas gdy twarz Nallego wykrzywiała wściekłość.

— Prawda, prawda! — przedrzeźniał ją. — Ty też nie jesteś lepsza, pewnie skończysz tak samo.

Finnen już miał interweniować, zobaczył jednak w oczach Nallego tyle udreki, że zabrakło mu słów. Dzieci musiały sypnąć - podczas wizyty w podziemiach komendy nikt przecież tak naprawdę nie zobaczył Kairy. Ostatecznie ograniczył się do jak najbardziej klarownego przedstawienia sytuacji.

— Mają rysopis mój i Kairy, a to znaczy, że mogą mieć i wasze. Mogą, ale nie muszą, jeśli Mirris i Occri zmarli podczas tortur, zanim przesłuchujący zdążył ich wypytać o wszystkich członków grupy. W pierwszym przypadku jesteście zagrożeni tak samo jak my, w drugim to ja i Kaira stanowimy zagrożenie dla was i może byłoby lepiej, gdybyście przez jakiś czas trzymali się od nas z daleka. Jeśli chcecie zostać i ryzykować, proszę bardzo, jeśli wolicie odejść, macie do tego prawo. Wasz wybór. Potraficie zabijać, więc powinniście też umieć podjąć decyzję.

Choć nie chciał tego ani nie planował, w jego głosie pojawiła się złośliwa nuta. Dzieci patrzyły okrągłymi, niewiele rozumiejącymi oczami, Sura wciąż pochlipywała, a Nalle zaciskał szczęki. Finnen spodziewał się, że gdy skończy mówić, chłopiec zabierze głos, i nie pomylił się.

— No i jak? — rzucił zaczepnie, wodząc wzrokiem po kolegach i koleżankach. — Zostajecie czy się wynosicie? Jak Fin powiedział, droga wolna, nikt za wami płakać nie będzie.

— Nalle — mruknął Finnen ostrzegawczo.

— Zostajemy — pierwszy odezwał się Hannen. Reszta gorliwie pokiwała głowami.

Tuir i Jaramei wyraźnie unikali spojrzenia Nallego. Tego samego wieczoru Finnen zobaczył ich w kącie kuchni, gdzie zawzięcie dyskutowali nad czymś przyciszonymi głosami. Rano posłanie Tuira okazało się puste, a Jaramei siedziała na swoim materacu z zaciętą miną.

— Mogłam odejść — powiedziała. — Mogłam odejść, ale zostałam. Proszę, pozwólcie mi zostać.

Kaira przytuliła ją - czasem jednak miewała właściwe odruchy.

O Mirrisie, Occri i Tuirze nikt więcej nie wspominał, jakby nigdy nie istnieli.

28

Za życia Aylena miały miejsce dwa Skoki - jeden, gdy przyszedł wynalazca, filozof i mówca był dorastającym młodzieńcem, drugi zaś, gdy najsylniejszy obywatel Lunapolis zbliżał się do tragicznego kresu życia. Dom, znajdujący się w rzeczywistości odrzuconej podczas późniejszego Skoku, w ciągu minionych lat wielokrotnie plądrowano. Buszowali tam łowcy sensacji żądni wyjaśnienia tajemnicy śmierci słynnego odkrywcy, uniwersyteckie hieny liczące na plany nowego, nieopatentowanego wynalazku, dziennikarze brukowych pisemek, którzy tropili ślady najnowszych kochanek naukowca, a także zwykli gapie, w nieco późniejszym zaś okresie biografowie, dramatopisarze i szkolne wycieczki.

Z tego względu Tellis nie liczyła zbyt wiele, że znajdzie w domu coś interesującego. Zeszła w głęboką przeszłość raczej po to, by wczuć się w osobowość Aylena, a także dlatego, że nie miała nic lepszego do roboty.

W jej kieszeni spoczywały zdjęcia obrazów przedstawiających dzieci słynnego wynalazcy. Portretów nie było wiele, większość zaginęła z biegiem czasu lub została zniszczona, tak że zarówno oryginały, jak i tworzące się w czasie Skoku kopie spoczywały teraz pod grubą warstwą kurzu w kolejnych odrzuconych rzeczywistościach. Pozostało kilka obrazów znajdujących się w prywatnych kolekcjach, parę czarno-białych fotografii w starych biografiach i jeszcze starszych czasopismach, wreszcie kilkanaście pożółkłych pocztówek z reprodukcjami. Tellis i Mahameni podzielili się pracą - ona obejrzała w najnowszej przeszłości kopie, łatwo dostępne, za to czasem mocno już zniszczone, on w miarę możliwości dotarł do trudniej dostępnych, lecz lepiej zachowanych oryginałów i zrobił im zdjęcia. Owe zdjęcia - a także zdjęcia zdjęć - porównali później z powycinanymi z gazet fotografiami Issy i jego znajomych i na tej podstawie - oraz tego, co w biografiach pisano o dzieciach Aylena - zdołali zidentyfikować poszczególne osoby.

Człowiek znany obecnie pod nazwiskiem Brina Issy urodził się jako trzeci syn Aylena. Rozpoznać go było łatwo, bo nigdy nie zmienił fizycznego wyglądu: chmurny nastolatek na jednym z rodzinnych portretów był niewątpliwie tym samym człowiekiem, co ojciec Kairy, tyle że młodszym. Darikę zdradził charakterystyczny koci wykrój oczu, Ankisa kształt ust oraz talent do posługiwania się *darakką*, a także wesółkowy sposób bycia. Janadrę, Tarkesha oraz Maroutiego również dało się zidentyfikować, choć z większym trudem.

Brakowało szóstego syna, bo Aylen miał siedmioro dzieci. Tellis z początku sądziła, że może akurat on woli trzymać się na uboczu i nieczęsto widuje Issę, potem jednak wpadła na inny pomysł.

Oni są długowieczni, prawda?, powiedziała do Mahamieniego. Dzięki Uniwersalnemu Środkowi Fabbinięgo nie starzeją się, ale nie są nieśmiertelni.

Myślisz, że ten, jak-mu-tam...

Noleh.

Noleh został w przeszłości?

Nie, nie sądzę, żeby którekolwiek z dzieci Aylena mogło zostać z tyłu. Pomyśl, facet miał siedmioro potomków, z czego szóstka przetrwała kilkadziesiąt Skoków. Nie kilka, lecz kilkadziesiąt! To nie może być przypadek ani nawet kwestia trafnego zgadywania, jakie cechy podobają się Przedksiężycowym. Na mój rozum Aylen miał pewność. Pamiętasz historie opowiadające o tym, że skonstruował urządzenie służące do zaglądania w umysły Przedksiężycowych?

To legenda.

Też tak sądziłam, ale jeśli komukolwiek miałyby się coś takiego udać, to właśnie Aylenowi. Myślę, że sukinsyn naprawdę to zrobił. Zajrzał Przedksiężycowym do głów i wyciągnął stamtąd informacje, jakie cechy zapewnią przetrwanie do Przebudzenia, a potem zamówił swoje dzieci. Moim zdaniem świadczy o tym również to, że te dzieci na przestrzeni tylu lat przeszły względnie mało i raczej powierzchownych genozmian.

Aylen mógłby sam przejść genozmianę i zapewnić sobie cechy, dzięki którym dotrwa do Przebudzenia.

Mógłby, i może to zrobił, ale problem polega na tym, że żadne zdolności nie ochronią człowieka przed gwałtowną śmiercią. Aylen wpadł pod mechanoid, mniejsza z tym, czy był to wypadek, czy ktoś się o to postarał. I myślę, że Noleh mógł skończyć podobnie. Może został zabity przez artzbrodnarza albo w knajpianej bójce ktoś wsadził mu nóż pod żebra?

Okazało się, że Tellis zgadła idealnie. Noleh, najmłodszy syn Aylena, znany ze swego zamiłowania do czerwonego wina oraz ze zdumiewająco dobrej znajomości geografii, historii, biologii i matematyki, zakończył życie w barze Pod Zranionym Sercem z nożem, nomen omen, tkwiącym w klatce piersiowej, przeżywszy swego ojca jedynie o kilkanaście Skoków. Nosił już wtedy inne nazwisko i Mahameni sporo się musiał namęczyć, zanim

zdobył potrzebne informacje.

Być może właśnie dlatego Tellis zjechała w głęboką przeszłość. Wyżej, w normalnym świecie, Mehus zajmował się śledztwem, krążył po mieście, rozmawiał z ludźmi i grzebał w archiwach. A ona mogła jedynie udzielać mu rad. Zazdrościła Mahameniemu, o tak, z każdym sennym, pustym i cichym dniem zazdrościła coraz bardziej, choć jeszcze niedawno gardziła rutynową robotą, uważając ją za dobrą dla najniższych stopniem strażników.

W przeszłości panował osobliwy stan nie-pogody. Nie było widać słońca ani chmur, nie wiał wiatr, nie padał deszcz ani śnieg. Niebo miało jednolity stalowopomarańczowy kolor i wyglądało niczym rozciągnięta nad miastem kopuła. Pod tą kopułą i w gęstej nieruchomej ciszy budynki budziły skojarzenie z czymś nie do końca prawdziwym, przywołując na myśl teatralne dekoracje z pomalowanej farbami dykty. Wszędzie zalegał pył naniesiony z kamienistych pustkowi, zmieszany z resztami popiołu, szara i miękka warstwa, teraz trwająca w bezruchu jak wszystko inne, lecz poznaczona śladami niedawnych wiatrów. Półkoliste bruzdy i miniaturowe wały wydmowe przypominały zastygłe fale szarego morza.

Tellis szła ostrożnie, na wszelki wypadek, gdyby jednak zaczęło wiać, okręciwszy twarz szalem. Nie było ciepło ani zimno. Jakby znalazła się nie w głębokiej przeszłości, lecz w ogóle poza czasem. Miasto wydawało się nie tylko sztuczne, ale też obce. Brakowało charakterystycznych punktów, do których przywykła. Budynki były niższe i rzadziej rozstawione, a otaczające je konstrukcje miały w sobie geometryczną regularność, którą za jej czasów rzadko już stosowano. Na szczęście układ najważniejszych schodów i placów od początku istnienia Lunapolis pozostawał ten sam, więc Tellis nie zgubiła drogi, choć kilka razy, zdezorientowana, chwilę kręciła się w kółko, zanim odkryła, gdzie właściwie jest.

Dom Aylena - w jej rzeczywistości dawno przerobiony na sklep z metalowymi i szklanymi protezami - znajdował się przy Schodach Męczenników. Mimo warstwy pyłu kapitan rozpoznała go bez trudu. Ze szkolnych podręczników pamiętała

zdjęcie charakterystycznej fasady, na której zbudowany z żelaznych rur długobrody starzec pochylał się nad księgą. W czasach świetności konstrukcja poruszała się, starzec przewracał kartki albo potrząsał głową, a może jedno i drugie? Nikt już nie pamiętał.

Drzwi były uchylone, Tellis rozsunęła je i weszła do środka. Chwilę trwało, nim oczy przywykły do półmroku, lecz gdy to się stało, widziała już całkiem wyraźnie. Przeszła do pokoi, wybierając najpierw ten najlepiej oświetlony. W gabinecie - bo pomieszczenie wyglądało właśnie na gabinet - było jasno, przez pozbawione szyb okna wpadało światło. Tellis wciągnęła powietrze przez zęby. Spodziewała się grubej warstwy kurzu na sprzętach, tymczasem było go tu niewiele - ot, tyle, ile mogło się nagromadzić w ciągu ostatnich kilku tygodni.

Co oznaczało, że stosunkowo niedawno ktoś tu przyszedł i przynajmniej z grubsza posprzątał. Tknięta przecuciem, przeszła do pozostałych pokoi. Gdzieś w oknach brakowało szyb lub w szkle ziały dziury, lecz większość z nich, choć bardzo brudna, zachowała się w nienaruszonym stanie.

Wróciła do gabinetu.

Ktoś celowo stłukł tu szyby, żeby zapewnić dostęp światła?

Starła się opanować podniecenie. Szansa na to, że natknie się w domu Aylena na coś, czego nie znalazły tłumy przed nią, była niewielka.

Niemniej większa, niż Tellis sądziła jeszcze przed chwilą.

Rozejrzała się uważnie. Gabinet został zbudowany na planie sześcioramiennej gwiazdy. Pierwotnego koloru ścian i posadzki nie dało się już określić, teraz wszystko było jednolicie szaro-brudne. Lżejsze sprzęty zapewne rozkradziono „na pamiątkę” bądź zabrano do górnego świata, by włączyć je w instalacje artystyczne i pokazywać na wystawach. Pozostała szafa, ciężka i pusta, stojący pod ścianą zegar z przerdzewiałymi resztkami mechanizmu oraz kilka solidnych półek na książki. Na najniższej stał samotny tom w zakurzonej oprawie, zatytułowany *100 dowcipów o matematykach*, pozostawiony tu, jak zgadywała Tellis, przez jakiegoś żartownisia. Pośrodku pomieszczenia królowało zaś biurko, równie puste jak szafa, co kapitan

sprawdziła starannie, dzielnie stawiając czoła skamieniałym szczątkom lizaków, zetłalym papierkom po karmelkach oraz wydrapanym w drewnie napisom w stylu „Byłem tu, rok 163”.

Zajrzała do ostatniej, najniższej szuflady, po czym podniosła się ze stęknięciem. W lewym kolanie coś strzeliło, plecy bolały. Na blacie biurka znajdowała się szachownica z ustawionymi pionkami - było ich niewiele, większość zapewne również została skradziona.

Dlaczego jednak nie skradziono wszystkich? Małeńki pionek łatwo wsunąć do kieszeni, zresztą zbieracze pamiątek śmiało mogli zabrać całą szachownicę.

Tellis pchnęła drewnianą podstawę palcem i zrozumiała, że nie mogli - szachownicę przymocowano do blatu, a pionki do szachownicy. Pomyślała, że to jakiś rodzaj osobliwej ozdoby, jednak pionkami osadzonymi na metalowych bolcach dawało się poruszać. Kapitan przesunęła jeden z nich wyżłobioną w drewnie ścieżką. W głębi coś zachrobotało, poczuła lekki opór, lecz całość działała bez zarzutu. Mechanizm był sprawny i najwyżej nieco tylko zardzewiały. Spojrzała powątpiewająco na zegar, którego wnętrzości rdza przeżarła tak bardzo, że nie dało się już rozróżnić poszczególnych elementów. Czy to możliwe, żeby zegar i szachy pochodziły z tego samego okresu?

Nie, uznała. Zegar był tylko zegarem, niczym więcej, podczas gdy szachy mogły kryć tajemnicę. Gdyby znajdowały się tu już w czasach, kiedy cały dom przetrząsano od piwnic aż po dach, ktoś na pewno by się nimi zainteresował i mechanizm rozebrano by, nawet kosztem porąbania biurka.

Załóżmy więc, że szachy znalazły się tu później, myślała Tellis. Na przykład po to, żeby coś ukryć. Pomysł wcale nie tak głupi, jak mogłoby się wydawać. W gruncie rzeczy był to koncept genialny w swej prostocie. Dom Aylena, owszem, należał do najczęściej odwiedzanych budynków w przeszłości, lecz to było dawno temu, teraz nikt się nim nie interesował. A jakie jest lepsze miejsce na ukrycie tajemnicy niż to, które zostało wielokrotnie przeszukane? Przy biurku nie było krzesła, kapitan usiadła więc na blacie i szalem przetała figury. Niektórym brakowało głów, lecz i tak dawało się je rozpoznać. Tellis lubiła

kiedyś tę grę, bez trudu zatem rozpoznała, że układ pionów nie jest przypadkowy. To była partia, w której białe dały potężnego łupnia czarnym i znalazły się o krok od zwycięstwa. No, może kilka kroków, lecz tak czy inaczej los czarnych wydawał się przesadzony.

Tellis rozegrała partię do końca, doprowadzając białe do spodziewanej wygranej. Pionki, co ciekawe, dawało się zdjąć z metalowych bolców dopiero wtedy, gdy zgodnie z regułami zostawały zbite, co świadczyło o tym, że mechanizm jest inteligentniejszy, niż kapitan sądziła.

U podstawy szachownicy znajdował się płaski przycisk. Tellis wcisnęła go, jednak nic się nie stało. Po chwili namysłu założyła na bolce strącone figury i raz jeszcze wdusiła palcem przycisk.

Tym razem mechanizm szczęknął metalicznie, pionki poruszyły się i cała szachownica wróciła do stanu, w jakim kapitan zobaczyła ją po raz pierwszy.

Kobieta zamrugła. Może, pomyślała, powinnam rozegrać partię tak, żeby jednak umożliwić czarnym zwycięstwo?

Wyjęła z kieszeni płaszcz butelkę wody, napiła się i zabrała do gry.

29

Brin Issa siedział przy biurku. Jego twarz tonęła w mroku, za to dłonie były doskonale widoczne w żółtym kręgu światła rzucanym przez lampę naftową. Wykonywały skomplikowane gesty: odkręcały, zakręcały, mocowały i dopasowywały, by po chwili odrzucić w ciemność jak dwa białe gołębie i wrócić z kolejną częścią.

Issa składał mechaniczną lalkę.

— Wejdz — powiedział, nie podnosząc głowy znad skomplikowanego układu kółek zębatych i sprężyn.

Niraj cicho wsunął się do gabinetu ojca. Większość osób na miejscu Brina Issy pospieszyłaby z wyjaśnieniem, dlaczego zajmuje się czymś tak dziecinny jak składanie lalki. Jednak siedzący za biurkiem mężczyzna nie czuł potrzeby tłumaczenia

się z czegokolwiek.

Uniósł wzrok. Dwie blade, wciąż podobne do gołębi dłonie przysiadły na blacie obok rozrzuconych mechanicznych części i otwartego dziennika o pożółkłych stronach.

— Co z Pantalekiszem? — zapytał.

— Zamknąłem go w nieużywanej łazience obok sali muzycznej — oznajmił Niraj. — Nie ma szans się stamtąd wydostać.

— W porządku. — Przez twarz Issy przemknął cień uśmiechu. — Ale wolałbym nie zostawiać go tam zbyt długo. Nasz Daniel jest upartym i pomysłowym człowiekiem, kto wie, co wymyśli, jeśli dać mu wystarczająco dużo czasu.

Czy Nirajowi się zdawało, czy rzeczywiście w głosie ojca zabrzmiała nuta podziwu? Nie, oczywiście, że nie, Brin Issa żadną miarą nie mógł podziwiać Daniela Pantalekisa, to było nie do pomyślenia.

Brin Issa czekał.

Niraj przedstawił swój plan.

Mężczyzna za biurkiem skinął lekko głową, a jego syn poczuł odrobinę rozczarowania. Zawsze je czuł, choć przecież powinien już się przyzwyczaić. Issa nie szafował pochwałami.

Niraj stał w drzwiach, wiedząc, że niczego więcej się nie doczeka. A jednak tkwił w progu, kierowany nie tyle nadzieją, ile narastającą złością. Wtedy zdarzył się jeden z tych drobnych cudów, które źródło miały w kapryśnej naturze Issy - albo wręcz przeciwnie, w zimnej logice jego planów, tego Niraj nigdy nie mógł być pewien.

— Dziękuję — powiedział Issa grzecznie, jakby sąsiad przy stole właśnie podał mu sos albo pieczone ziemniaki. — Myślę, że to doskonale posunięcie.

Niraj poruszył się.

— Coś jeszcze?

— Mogę zadać jedno pytanie?

— Pytać zawsze możesz.

Co oznacza, że nie zawsze otrzymasz odpowiedź, podsunął usłudze Unaj, ale Niraj go zignorował. Jeśli ojciec odpowie, postanowił, jeśli choć raz zdecyduje się mi zaufać i uczciwie powie, co planuje, nie zrobię niczego za jego plecami, będę

lojalny...

Idiota, skwitował Unaj z niesmakiem. Niraj nie przejął się. Jedna prosta decyzja uczyniła go silnym - teraz on trzymał w rękach los ojca, choć ten nie miał o niczym pojęcia. — Chcesz, żeby Kaira to zrobiła, prawda? Chcesz, żeby udało jej się zburzyć oś światów. Ale po co? To znaczy, co ci z tego przyjdzie?

W ciemności przez chwilę panowało milczenie, a potem leżące na biurku dłonie poderwały się i znów zaczęły tańczyć w plamie żółtego światła.

— Wracaj do Pantalekisa — w mroku zabrzmiał łagodny głos.

— Idę o zakład, że nasz przyjaciel mocno już się niecierpliwi.

30

Wiem, że on tego chce, mówił Niraj do Unaja. Musi chcieć, bo inaczej nic nie ma sensu.

Oczywiście, przyznał Unaj. Wiemy też, że twój ojciec manipulował umysłem Kairy tak samo jak twoim. Podłączał ją do Zestawu Bashrana i wmawiał różne rzeczy.

Tego nie możemy być pewni.

Doprawdy? Sądzisz, że dziewczyna zwiąłaby z domu, gdyby tatuś nie podsunął jej takiego pomysłu? A jeszcze wcześniej popracował nad nią Esh Gurleen.

Przesadzasz.

Może. A może nie. Tak czy inaczej, przynajmniej jest to jakiś początek. A teraz przygotuj się na trudną rozmowę.

Niraj przekręcił klucz w drzwiach łazienki. Wewnątrz, obok zakurzonej wanny w kształcie delfina, siedział Pantalekis. Pod połamanymi paznokciami widniały czarne półksiężycy, na włosach i koszuli miał drobinki tynku. Nawet nie próbował ukryć tego, że jeszcze przed chwilą usiłował podważyć kraty w oknie.

— I co? — zapytał. — Doszliście do jakiegoś wniosku?

— Tak. Niestety nie możemy pozwolić ci schodzić w przeszłość. Potrzebujemy cię tutaj, na górze. Dlatego ja i ojciec wymyśliliśmy kompromis. Ty zostaniesz i będziesz dla nas

pracował, a na dół z radiostacją wyślemy służącego.

— Który dogada się z moimi rodakami? Niby jak? — Pantalekis splunął na posadzkę pomiędzy rozsuniętymi kolanami.

— Wystarczy, że nawiąże kontakt — wyjaśnił cierpliwie Nfiraj.

— Jeśli tamci choć raz usłyszą ludzki głos, będą już pilnować konkretnej częstotliwości i kiedy ty tam zejdiesz, od razu odpowiedzą.

— A wy zawiadomicie mnie, jak tylko moi rodacy się odezwą?

— Oczywiście.

— I pozwolicie mi odejść?

— Bez problemu, pod warunkiem że najpierw skończysz pracować dla nas. To już nie potrwa...

— A jeśli się nie zgodzę?

— Nie masz innego wyjścia, przykro mi.

— Wcale ci nie jest przykro, sukinsynu.

— Zrozum, Daniel, to jest układ dobry dla obu stron. My skorzystamy jeszcze z twoich umiejętności, które są nam potrzebne, a ty nie będziesz musiał siedzieć tam na dole sam i w kurzu.

— I mam ci uwierzyć na słowo, co?

Niraj wzruszył metalowymi ramionami. Pantalekis nie był idiotą, wiedział, że rozmówca może go okłamywać. Jednak możliwość to jeszcze nie pewność, tu wciąż było miejsce na nadzieję, a póki Daniel będzie ją żywił, póty nie narobi Nirajowi kłopotów. Przynajmniej na to syn Issy liczył.

A jeśli jednak zdecyduje się narobić ci kłopotów, to co?, odezwał się Unaj. I co właściwie rozumiesz przez kłopoty? Na przykład to, że nasz Daniel okaże się Danielem Cwanym, zwieje ci, nawiąże kontakt i odleci w gwiazdy, a wtedy ojciec się na ciebie wścieknie?

Nie boję się jego wściekłości. Po prostu wolę, żeby chwilowo nie zwracał na mnie uwagi.

Ale nie masz zamiaru wysłać służącego z radiostacją, co?

Ojciec by się na to nie zgodził.

Skąd wiesz? Nawet nie zapytałeś. Znam go wystarczająco długo.

Możesz wysłać służącego tak czy inaczej. Wiesz, bez zgody Issy. Nie odpowiedział ci uczciwie, więc twoja obietnica nie obowiązuje.

Ojciec zauważył brak radiostacji, a wtedy...

Tak, wiem, wolisz nie zwracać na siebie jego uwagi.

Obaj wolimy. To dotyczy także ciebie, prawda?

Tak. Niraj miał wrażenie, że Unaj westchnął. Obawiam się, że jak najbardziej tak.

Przez cały czas trwania tego milczącego dialogu Pantalekis wpatrywał się w twarz mechanicznego młodzieńca.

— Chodź, musimy brać się do roboty — pogonił go Niraj.

— Możesz wyjść na chwilę? Chcę się odlać.

— Miałeś na to wystarczająco dużo czasu wcześniej.

— Wcześniej mi się nie chciało.

Niraj po chwili wahania skinął głową, wyszedł i zasunął drzwi. Daniel wyjął z kieszeni monetę.

— Czy Niraj kłamie? — zapytał i rzucił ją na posadzkę.

Awers, tak. Zrobiło mu się gorąco z wściekłości. Jeszcze raz, dla potwierdzenia wyniku.

Rewers, nie. Co u licha?

Rewers, awers, znowu awers. Wyglądało na to, że nawet głupi pieniążek jest dziś przeciwko niemu.

Czy odleczę z tego świata?, zapytał ponownie.

Tak, odpowiedziała moneta. Tak, tak, tak, tak.

Uspokojony Daniel wyszedł z łazienki, a Niraj zdziwił się, widząc, że jego podopieczny jest w całkiem niezłym humorze.

31

— Znalazłeś już Tamsina Korreia? — zapytała Kaira przy śniadaniu, akurat gdy Finnen przełykał kawałek cynamonowej bułki z miodem.

— Nie, jeszcze nie — odparł. — Trudno dotrzeć do tego człowieka. Ale nie martw się, poradzę sobie.

Kaira odłożyła na talerz niedojedzone ciastko. Ostatnio mało jadła, schudła, kości policzkowe odznaczały się na jej twarzy jak

włożone pod skórę groty strzał. Mimo to nie wyglądała na osłabioną, wręcz przeciwnie, tryskała energią. Widać trawiący ją płomień nie potrzebował tak przyziemnego paliwa, jak bułki czy gołębie mięso.

Jedli śniadanie, choć minęło już południe i słońce stało wysoko na niebie, zaglądając w okna ich najnowszego mieszkania. Dzieci nie było: część poszła obejrzeć poranny spektakl Teatru Cieni, część włączyła się po mieście i - jak podejrzewał Finnen - kradła. Stare nawyki trudno zmienić, a sieroty, odkąd pamiętał, zawsze trudniły się drobnym złodziejstwem.

— Nie oszukiwałbyś mnie, prawda? — zapytała Kaira cicho. Słoneczne światło podkreślało sińce na jej twarzy. Niecierpliwie stuknęła palcami w blat stołu, szybko, w rytmie, którego Finnen nie potrafił rozpoznać. Wirujące wokół jej głowy drobinki kurzu miały w słońcu barwę wypolerowanej miedzi, jak aureola z metalicznych opiłków.

— Oddałbym za ciebie życie — oznajmił.

Kaira miała w sobie coś, co skłaniało do takich deklaracji. W jej towarzystwie wydawały się właściwe i na miejscu. Dopiero później, gdy zostawał sam, Finnen zdumiewał się, jak mógł powtarzać coś tak banalnego. Ostatnio zresztą nie miał do tego wielu okazji.

— To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

— Inteligentne spostrzeżenie — przyznał, a potem westchnął i sięgnął przez stół po jej rękę. Umilkł wystukiwany rytm. Dłoń dziewczyny była szczupła, wyraźnie wyczuwał odciski. — Daj mi trzy dni. Obiecuję, że znajdę Korreia w ciągu trzech dni.

— W porządku. — Skinęła głową, po czym dodała — musimy kupić Jaramei nowe ubranie. Albo je znaleźć, ta dziewczyna rośnie jak ciasto drożdżowe i jest mocno niewymiarowa, nie wiem, czy nie trzeba by raczej czegoś uszyć...

Gładkość, z jaką Kaira zapominała o problemach, nie przestała Finna zadziwiać. Wciąż mu też ufała - tak łatwo zgodziła się na owe trzy dni, że chłopak poczuł znajomy już ciężar odpowiedzialności.

Finnen doskonale wiedział, gdzie znaleźć Tamsina Korreia, lecz nie chciał z nim rozmawiać, zanim nie wyjaśni paru spraw.

Na sporo pytań potrafiłby mu zapewne odpowiedzieć człowiek z gwiazd, kłopot jednak polegał na tym, że ten ostatnio włóczył się w towarzystwie mechanicznego, który prawdopodobnie był jednym ze służących Issy. Człowiek z gwiazd chodził za Kairą, a Finnen chodził za człowiekiem z gwiazd - i przez dwie kolejne noce nie znalazł ani jednej chwili, w której jasnowłosy przybysz byłby sam.

Musiał to jakoś zmienić.

32

Tellis była o krok od rozwiązania zagadki szachowej, czuła to, choć decydujące posunięcie wciąż jej umykało, jak sen, który tym bardziej cofa się w głąb umysłu, im intensywniej człowiek usiłuje go sobie przypomnieć. Dwa razy próbowała nawet rozebrać biurko, by dostać się bezpośrednio do mechanizmu, ale jedyne, co zyskała, to połamane paznokcie, krwawiące palce i poczucie bezsilności.

Była zirytowana.

Mogłaby wyjść na zewnątrz, może nawet wrócić do któregoś z górnych światów i tam poszukać odpowiednich narzędzi, jednak rozsądek podpowiadał jej, że to i tak nic nie da. Issa - bo to on musiał za tym stać - z pewnością przewidział takie ryzyko i odpowiednio mechanizm zabezpieczył.

Poza tym miała wrażenie, że jeśli teraz odejdzie, nie zdoła już wrócić, a majaczące na skraju świadomości rozwiązanie zniknie bezpowrotnie.

Nie wiedziała, ile czasu upłynęło, odkąd znalazła się w dawnym domu Aylena. Dwa dni, trzy? Może nawet więcej. Czas nie miał tu wielkiego znaczenia. Nie jadła, ale też nie odczuwała głodu. Wypiła już wodę, którą ze sobą przyniosła, i przez jakiś czas dręczyło ją pragnienie. Potem jednak zaczął padać deszcz, a ona miała wystarczająco dużo przytomności umysłu, by wynieść na zewnątrz znalezione w kuchni garnki i miski, które jeszcze całkiem nie przerdzewiały. Piła deszczówkę, mętną od kurzu i smakującą żelazem. Resztki eliksiru Fabbinięgo

pozwalaly jej zachowac nieco sil, ale nie potrafiły juz zapobiec nieuchronnemu postępowi starzenia. Zanurzając w ciemnej wodzie dlonie, spoglądala na własne oblicze. Nie było wątpliwości - zmieniała się w wiedźmę, spotworniała staruchę o twarzy pooranej zmarszczkami głębokimi jak księżycowe kraterzy. Brakowało tylko kurczaki na nosie. Ku swojemu zdumieniu nie przejmowała się tym jednak, a przynajmniej nie tak bardzo, jak powinna. Jakby ta twarz nie należała już do niej; śledziła jej postępujące starzenie z pełną grozy fascynacją, niczym sprytną teatralną sztuczkę.

Któregoś popołudnia w samotność Tellis wdarło się pukanie do drzwi, najpierw ciche i grzeczne, potem, kiedy nie odpowiedziała, coraz bardziej natarczywe. Oczywiście wiedziała kto to, tylko jednej osobie przyszłoby do głowy pukać do drzwi domu w dawno wymarłym świecie.

— Tellis, jesteś tam? — wołał Mahameni Mehus. — Do licha, szukam cię od dwóch dni, gdzieś ty się podziała? Myślałem, że coś ci się stało! Otwórz, proszę! Jesteś tam? Przecież widziałem twój cień przez okno! Co ty wyprawiasz, na zgniłe bebechy Przedksiężycowych?

Kapitan milczała. Nagle wygląd staruchy-wiedźmy przestał jej być obojętny.

Mahameni wyłamał zamek. Tellis cofnęła się głębiej w cień.

— Wynoś się — powiedziała zduszonym głosem.

— Co?

— Wynoś się, przecież mówię. Pracuję tu, a ty mi przeszkadzasz.

— Przyniosłem ci coś do jedzenia i świeżą wodę. — Mahameni zdawał się wcale jej nie słyszeć. — I świece, założę się, że nocamisiedzisz tu po ciemku. Oślepniesz jak nietoperz, jeśli nie będziesz o siebie dbać. No już, musisz coś zjeść. Okropnie wyglądasz.

Tellis uparcie odwracała głowę, jakby to miało w czymkolwiek pomóc. Chciało jej się płakać i śmiać jednocześnie. Czuła się słaba, tak bardzo słaba, że budziło to jej przerażenie.

— Już dobrze. — Mahameni niezręcznie, z wyraźnym zakłopotaniem, poklepał ją po plecach. — Trzymaj i powiedz mi, co

tu robisz.

Tellis spróbowała placka z gołębim mięsem - był dobry, wciąż jeszcze trochę ciepły i kobieta uświadomiła sobie, że jednak jest głodna. Pomiedzy jednym kęsem a drugim opowiedziała Mahameniemu o szachach.

— Musisz wrócić na górę — zdecydował Mehus, gdy skończyła. — Przerysujemy układ pionków na kartkę, wrócimy na górę i przyjdziemy tu, kiedy rozwiążesz problem. Nie powinnaś siedzieć w tak odległej przeszłości, to ci szkodzi.

— Owszem, zwłaszcza na cerę — warknęła Tellis, wciąż unikając jego spojrzeń. — Ale nie mam zamiaru wracać na górę. Jestem już blisko rozwiązania, te kilka godzin i tak w niczym mi nie pomoże.

— Ale...

— Mahameni, czy ty jesteś głuchy? — Nie czuła się już słaba, a jej były partner pozwalał sobie na zbyt wiele. — Powiedziałam, że zostaję. Zamierzasz zabrać mnie stąd siłą?

— Nie, jasne, że nie — zapewnił gorliwie.

Cóż, przynajmniej sytuacja częściowo wróciła do normy. Odwróciła się w jego stronę i po raz pierwszy w pełnym świetle zobaczył jej twarz. Nie cofnął się, jakimś cudem nie cofnął się, zamrugął tylko, lekko zdziwiony.

— W takim razie zostanę z tobą — oznajmił.

33

To była noc drobnych cudów. Najpierw Czerwona Trójka usłyszał odgłos kołatania do drzwi, a kiedy poszedł otworzyć, na zewnątrz nikogo nie było. Zawrócił więc i znów usłyszał kołatanie. Otworzył drugi raz i drugi raz spojrzął w pustą przestrzeń. Powtórzyło się to trzykrotnie, za czwartym razem zirytowany mechaniczny zaczął się na dowcipnisia tuż za drzwiami i rozsunął je błyskawicznie, co też zdało się na nic, bo próg domu Issy dalej pozostawał pusty. Tylko pod drzewem zimnorośli, daleko od wejścia, stał szczupły mężczyzna w kurtce z obszernym kapturem. Nie było szansy, by to on

właśnie kołatał, jednak sługa na wszelki wypadek wyszedł na zewnątrz i wrzasnął bez przekonania: „Hej, żartów ci się zachciało, co?!”.

Mężczyzna wzruszył ramionami i odszedł, a mechaniczny wrócił do domu. Chwilę później krążący po pierwszym piętrze strażnik odniósł wrażenie, że ktoś za nim idzie. Zatrzymał się, ale nic nie usłyszał. Ruszył i znów dobiegł go odgłos cichych, ostrożnych kroków. Zawrócił, by starannie przeszukać wszystkie zakamarki, w których mógłby się ukrywać potencjalny włamywacz, nikogo jednak nie znalazł. Niebieska Jedenastka krzątała się po kuchni, sprzątała i jednocześnie pilnowała owsianych bułeczek, które przygotowane z myślą o śniadaniu, pięknie rumieniły się już w piekarniku. Służący schylił się, by wymieść resztki mąki spod stołu - jak twierdził, nie trwało to dłużej niż dwie sekundy - a kiedy wyprostował plecy, kilku bułeczek brakowało.

Kwadrans później trzech innych mechanicznych skończyło w zimowym salonie partyjkę wista, obśmiało serdecznie dowcip opowiedziany przez jednego z nich, po czym sięgnęło po karty, by przygotować następne rozdanie. Niestety, w międzyczasie z talii zniknęły najwyższe figury. Niemal w tej samej chwili, gdy słudzy tępo patrzyli na blotki, zbudził się Brin Issa, przekonany, że ktoś jest w jego sypialni. Otworzył oczy i ujrzał ciemną postać czającą się przy szafie - ktokolwiek to był, sądził zapewne, że znakomicie się ukrył, nie przewidział jednak, że jego sylwetka odbijać się będzie w lustrze.

Issa zachował zimną krew. Wstał, dyskretnie sięgnął po ostry sztylet do przecinania stron książek i zaatakował. Ku jego zdumieniu ofiara okazała się płaszczem powieszonym niedbale na haku wbitym w szafę.

Brin Issa roześmiał się - cokolwiek by o nim mówić, zawsze miał do siebie sporo dystansu. Nie był jednak pewien, czy płaszcz wisiał tam już wieczorem, wydawało mu się, że nie, wezwał więc służącego i polecił mu przeszukać sypialnię, a potem najbliższe pokoje. Gdy mechaniczny nikogo nie znalazł, zaproponował, że wezwie strażników i razem przetrząsną dom od piwnic aż po dach, jednak Issa odmówił. Cóż, myślał,

patrząc na płaszczy, widać się pomyliłem, zdarza się nawet najlepszym.

Wszystko to ominęło Niraja i Pantalekisa. Pierwszy z nich, nieprzytomny, spoczywał na fotelu w sypialni Daniela, drugi leżał w łóżku, patrzył w sufit i próbował zasnąć, w czym przeszkadzał mu pełny pęcherz. Ostatecznie wstał, ciągnąc za sobą przymocowany do kostki łańcuch, rozpiął spodnie i ze złośliwym uśmiechem wysikał się na nogi spoczywającego w fotelu mechanicznego.

— Może od tego zardzewiejesz, dupku — mruknął.

Satysfakcja, jaką odczuł, była krótkotrwała, zaraz dopadł go mdlący strach. Od wypitego wina szumiało mu w głowie, w płuca wciągnął paskudną woń moczu. Spróbował sięgnąć okna, jednak łańcuch okazał się za krótki. Daniel zaklął, ale bez większego przekonania. Miał wrażenie, że zużył już cały zapas wściekłości i teraz została mu tylko tępa, upokarzająca bezsilność. Sięgnął do kieszeni po monetę, która dodała mu otuchy.

Drzwi rozsunęły się cicho i do środka wszedł młody mężczyzna, ten sam, którego Pantalekis wielokrotnie widywał w towarzystwie Kairy. Chłopak drgnął na widok Niraja, uspokoił się jednak zaraz, widząc, że mechaniczny siedzi w fotelu nieruchomo.

— Co z nim? — zapytał. Pociągnął przy tym nosem i skrzywił się, ale o smrodzie taktownie nie wspomniał.

— Naćpał się jakiegoś świństwa — wyjaśnił Pantalekis. Nie miał pojęcia, czego młody chce i jakim cudem otworzył zamknięte na klucz drzwi, jednak we własnej sypialni i z dzwonkiem na służącego pod ręką czuł się względnie pewny siebie. — Podobno to stymulant, który pozwala mechanicznym przeglądać wspomnienia.

— Musieli cię podłączyć do Rewelacyjnego Systemu Błyskawicznej Nauki Języków Wszelakich — stwierdził chłopak — skoro mówisz po naszymu.

Daniel zamrugał. Nie miał pojęcia, że ktokolwiek prócz Issy i jego syna wie, że pochodzi on z innego świata. Nie pozwolił jednak, by zdziwienie na długo zbiło go z pantałyku.

— A ty włóczysz się z Kairą i szuka was w tej chwili cała straż

Lunapolis. — Wyszczrzył zęby, po czym wskazał uchwyt dzwonka wiszącego nad łóżkiem. — Jak sądzisz, co się stanie, jeśli teraz za to pociągnę?

— Stracisz szansę na to, że otworzę kłódkę i zdejmę z twojej nogi łańcuch — odparł trzeźwo chłopak, a kiedy Pantalekis milczał, dodał — potrafię to zrobić. Wszedłem przecież do twojej sypialni.

Daniel rozważył w myślach wszystkie za i przeciw. Podjął decyzję.

— Dobra, mów, co chcesz w zamian. I pospieszmy się, bo ten drań zaraz się obudzi.

— Chcę wiedzieć, po co Issa kazał ci chronić swoją córkę.

Daniel wzruszył ramionami.

— Nie mam pojęcia. Nawet Niraj tego nie wie. Mówił tylko, że Issie zależy na tym, żeby dziewczyna zawałiła oś światów, cokolwiek to znaczy.

— Gdzie jest Niraj?

— Siedzi za tobą, obejrzyj się. — Pantalekis roześmiał się, a potem chichotał jeszcze przez chwilę, obserwując pełne zgrozy zdumienie na twarzy chłopaka. — Ojciec go tak załatwił, nieźle, nie?

— A Esh Gurleen?

— Nie wiem kto to.

— Mechaniczna głowa w Muzeum Sztuki Użytkowej, koja-rzysz?

— Wiem, że Niraj czasem do muzeum chodzi i z kimś tam gada. A teraz otwieraj kłódkę!

— Niewiele mi powiedziałeś.

— Więcej nie wiem, przysięgam! Myślisz, kurwa, że mi się Issa zwierza, czy jak? Facet nawet własnego syna traktuje jak służącego. Otwieraj zamek! Szybko, on się budzi!

Niraj poruszył się na fotelu, ale na szczęście oczy wciąż miał zamknięte.

Finnen walczył z oporną kłódką. Po chwili uniósł głowę i spoj-rzał na Daniela. W oczach miał zakłopotanie.

— Czy tego zamka nie projektował przypadkiem sam Issa? — zapytał.

- Skąd, kurwa, mam wiedzieć?
- Jest nietypowy, potrzebowałbym więcej czasu...
- Nie mamy czasu! – Przykro mi, ja...
- Daniel złapał go i przyciągnął do siebie.
- Odpowiedziałem na twoje pytania, tak? To teraz ty masz zrobić coś dla mnie, tak?
- Staram się...
- Zamknij się i posłuchaj.
- Chwilę później, gdy chłopak zasunął za sobą drzwi, Niraj otworzył oczy.
- Przypomniałem sobie – powiedział.

34

Finnen wyszedł z domu Issy bogatszy o wiedzę, kilka bułeczek, parę kart i wielkie czarne pudło, które umieszczone w płóciennej torbie, obijało mu się o kolana, gdy szedł w stronę Hal. Jak zawsze o świcie miasto było niemal puste. Nad schodami, rzucając cień na świeżą warstwę śniegu, krążył skrzydlaty strażnik, pod ścianami budynków nieśmiało przemykało dwoje młodych, nieszczególnie trzeźwych ludzi, na placu Żonglerów jakiś mężczyzna, przeklinając, walczył z opornym straganem, który składał, a może wręcz przeciwnie - właśnie rozkładał. Za szybami kawiarni wymalowanymi w lodowe kwiaty krzątali się właściciele. Uzbrojeni w ścierki oraz miotły poruszali się w złotawym świetle leniwie, jak tonące w miodzie muchy, ich twarze opuchnięte były z braku snu, fartuchy znaczyły plamy po winie i kawie.

Chłopak wyrzucił karty. Spróbował zjeść bułeczki, ale były niedopieczone, podzieliły więc los kart. Wiedzę postanowił przeanalizować.

Wbrew temu, czego jeszcze do niedawna się spodziewał, uspokoiła go pewność, że Gurleen pracuje dla Issy. Przynajmniej Finnen wiedział, na czym stoi. Oczywiście oznaczało to także, że wszyscy zostali oszukani. On, Kaira, dzieci. Przede wszystkim Kaira.

Uświadomił sobie, że skoro tak, to podstawiony musiał być także Niyari. Wcale nie pracował w Archiwum, wcale nie obserwował Kairy „od jakiegoś czasu”, a tylko niczym aktor ukryty na zapleczu czekał, by w odpowiednim momencie wkroczyć na scenę i wykonać swoje zadanie. Issa miał wystarczająco duże możliwości, by wprowadzić do Archiwum swoich ludzi, a potem przygotować przedstawienie w mieszkaniu Niyariego. Bo to było właśnie przedstawienie, sztuka wystawiona tylko w jednym celu: by przekonać Kairę do Gurleena oraz jego planów.

Dziewczyna uwierzyła, gdyż chciała uwierzyć, dramatyzm jak z książek, które tak chętnie czytywała, musiał przemówić jej do wyobraźni. Finnen powinien być mądrzejszy i dostrzec fałsz inscenizacji, ale i on dał się nabrać - sam pragnął przygody, choć raz w życiu chciał zrobić coś, co się liczy. Chciał, żeby prawdą było to, czego życzy sobie Kaira.

A Issa zagrał na nich obojgu jak na szpince, i tak, prawie się draniowi udało, choć Finnen nie sądził, aby Issa naprawdę zamierzał zabić wszystkich członków grupy w noc Skoku. Może chodziło o nastraszenie ich i wzmocnienie w ten sposób determinacji Kairy, może zginąć miało tylko kilka osób? Z całą pewnością nie Gurleen, jego śmierć musiała być wynikiem tragicznej pomyłki. Jednak i taki błąd Issa umiał obrócić na własną korzyść. Znalazł sposób, by Kaira wciąż mogła się kontaktować z dawnym nauczycielem, a także dostarczył jej dowodów rzekomej zdrady Dime - bo Finnen ani przez chwilę nie wątpił, że i w tym Brin Issa maczał palce.

Chłopak pokręcił głową, przytłoczony uczuciem będącym czymś pomiędzy grozą a podziwem.

Na placu Miedzianym odgarnął śnieg z ławki i usiadł. Obok przeszły dwie kobiety i zgasiły gazowe latarnie. Jedna z nich miała młode, zwinne ciało i twarz staruszki, druga młodą twarz i starcze, zgarbione ciało. Słońce koloru skrzepłej krwi wynurzyło się zza Kopuły. Finnen rzucał teraz długi cień o niepokojącej głębi i ostrości. Instynktownie objął ramieniem leżącą obok torbę i zastanowił się, co powinien, u licha, teraz zrobić.

Najprostsza i najbardziej oczywista odpowiedź brzmiała tak, że powinien powiedzieć o wszystkim Kairze. W ten sposób popsułby plany Issie, bo Finnen wątpił, czy dziewczyna wciąż byłaby chętna do zaważenia osi światów, gdyby dowiedziała się, że ojciec manipulował nią od początku. To wydawało się właściwe z wielu powodów, a jednym z nich był niewątpliwie Dime. Biedny, naiwny Dime, którego Finnen znał od dzieciństwa.

Mrużąc oczy, patrzył w słońce i próbował rozdmuchać w sobie wściekłość na Issę. Przypomniął sobie, jak nurkowali z Dime nocą w stawie i jak planowali wyjechać z miasta pustym wagonikiem Kolejki. Lecz twarz rudowłosego chłopaka ustępowała już miejsca twarzy Kairy, jej ból, strzaskane nadzieje, całe życie, które okazuje się oszustwem. Zamrugał i łzy spłynęły mu po policzkach.

Odwrócił się niechętnie, oślepiiony czerwonym blaskiem, czarne plamy wykwiwały przed oczami. W ustach miał smak przeczuwanej, choć jeszcze nie postanowionej zdrady. Dlaczego nie?, myślał, przywołując wszystkie argumenty, jakie w takich sytuacjach przywołują ludzie: to nikomu nie wróci życia, nikogo nie uszczęśliwi, a wręcz przeciwnie. Dlaczego więc nie?

Wstał, przeszedł kilka kroków i zawrócił - omal nie zapomniał torby, a nie wybaczyłby sobie, gdyby to zrobił. To, o co go poprosił (czy raczej, według swego mniemania, czego zażądał) człowiek z gwiazd, było tak niezwykle, że Finnen nie tylko się zgodził, ale nawet z ochotą zamierzał dotrzymać słowa.

35

Niraj śni.

Dziewczynka jest nieco starsza od niego, ma może z dziesięć, jedenaście lat. Jest także wyższa, ale za to szczuplejsza. Chłopiec patrzy na nią, rozważając, czy dałaby mu radę w walce *darakką*, i dochodzi do wniosku, że nie. Za mało mięśni, myśli, i to budzi w nim protekcyjną łaskawość.

— Ty jesteś Muira, prawda? Córka Janadry? — Widywał ją,

gdy była brzdącem chodzącym niepewnie na krótkich nóżkach. Wyglądała wtedy dokładnie tak, jak teraz wygląda jego siostra Kaira. — My się znamy, no, przynajmniej znaliśmy się kiedyś. Jestem Niraj.

Muira odwraca się i jej twarz rozpala rumieniec furii. Tak właśnie zapamięta to Niraj - ogień wściekłości obejmuje w jednej chwili całą twarz, jakby spokój był papierową maską. Dziewczynka krzyczy, wyciąga dłonie i popycha Niraja, który przewraca się - ale chłopiec nie na darmo ćwiczy refleks. Zrywa się błyskawicznie, dopada Muirę i chwyta ją tak, by unieruchomić ręce.

— Masz dość? — pyta. — Wydrapię ci oczy — oznajmia dziewczynka i ku jego zdumieniu zaczyna się śmiać.

Niraj nie wie, co dalej, i szczerze mówiąc, już czuje się nieco głupio. Mógłby oczywiście ją puścić, ale wcale nie ma pewności, czy Muira nie zamierza spełnić swej groźby.

W tę chwilę konsternacji wdziera się odgłos oklasków. Issa siedzi w fotelu i z leniwym podziwem uderza w ręce, obok Janadra z twarzą ściągniętą niepokojem.

— Widzisz? — mówi. — Widzisz? Ona jest nie do opanowania.

— Spróbujemy metody radykalnej — odpowiada Issa. Wstaje z fotela i pyta syna — potrafisz sobie z nią poradzić, tak?

Chłopiec uważa, że pytanie jest głupie, więc tylko wydyma usta. Issa uśmiecha się.

— W takim razie pomożesz nam ją przytrzymać.

Schodzą w przeszłość, głęboką, pustą i zakurzoną. Znajdują dom Aylena - Niraj zna go z pocztówek sprzedawanych na placu Wodnym. Tam, w gabinecie, Issa przedstawia figurki szachowe, a syn go obserwuje. Otwiera się przejście, mroczna, wionąca wilgocią wnęka w podłodze i prowadzące w dół schodki. Issa oraz Janadra przejmują z rąk Niraja wierzgającą Muirę i ciągną ją w dół.

— Zaczekaj tu — rzuca Issa do chłopca. Ale chłopiec jest tylko chłopcem, więc gdy tylko ojciec wraz z przyjacielem znikają w mroku, ostrożnie idzie za nimi.

Zagląda do podziemnej komnaty - na chwilę, tylko na ułamek sekundy, bo przerażenie zaraz wygania go na górę. Lecz to

wystarczy, by wbił mu się w pamięć widok, który wróci do niego wiele lat później.

Wiele lat później Niraj, już w ciele mechanicznego, zbudzi się z narkotycznego snu i powtórzy:

— Tak, pamiętam.

Będzie wtedy świtało, a jeszcze tego samego dnia kapitan Tellis przesunie na właściwe miejsce ostatnią figurę i ostrożnie, jakby podnosiła martwego owada, zdejmie z szachownicy białego króla.

36

Tym razem nosiła różową kokardę i zaproponowała mu herbatę, co nieco wytrąciło Marely'ego z równowagi, spodziewał się bowiem wstażki błękitnej i braku poczęstunku.

Zgodził się na herbatę i dopiero poniewczasie, siedząc już w błękitnym salonie z parującą filiżanką w ręku, zorientował się, że gospodyni sama nie zamierza pić. Pod świdrującym spojrzeniem jasnych oczu poczuł się jak prezentowane w klatce zwierzę. Herbata była dobra, choć nieco zbyt słodka, teraz jednak przestała mu smakować.

Odłożył naczynie na stolik i mruknął coś niezobowiązująco.

— Słyszałam, że przeżył pan kolejny zamach na swoje życie

— powiedziała Merha Nomahan. — Musi pan albo być wielkim szczęściarzem, albo też mieć bardzo dobrą ochronę.

— Istotnie — przyznał.

— Istotnie „jestem wielkim szczęściarzem”, czy „istotnie mam znakomitą ochronę”?

— Istotnie przeżyłem kolejny zamach na moje życie. — Marely wytrzymał spojrzenie błękitnych oczu. Kobieta skinęła lekko głową, jakby z uznaniem.

— Połowa miasta pana nienawidzi, a połowa uwielbia — ciągnęła. — To musi być ciekawe doświadczenie.

Przypomniał sobie wrzaski ludzi zgromadzonych przed jego mieszkaniem, krew na koszuli i jasnowłosą dziewczynę, która przepchnęła się przez ciżbę, krzycząc, że chce Marely'ego zabić

- a on, kierowany instynktem, pozwolił jej do siebie podejść. I nie mylił się, bo dziewczyna, zamiast zaatakować, zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała, szepcząc przy tym gorączkowo: „Niech pan ich nie słucha, pan jest dobry, kocham pana”. Objął ją, podczas gdy tłum zdierał sobie gardła, a jego wściekłość odbijała się od ciała dziewczyny jak od tarczy.

— Jest mniej ciekawe, niż się pani wydaje — odparł.

— Skoro pan tak twierdzi — zgodziła się uprzejmie. Jej wzrok pobiegł w stronę rozłożonej na stoliku gazety.

Marely odruchowo spojrział w tym samym kierunku. Na pierwszej stronie widniało zdjęcie Kairy oraz Finnena. Tym razem inspektor nie potrafił powstrzymać drgnięcia mięśni twarzy. Nomahan roześmiała się.

— Miał pan spotkanie z tym młodzieńcem, prawda? Ludzie w mieście opowiadają, że ukradł panu mechanoida i że towarzyszyła mu Kaira w przebraniu. Podobno oboje wywołali niezłe zamieszanie.

— Nie zajmuję się plotkami — oznajmił sztywno. — I nie sądziłem, że interesuje się nimi pani.

— To tylko niewinna przyjemność samotnej staruszki. — Błysk w jej oczach dobitnie świadczył, że bynajmniej nie uważa się za samotną staruszkę. — Jeśli nie ma pan ochoty gawędzić, przejdziemy od razu do interesów.

— Tak będzie lepiej.

— Człowiek w masce sowy, który pana wynajął, to najprawdopodobniej Sairo Marouti. Ma córkę w odpowiednim wieku, która cierpi z powodu bólów wywołanych przyspieszonym wzrostem.

— Przyjaciół Brina Issy?

— Jego brat.

37

— Uważaj, schody są wąskie.

Schodząca Tellis potknęła się, chwyciła ramię idącego przed nią Mahameniego i z trudem utrzymała równowagę.

— Niech to Skok — powiedziała. — Przepraszam.

— Nie szkodzi. Mówiłem...

Tym razem potknął się on. Płomień świecy trzymanej w dłoni zachybotał się i prześliznął po wilgotnym kamiennym murze. Mahameni zaklął brzydko.

Tellis roześmiała się, co odrobinę rozładowało napięcie.

— Myślisz, że mogą tu być pułapki? — Mehus miał odwagę głośno powiedzieć to, o czym kapitan tylko myślała.

— Nie zdziwiłabym się. — Starła się, by jej głos zabrzmiał nonszalancko. — Może ja powinnam iść pierwsza?

— Chyba żartujesz.

— Biorąc pod uwagę, że ty masz przed sobą jeszcze sporo życia, a ja i tak niedługo umrę...

— Nie mów tak. — Odwrócił się, jego twarz zastygła w wyrazie uporu. Kulił się, wciągając głowę w ramiona, jakby liczył, że w ten sposób uchroni się przed prawdą. — Nie chcę tego słuchać.

— Oboje wiemy... — zaczęła łagodnie, ale Mahameni miał tak ponurą i nieprzejednaną minę, że zrezygnowała. — W porządku, idź, potem porozmawiamy. W razie czego będę cię ratować.

Jednak bezpiecznie dotarli na dół. Tellis zdumiała się, widząc w podziemnej komnacie dwa wąskie, zakurzone okna, przez które wpadał zielonkawy blask księżyca. Szybko jednak zrozumiała, że szyby są sztuczne, zrobione z barwionego świetlikowego szkła. Zresztą na zewnątrz przecież był dzień, nie noc.

Iluzja, pomyślała, biorąc od Mahameniego świecę i omiatając blaskiem całe pomieszczenie. Ze ścian, niegdyś pokrytych srebrnymi ornamentami, osypywał się tynk, cała posadzka zasłana była brudnobiałym pyłem, w którym widniało kilka kałuż zastygłego wosku. Znak, że ktoś tu jednak był.

Tynk osypywał się z pięciu ścian, szósta była inna, ciemniejsza. Tellis podeszła do niej i płomień świecy odbił się w czarnej głębi wody. No proszę, najpierw iluzja, a teraz akwarium, myślała, patrząc w szybę.

Issa i jego rodzeństwo przez lata zamawiali u duszoinżynierów córki o niemal identycznym kodzie genetycznym. A

potem te dziewczynki znikają - nie było po nich śladu w rejestrze corocznych badań przeprowadzanych przez poszczególne Wieże, ich imiona nie pojawiały się w zwyczajowych księgach z podziękowaniami tych, którzy przeżyli Skok, ani w spisach ludzi, którzy zostali z tyłu. Nigdy nie przechodziły genozmiany, nie miały otwartego rachunku w żadnym sklepie, nie starały się o takie czy inne pozwolenie, nie kupowały ani nie sprzedawały niczego na tyle wartościowego, by podpisać umowę. Jakby nie dane im było nigdy dorosnąć, jakby zapadały się pod ziemię w wieku kilkunastu lat.

Być może trzy z nich znaleziono dawno temu w Kwartale Kandrisa.

Być może po tej nauczce rodzeństwo zmartwiałe i pozostałymi córkami zajęło się w inny sposób.

Tellis patrzyła w szybę. Za nią coś się poruszało, zgniłe pędy wodorostów i białe, dziewczęce ramię.

Stojący za Tellis Mahameni wciągnął gwałtownie powietrze, a kapitan obserwowała pływające w wodzie ciała. Obserwowała i nagle zaczęła się śmiać.

— Iluzja — wyjaśniła, gdy już uspokoiła się na tyle, by móc mówić. — One nie są prawdziwe. Spójrz, to tylko nagie lalki.

— Ale... czemu? Po co? I gdzie są te wszystkie martwe dziewczynki?

— Tam, gdzie każdy rozsądny człowiek umieściłby zwłoki. W przeszłości, dawno już pewnie rozłożone. W odrzuconym świecie jeden trup mniej czy więcej nie zwróci niczyjej uwagi.

— A to tutaj...?

— Teatr. — Wzruszyła ramionami. — Być może w ten sposób kogoś straszono. Nie mam pojęcia. Tak czy inaczej, Issa znów nas wykiwał. — Zaśmiała się, tym razem krócej i z wyraźną goryczą. Pokręciła głową w wyrazie niechętnego podziwu. — Nic na drania nie mamy, Mahameni. Nie sposób przecież oskarżyć człowieka o to, że w akwarium trzyma lalki.

— Co teraz?

Tellis nie zdążyła odpowiedzieć. Na schodach rozległ się dźwięk ostrożnych kroków.

— Ktoś jest na dole — szepnął jeden, wyraźnie nerwowy głos.

— Kłapa była otwarta.

— Zamknij się — odparł drugi głos. Było w nim więcej pewności siebie, a także metaliczna nutka, która kazała Tellis pomyśleć, że to mechaniczny, i obudziła jej czujność.

— Myślisz, że Issa naprawdę trzyma tam zwłoki? — szepnął ten pierwszy, wciąż zdenerwowany, ale zarazem chyba też podniecony.

Tellis rozejrzała się, choć i tak wiedziała, że nie mają gdzie się ukryć. Mahameni sięgnął po służbową *darakkę*. Kapitan położyła mu rękę na ramieniu.

W przejściu stanął mechaniczny oraz jasnowłosy mężczyzna. Tellis знаła go z opisów. Mahameni swego czasu dostarczył jej listę wszystkich domowników Brina Issy.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu - dłoń mechanicznego jednoznacznym gestem powędrowała do wiszącej u boku *darakki*, Mahameni zacisnął usta, jasnowłosy cofnął się nerwowo.

— Kim, u licha, jesteście? — zapytał mechaniczny.

— Załatwię go, chcesz? — Mahameni zwrócił się do Tellis, ale patrzył wciąż na mechanicznego, którego oczy rozblęły może złością, a może po prostu rozbawieniem.

— Zaczekaj — powiedziała kapitan stanowczo. — Dogadamy się.

— Skoro chcecie się dogadać, zacznijcie od wyjaśnienia, kim jesteście i jakim cudem udało wam się otworzyć przejście.

— To tylko jakiś stuknięty facet i staruszka, rany, popatrz tylko na nią, wygląda jak pieprzona stulatka — wymamrotał jasnowłosy ze swojego bezpiecznego miejsca tuż przy schodach.

— Nie musimy się przed tobą tłumaczyć — oznajmił Mahameni.

Mechaniczny i Tellis zgodnie uciszyli swoich towarzyszy. Kapitan myślała.

Oni, podobnie jak my, sądzili, że znajdą tutaj zwłoki zamordowanych córek. To znaczy, że nie przyszli tu z polecenia Issy.

Ignorując dawane jej przez Mahamieniego znaki, zdecydowała się zaryzykować i zaczęła mówić.

Wyszedłszy od Merhy Nomahan, Marely starał się przetrwać uzyskane informacje.

— Aylen miał siedmioro dzieci — powiedziała staruszka. — Jedno z nich, Noleh, zginęło jakiś czas temu. Podobno ów młodzieniec znakomicie znał się na geografii i historii, a także miał spory pociąg do wina.

— Dlaczego mi pani o nim opowiada?

— Bo kiedy Kaira była mała, Issa zapłacił za genozmianę pewnego człowieka, a potem zatrudnił go jako preceptora swojej córki.

— Esh Gurleen?

— Którego nowa osobowość wciąż wykazuje zaskakująco dużo cech zbieżnych z osobowością zmarłego Noleha. Poza zamiłowaniem do wina, rzecz jasna, na takie przyjemności biedaczek zamknięty w metalowej głowie nie może sobie już pozwolić.

Marely wszedł do czekającego przed budynkiem mechanoida i dał znak animatorowi. Gdy ruszyli, wciąż ścigał go śmiech Merhy Nomahan, a z plakatu wiszącego na słupie ogłoszeniowym patrzyła za nim poważna twarz Kairy.

Następnego dnia znowu padało, a w nocy temperatura gwałtownie spadła poniżej zera. Na konstrukcjach otaczających budynki zawisły sopele, narosłe jeden na drugim i tworzące skomplikowane wzory, oraz rozpostarte pomiędzy żelaznymi elementami lodowe girlandy, które chwytały resztki słonecznego światła. Dni były krótkie jak błysk flesza, z placów poznikali artyści, mechanoidy z trudem utrzymywały równowagę na oblodzonych schodach, a ludzie chodzili po mieście opatuleni po uszy w obronie przed kłującym mrozem.

Właśnie w jeden z takich krótkich, zimnych dni w Lunapolis

rozeszła się wieść, że odnaleziono dom prezydenta.

Odkąd pamiętano, prezydent miasta zawsze był postacią nieuchwytną. Nikt nie wiedział, gdzie mieszka, nikt nie znał jego twarzy - podobno przemawiające na placach mechaniczne lalki miały jego rysy, lecz nie było to wcale nic pewnego. O domu prezydenta opowiadano, że jest ruchomy, że wędruje, zawieszony na szynach pomiędzy innymi budynkami, zawsze nocą, w ciemności i bez zgrzytu, by rankiem gładko wpasować się w krajobraz za pomocą otaczającej go Zdumiewającej Konstrukcji Kameleona i pozostać niezauważonym. Tym razem miał zatrzymać się przy placu Haków.

Ludzi poprowadziła rosła niewiasta z ramionami szerokimi jak mężczyzna, w staroświeckim cylindrze na krótkich, jasnych włosach. W ręku dzierżyła długi nóż do krojenia chleba. Pozostali mieli tasaki, szpikulce do mięsa albo zwykłe kamienie. Nie było ich wielu - grupa liczyła może ze trzydzieści osób - ale wyglądali na tak zdeterminowanych, że strażnik, który ich zauważył, nie próbował nawet nawoływać do rozejścia się, tylko natychmiast poleciał po wsparcie.

Trudno było powiedzieć, czy budynek, który wskazała kobieta w cylindrze, istotnie pojawił się na placu dopiero niedawno - kurtyna połyskujących w słońcu sopli myliła wzrok, a nikt nie miał czasu, by przystanąć i przyjrzeć się uważniej. Uzbrojeni ludzie podążyli za przewodniczką w głąb domu - najpierw ogarnęła ich woniejąca wilgotnym metalem ciemność, a potem, gdy korytarz się skończył, wkroczyli do zwieńczonego przeszkloną kopułą okrągłego pomieszczenia. Ściany z zielonych kafelków były gładkie, kamyczki posadzki układały się w słowo „WITAJ”, a kolorowe szybki na sklepieniu tworzyły zwinięty w okrąg napis „ŻEGNAJ”. Nie było tu żadnych mebli, prócz fotela stojącego pośrodku w kolumnie czerwonego światła, dokładnie pod centralną i zarazem jedyną przezroczystą szybką kopuły. Na fotelu siedziała mechaniczna lalka o poważnym, dobrotliwym obliczu - choć efekt psuła nieco zwisająca, uszkodzona szczeka.

Jeden z przybyłych pchnął lekko kukłę, a wtedy ta poruszyła się, szczeka na moment wróciła na właściwe miejsce i rozległ się głos mówiący: „Gdzie mój pies? Zawołajcie mojego psa!”.

Ludzie rzucili się na lalkę i szybko roznieśli ją na strzępy. Najdziwniejsze jednak było to, że gdy ochłonęli już wystarczająco, by przeszukać resztę pomieszczeń, rzeczywiście odnaleźli hodowlę psów. Zwierząt w klatkach nie było, lecz na górnym piętrze unosiła się woń ciepłego futra i szczenięcego moczu, wytarte koce oblepiała sierść, a na biurku leżały plany odrodzenia wymierającej rasy - ambitne i niezwykle kosztowne.

O ile bowiem poszczególne wieże chętnie finansowały badania ludzkiego genomu, o tyle za studia nad genami psów właściciele hodowli płacić musieli z własnej kieszeni.

Nikt z przybyłych nie docenił tych projektów. Razem z kocami oraz szczątkami kukły spłonęły one w pośpiesznie podłożonym ogniu, który nim interweniowała straż, strawił większość pomieszczeń osobliwego budynku.

Interludium

Mirha Ismis

Mirha uwielbia spać, zawsze uwielbiała. Nie ma dla niej nic przyjemniejszego, niż wtulić się wieczorem w poduszkę i zamknąć oczy. Sen jest dla niej jak skok w ciemność, słodką i pachnącą bezpiecznymi ojcowskimi ramionami. Gdyby ojciec żył, spałaby całą noc i cały następny dzień, ale wie, że nie może, musi bowiem zająć się małym braciszkiem.

Braciszek nie ma nikogo prócz Mirhy, a Mirha nie ma nikogo prócz braciszka. Zawsze będziemy razem, zapewnia go, wyobrażając sobie przy tym wieczność jako miękkie, puchowe łóżko.

CZEŚĆ II

SKOK W CIEMNOŚĆ

Finnen

Po rozmowie z człowiekiem z gwiazd skontaktowałem się wreszcie z Tamsinem Korreiem. Jego dom położony był na obrzeżach Głębińców; tuż obok znajdowała się manufaktura, w której zatrudniał piętnaścioro krzepkich Skadran o identycznych twarzach i identycznych poplamionych chemikaliami palcach.

Sam Korrei miał głowę przypominającą wielkie jajo, bezwłosą i gładkoscórą. Jego uszy ściśle przylegały do czaszki, nos był płaski, z wąskimi dziurkami. Brakowało mu łuków brwiowych, przez co małe oczy z opadającymi powiekami wyglądały jak narysowane. Wargi usunięto mu chirurgicznie bądź też urodził się już bez nich, także kiedy milczał, usta odznaczały się tylko ciemniejszą rysą, jak pęknięcie na skorupce. Gdy zaczął mówić, zauważyłem, że podniebienie ma zaskakująco ciemne, koloru wątroby, a język giętki i spiczasto zakończony.

Nie był zaskoczony moją prośbą, wyglądało też na to, że podczas rozmowy ze mną dobrze się bawi, jakby wiedział coś, o czym ja nie wiem. Zastanawiałem się, czy nie przerwać tej gry i nie przyznać się, że jestem świadom planów Issy, ostatecznie jednak zdecydowałem się tego nie robić. Przecież nie mogłem mieć pewności, że Korrei istotnie o swojej roli został poinformowany.

Podał absurdalnie wysoką cenę, zacząłem się więc targować i ostatecznie zgodził się na połowę wymienionej sumy. Wciąż

było to dużo, lecz skoro zdecydowałem się grać według reguł Issy, nie miałem wyjścia. Gdy wyszedłem, czułem się jak dziecko, które dąsając się, postawiło na swoim i ponieważ zorientowało się, że tak naprawdę to ono zostało oszukane.

1

Spoczywając na leżance ustawionej pod kątem czterdziestu pięciu stopni, Tassos Hairetis miał świetny widok na własne, obciążone białymi skarpetkami stopy, i na niewiele więcej. Słyszał szum aparatury monitorującej bicie serca oraz ciśnienie, a także miarowy oddech sztucznego płuca. Już niedługo nano-mechanizmy odbudują jego własne, na razie jednak zmuszony był leżeć z unieruchomioną głową i gapić się na skarpetki, z których lewa, co zauważył z niesmakiem, zaczynała się przecierać.

Na krawędzi pola widzenia zarejestrował ruch. Po chwili Marilia przyciągnęła sobie krzesło i usiadła obok łóżka.

— Jak się czujesz? — zapytała.

Hairetis wystukał odpowiedź na podręcznym komputerze. Nie widział klawiatury - aby ją zobaczyć, musiałby unieść głowę - nieźle jednak sobie radził z pisaniem bezwzrokowym.

„OK. CO SIE STAŁO?”

— Skąd wiesz, że coś się stało?

„MASZ CHYTRA MINE. JAK ZAWSZE KIEDY CHCESZ POWDZIEC COS CIEKAWEGO”.

Marilia zachichotała.— Nigdy nie wpadłabym na to, że miewam chytre miny. Ale naprawdę zdarzyło się coś ciekawego. Wyobraź sobie, że kiedy już mieliśmy opuścić orbitę, dotarła do nas transmisja radiowa. Ktoś tam, na dole, ma nieźle wycucie dramatyizmu, co?

„CZŁOWIEK W TYCH RUINACH? KTO?”

— Powtórzę ci dokładnie, co powiedział, chcesz?

„TY CHCESZ”.

— OK, w takim razie cytuję: „Tu Danilej Pantlekis, prosz czekajeci namie, odezwe szypko”.

„ZARTUJESZ”.

— Nie. A najzabawniejsze jest to, że w załodze „Optymisty” rzeczywiście był jeden Pantalekis, facet, który zszedł na powierzchnię planety i zniknął. Tylko że on powinien dobrze mówić franespańskim, a tamten facet gadał jak cudzoziemiec. Dziwne, nie?

„CZEJAK, JAKTO ZNIKNAŁ?”.

— Tak twierdził ten, który wrócił na „Optymiście”.

„CO TERAZ ROBIMY? CZEKAMY?”.

— Ano, na to wychodzi. Ktokolwiek to jest, nie możemy przecież go zostawić.

„UWAŻAJCIE”.

— Na co? Sądzisz, że to Obcy, który się podszywa pod Pantalekisa?

„ZA DUZO FILMW OGLADASZ. AKE RAM COS JEST. MNIE DOPADŁ”.

— Zaczynasz robić coraz więcej literówek. Powinieneś odpocząć. I nie martw się, będziemy uważać.

2

Unaj - Pantalekis wiedział, że to on - przywołał z okna kolejnego ptaka roznoszącego wiadomości, a gdy stworzenie usiadło na parapecie, zgarnął je w dłoń i zacisnął. Cienka powłoka poddała się z chrzęstem. Mechaniczny dmuchnął w zwiniętą pięść; w powietrze poszybowały połyskujące metalicznie szare pióra. Wyprostował palce, ukazując ptasie wnętrzności, niezajmujące więcej miejsca niż ćwiartka jabłka, po czym dorzucił je na stosik identycznych srebrnych mechanizmów.

— Sztuczka — powiedział.

— Jak cholera — przyznał Pantalekis. — Co masz zamiar z tym zrobić? Chcesz założyć staremu pluskwę?

Ostatnie słowo nie miało swojego odpowiednika w miejscowym języku, więc Daniel użył określenia z franespańskiego. Unaj spojrział na niego bez zrozumienia.

— Chcę wiedzieć, o czym Issa będzie rozmawiał z przyjaciółmi.

— To właśnie oznacza pluskwa. Po co ci tego aż tak dużo?

— Mechanizmy ptaków potrafią nagrywać tylko krótkie wiadomości.

— I chcesz je połączyć, żeby nagrały całą rozmowę? Jak? Nie masz pojęcia, co? — Daniel zaśmiał się. Na Unaju nie zrobiło to wrażenia.

— Ja nie, ale ty tak. Pochodzisz ze świata, w którym ludzie uczą się posługiwać mechaniką. Zwykli ludzie, nie tylko wybrani. A ty przyleciałeś statkiem, na którego pokładzie było tylko kilka osób.

— I niby co z tego?

— To, że w tak małej załodze każdy musi po trochu znać się na wszystkim. Tak myślę.

Drań miał rację, ale Pantalekis nie zamierzał łatwo się poddać.

— Chyba sobie jaja robisz. Nie mam pojęcia, na jakiej zasadzie to dziadostwo działa.

— Więc usiądź przy biurku i się przekonaj. Masz czas do wieczora. Potem przyjdą przyjaciele Issy.

— Dwie godziny? Nawet gdybym rzeczywiście znał się na mechanice, to za mało.

— Spróbuj.

Pantalekis otworzył usta i zamilkł, gdy Unaj uniósł dłoń.

— Spróbuj — powtórzył mechaniczny. — Nie chcę cię do tego zmuszać, wolę poprosić. Ty też to wolisz.

3

— To cholernie dużo pieniędzy. Nie mamy tyle. — Kaira potrząsnęła głową. Włosy, wciąż jeszcze mokre po kąpieli, przykleiły jej się do policzków, więc odgarnęła je niecierpliwym gestem, po czym usiadła na łóżku, krzyżując nogi. Finnen pchnął ku niej talerzyk z biszkoptami, który dziewczyna zignorowała.

— Wiem. Myślałem... — zawahał się. Miał silne przeczucie, że Kairze nie spodoba się jego pomysł. — Mogłabyś pogadać z Nirajem. Ostatecznie to twój brat i raz ci już pomógł. — Nie

dodał, że chłopak jest teraz mechanicznym, choć przez chwilę wyobrażał sobie spotkanie rodzeństwa. Czy Niraj mógłby zbuntować się przeciw ojcu i zdradzić Kairze jego plany? — Poprosiłabyś go, żeby wziął od ojca trochę pieniędzy.

— Wziął, czyli ukradł?

— Nie mów mi, że nagle zaczęłaś przejmować się takimi rzeczami.

— Nie chcę niczego zawdzięczać ojcu. I nie chcę narażać Niraja.

Finnen zastanowił się, czy to prawda. A może zwyczajnie nie przypadło jej do gustu słowo „poprosić”?

— Mam lepszy pomysł — powiedziała.

4

Gdy ostatni gość opuścił dom Issy, Unaj wśliznął się do salonu, w którym odbywało się spotkanie, i wyjął z ozdobnej wazy urządzenia nagrywające. Pantalekis towarzyszył mu jak cień, tym razem wyjątkowo chętnie, zdjął nawet koszulę, by Unaj mógł położyć na niej delikatną srebrzystą koronkę szepionych ze sobą mechanizmów. Uważając, by nie natknąć się na nikogo, przenieśli ją do pokoju Pantalekisa.

Unaj włączył odtwarzanie. Całość nagrania nie trwała długo, może z piętnaście minut albo nawet mniej. Głosy Issy oraz jego gości były stłumione przez ścianki wazy, w tle rozlegał się szcęk kieliszków i odgłosy towarzyszące odkorkowywaniu butelek wina. Na początku obaj mężczyźni, mechaniczny i żywy, słuchali z równym zainteresowaniem, potem Pantalekis znużył się, położył na łóżku i zajął gapieniem się w sufit.

Unaj tymczasem w kółko odsłuchiwał jedyny istotny fragment rozmowy.

5

— Musimy się pospieszyć — oznajmiła wyraźnie zirytowana Darika. — Środek coraz słabiej na nas działa, u Tarkesha

zauważyłam kilka siwych włosów, a u mnie lada moment pojawią się zmarszczki.

— To już nie potrwa długo. — Issa jak zawsze był spokojny.

— Mówisz tak od pół roku — parsknął Ankis, dolewając sobie wina. — Wysadźmy sami te cholerne Archiwa, skoro Kaira nie jest w stanie tego zrobić!

— I co nam z tego przyjdzie? Wysadzenie Archiwów to tylko pierwszy etap, z drugim moja córka tak czy inaczej musi poradzić sobie sama.

— Co z tego?

— To, że jeśli wyręczymy ją przy pierwszym, na drugi nie będzie gotowa, a my zyskamy tylko chaos. Zaufajcie mi. Kiedy dziewczyna zniszczy oś światów, reszta pójdzie jak po maśle.

— Zaufajcie? — Ankis odstawił kieliszek tak gwałtownie, że wino chlapnęło na stół. — Myślę, że ufamy ci już wystarczająco długo, i co nam z tego przyszło? Mamy dwie ostatnie córki, a ty przez ostatnich kilka miesięcy robiłeś wszystko, żeby jedna z nich zginęła, wplątałeś dziewczynę w jakąś cudaczną intrygę, narażałeś jej życie. Do licha, Issa, to twoja wina, że Kaira jest teraz najbardziej poszukiwaną osobą w całym Lunapolis. Jeśli ją złapią, nie wiem, czy będziemy mogli ją ochronić. A ty chcesz, żebyśmy ci zaufali? Twoje metody...

— Moje metody to moja sprawa - wpadł mu w słowo Issa. — Taka była od początku umowa. Każdy z nas odpowiada za swoją córkę i decyduje, jak ją ukształtować. Mieliście swoje szanse, ale wszystkie wasze rozsądne metody zawiodły. Dziwicie się, że wybrałem inny sposób?

— Inny, czyli mniej rozsądny? Issa, to, co ty wyprawiasz, to czyste szaleństwo. Przez ciebie wszyscy zestarzejemy się i zdechniemy, robiąc pod siebie. Tego chcesz? Jeśli od początku coś takiego planowałeś, miej przynajmniej odwagę, kurwa, powiedzieć mi to prosto w oczy!

Niemal wszyscy zaczęli krzyżeć, w ogólnym rozgardiaszu brakowało jedynie głosów Issy oraz Maroutiego. W końcu do tego drugiego zwrócił się Ankis.

— Marouti, powiedz mu, że jeśli... Marouti? Szlag, nie odwracaj głowy, nie udawaj, że nie masz z tym nic wspólnego!

Wydaje ci się, że jeśli Kaira zginie, cała chwała spadnie na twoją córkę?

6

Unaj wyłączył odtwarzanie.

Jesteś zadowolony?, zapytał Niraj.

Nie, nie jestem. Ty też nie powinienes być. Nadal nie wiemy, czego tak naprawdę twój ojciec chce od Kairy.

Nasz ojciec.

Tak, w jakimś sensie chyba rzeczywiście jest moim ojcem. Unaj westchnął, a leżący na łóżku Pantalekis zerknął na niego, po czym wrócił do wpatrywania się w sufit.

Musimy zdobyć dziennik Issy, zdecydował Unaj.

Ten, który ojciec trzyma w sejfie? Chcesz się tam włamać?

Czemu nie?

Włamania nie zdołamy przed nim ukryć. Domyśli się, kto to zrobił, i nie wybaczy mi.

Nie będzie musiał ci wybaczać, idioto, jeśli pójdziemy stąd w cholerę. Kiedy weźmiemy dziennik, niczego więcej nie będziemy potrzebować. Coś cię trzyma w tym domu? Przywiązanie do starego drania, który zamordował twoją siostrę, a ciebie doprowadził do obłądzenia i w końcu pozbawił ciała? Niraj, ja cię lubię, naprawdę, ostatecznie jesteśmy na siebie skazani, więc nie mam wyjścia, ale twoje zaślepienie czasem...

Ta dyskusja nie ma sensu. Dziennik jest zaszyfrowany, wiesz to równie dobrze jak ja. Co niby z tym zrobisz, geniuszu?

Ja nic. Ale obaj znamy kobietę, która z szyfrem sobie poradzi. Tę samą, która rozgryzła szachową zagadkę i od której tak bohatercko nie chciałeś przyjąć pomocy. Pora zrezygnować z dumy, Niraj.

Nie.

Nie co? Nie zrezygnuję z dumy? Nie okradnę ojca? Nie opuszczę go, choć to mnie najbardziej wykorzystuje?

Po prostu nie. Oddaj mi ciało.

Niraj wypływał na powierzchnię, podczas gdy Unaj schodził w

dół. I nawet kiedy przejął pełną kontrolę, wciąż słyszał cichnące echo śmiechu swego bliźniaka.

7

Tellis odkroiła spleśniały kawałek i włożyła chleb do ust. Żuła ostrożnie, starając się używać zębów po lewej stronie, bo te po prawej chwiały się niebezpiecznie. Popiła wodą i sprawdziła zapas świec. Jeśli będzie oszczędzać, powinny wystarczyć na jeszcze kilka nocy.

Położyła się w łóżku Issy, w którym od dawna czuła się jak we własnym, i zmęczona przymknęła oczy. Prześpię się trochę i będzie lepiej, pomyślała. Wiedziała jednak, że oszukuje samą siebie. Sen już nie pomagał, podobnie jak jedzenie i woda. Z każdą chwilą słabła coraz bardziej i trudniej było zachować jasność myśli. Nie zostało jej wiele czasu. Jeśli miała coś jeszcze zrobić, powinna zdecydować się szybko, zanim straci resztę sił.

Czy istniało coś, co przegapiła? Działanie, jakiego nie podjęła? Przejrzała wszystkie możliwości i doszła do wniosku, że nie. Teraz wszystko zależało od syna Issy - czy może raczej synów? Z Nirajem nie wiązała nadziei, był zbyt arogancki, żeby zdecydować się na współpracę ze staruszką, i chyba mimo wszystko wciąż zbyt przywiązany do ojca. Ale ten drugi, Unaj... Użyła całej swojej umiejętności przekonywania, by zapewnić obie osobowości mechanicznego o tym, że może być przydatna, i teraz nie pozostawało jej nic innego, jak tylko czekać na efekty.

Buntowała się przeciwko temu, bo nie znosiła polegać na innych, ale pod pewnymi względami była też zadowolona. Zaczynam się poddawać, pomyślała z goryczą, wsłuchana we własny ciężki oddech. Ale właściwie dlaczego nie? Jaki jest sens walczyć o każdy dzień życia, gdy człowiek ma tak nikłe szanse? Czy nie lepiej leżeć sobie w ciemności, pozwalając, by los zdecydował za nią?

Tellis zapadała w sen, czując, jak chłód obejmuje jej starcze ciało.

Nalle krwawił na biało-czarną szachownicę podłogi, a Finnen klęczał przy nim, uciskając ranę na szyi chłopca, i nasłuchiwał kroków nadbiegających strażników. Byli już niedaleko, kamienne korytarze odbijały echo żelaznych nóg łomoczących o posadzkę i echa nawoływań. Jeszcze nie wiedzieli, gdzie szukać złodziei, którzy wdarli się do domu rzeczoznawcy Omariego, ale znajdą ich, Finnen nie miał co do tego wątpliwości.

Chłopiec poruszył się, jego gardło zadrgało, jakby próbował coś powiedzieć. Krew popłynęła szerszym strumieniem.

— Cicho bądź — wyszeptał Finnen.

Kilka kroków dalej leżała jasnowłosa Arikol, nieśmiała, ale dzielna Arikol, która umarła tam, dokąd zdołała dopełznąć, na końcu ciągnącej się od jej bezwładnego ciała brudnoczerwonej smugi. Obok spoczywali dwaj mechaniczni: jeden miał oderwaną głowę, drugi wciąż jeszcze się ruszał. Jak rozdeptany chrząszcz, myślał Finnen, patrząc na niezborne wymachy ramion i nóg, gdy strażnik bezskutecznie próbował przewrócić się na brzuch. Jego głowa od czasu do czasu obracała się ze zgrzytem, oczy rozpalala czerwień, a z ust wydobywał się syczący głos.

— Intruzi — powtarzał. — Intruzi w Lustrzanej Hali!

Kaira, Hannen, Tuir i Ionne pobiegli w głąb budynku, Finnen nade wszystko chciałby do nich dołączyć, ale przecież już to zrobił. Kilka razy.

Gdyby Nalle wreszcie skonał, wszystko byłoby prostsze, Finnen mógłby umknąć nadbiegającym strażnikom sprzed nosa i wydostać się drogą, którą wszedł, czyli przez okno na czwartym piętrze.

Lecz Nalle nie chciał umierać. Krew wypływała z niego strumieniem nieprzerwanym, lecz cienkim, Finnen zgadywał, że jeśli nie przestanie uciskać tętnicy, chłopiec może żyć jeszcze co najmniej kwadrans.

Za długo, strażnicy będą tu w ciągu kilku minut.

Oblizął suche wargi, zastanawiając się, jak u licha do tego doszło.

9

— Potrzebujemy planu — powiedział Finnen. — W Archiwum udało nam się właśnie dlatego, że najpierw dokładnie wszystko przemyśleliśmy.

— Zawsze ostrożny, co? — Nalle wyszczerzył zęby. — Ja nie potrzebuję żadnego planu, kiedy mam to. — Poklepał napierśnik dodającej siły zbroi, który trzymał na kolanach, jakby to było ulubione zwierzątko. — W tym mogę rozerwać mechanicznego gołymi rękami. A to przecież nie wszystkie nasze rzeczy z Archiwum. Trzeba być pieprzonym tchórzem, żeby z taką przewagą potrzebować jeszcze planu. Po prostu wejdziemy tam, weźmiemy, co nam potrzeba, i mogą nas ugryźć w dupę.

— To nie takie proste. Kaira, powiedz mu... — Finnen spojrzał na dziewczynę, ale ta ku jego rozpaczycy pokręciła głową.

— Chłopak może mieć rację. Cicho bądź, Nalle, i nie rób głupich min, dość mam twoich szczeniackich zagrywek. Ale nie wystarczy nam czasu, żeby porządnie zaplanować akcję. Będziemy musieli polegać na tym, co mamy.

Nalle posłał Finnenowi uśmiech, w którym były rozbawienie, triumf, pogarda i chyba nawet odrobina litości. Finnen wzruszył ramionami, choć już wtedy wiedział, że to się źle skończy.

A może tylko mu się wydawało, może wolał tak myśleć, bo w ten sposób mógł poczuć się mądrzejszy od nabuzowanego agresją dzieciaka?

Teraz ten dzieciak krwawił pod jego dłońmi i wciąż nie chciał umrzeć.

— Jeśli naprawdę chcesz to zrobić w ten sposób — powiedział też tamtego wieczoru, gdy został już z Kairą sam na sam

— zróbmy to przynajmniej tylko we dwoje. Z moją obrozą damy sobie radę. Po co narażać dzieci?

— Bo one chcą, żeby je narażać? Daj spokój, Finnen, myślisz, że Nalle zgodzi się zostać w domu?

— Nie obchodzi mnie, na co Nalle się zgodzi, a na co nie

— wymamrotał, ale wiedział, że Kaira ma rację. Jego władza nad grupą zawsze była krucha, dzieci dorastały szybko i coraz trudniej było nad nimi zapanować. Kaira potrafiłaby, ona miała wystarczający autorytet. Jednak najwyraźniej dziewczyna nie zamierzała im czegokolwiek zabraniać.

Przyłączył się do nich oczywiście Hannen, który zawsze siedł tam, gdzie Nalle, a także Ionne i Tuir. Czwórka najbardziej agresywnych chłopców, którym zaczynał się sypać zarost. Finnen nie żałował ich tak jak Arikol, biednej, małej Arikol, której Kaira pozwoliła pójść, pomimo że dziewczynka na nic nie mogła im się przydać.

Jasnowłosa animatorka, choć z natury znacznie spokojniejsza, chciała dorównać chłopcom, a poza tym wierzyła w moc dodającej szybkości konstrukcji. Gdy zakładała ją na nogi, żaden człowiek ani żaden mechaniczny nie mógł jej dogonić.

Ostatecznie dogonił ją jednak bełt z kuszy.

Finnen nie miał pojęcia, że strażnicy w domu Omariego mają kusze. Była to stosunkowo nowa i wciąż jeszcze rzadka broń. Właśnie o czymś takim myślał, gdy mówił, że powinni najpierw dokładnie sprawdzić teren. Mogłyby to zrobić pozostałe dzieci, te, którym poprzydzielał niepotrzebne zadania jedynie po to, by poczuły się ważne i nie chciały iść z nimi na akcję. Gdyby Kaira dała Finnenowi więcej czasu, zajęłyby się czymś sensownym i nie doszłoby do tragedii.

Najpierw zginęła Arikol, a potem Nalle, który popełnił głupi błąd, gdy pochylił się nad pozornie unieszkodliwionym strażnikiem.

Strażnik miał jednak jeszcze na tyle siły, by się unieść i wbić chłopcu w gardło *darakkę*.

Najpierw Arikol, potem Nalle. Finnen przyłapał się na tym, że już uważa go za martwego.

Ostatecznie to była kwestia czasu.

Strażnicy lada moment wpadną do Lustrzanej Hali, Finnen słyszał ich tuż za ścianą. Jeśli zamierzał cokolwiek zrobić,

powinien się pospieszyć.

Mógłby się rozdzielić na dwie osoby, jedna z nich podniosłaby Nallego, a druga próbowałaby zatamować krwotok. A potem? Nie da przecież rady wynieść go przez okno, a wyjścia będą obstawione - przez drzwi uda się może wymknąć Kairze oraz pozostałym dzieciakom, ale tylko dlatego, że dziewczyna ma na sobie zmieniającą wygląd plecionkę i może liczyć na przewagę zaskoczenia.

Mimo to powinien przynajmniej spróbować.

Nalle wyrzeźił coś cicho. Finnen pochylił się nad nim, lecz nic nie zrozumiał.

— Przepraszam — powiedział i podniósł rękę. Krew popłynęła gęstym, ciepłym strumieniem. Chłopiec patrzył spod półprzy-
mkniętych powiek. Wydawał się przytomny, choć już bardzo słaby.

Buty strażników załomotały o czarno-białą posadzkę Lustrzanej Hali. Finnen pobiegł. Tak jak miał nadzieję, okno wciąż było otwarte. Wyszedł na otaczającą budynek konstrukcję i zaczął się zsuwać. Rury były obludzone, dłonie paliły go żywym ogniem, gdy zdierał sobie z nich skórę. Powinien pamiętać o rękawiczkach. Wiatr wciskał się pod kurtkę, w uszach chłopak słyszał szum krwi, ale dni, gdy się bał, już minęły. Przez cały czas myślał o Kairze, o tym, gdzie teraz jest i jakie głupstwo robi - bo że robiła, nie miał wątpliwości.

Okno, przez które wyszedł, rozbłysło świetlikowym blaskiem i wychynęła z niego głowa strażnika, który krzyczał, wskazując na zsuwającą się po konstrukcji postać. Jednak Finnen był już daleko, już mógł skoczyć i zrobił to, tym razem nawet nie przy-
płacając swojego wyczynu bólem kostki.

Ukrył się w bramie naprzeciwko i czekał. Pół godziny później, gdy do świtu było blisko, a chłopak niemal stracił nadzieję, głównym wyjściem wybiegli Hannen, Tuir i Ionne oraz dwie Kairy, ciągnące za sobą zakrwawioną trzecią.

Wystraszony Finnen popędził im naprzeciw. Dwie Kairy musiały być nim samym, zwielokrotnionym i noszącym zmieniającą wygląd plecionkę, trzecia była prawdziwa, ale która?

Ta ranna...?

— Mamy pieniądze! — wrzasnął Hannen niepomny na to, że strażnicy wciąż mogą go słyszeć. — Nie uwierzysz, ile ten stary...

Finnen złapał go za ramię i popchnął, obok biegli Tuir i Ionne. Za plecami chłopak słyszał tupot nóg wszystkich Kair, a dalej charakterystyczne metaliczne uderzenia żelaznych stóp o bruk.

Kluczyli po mieście, wykorzystując znajomość ciemnych zaułków, gubiąc pościg, skręcali w coraz węższe i coraz bardziej boczne schody. Przystanęli dopiero na placu Szklanym, gdy strażnicy dawno już zostali w tyle. Dwie Kairy połączyły się w jedną, a potem ostrożnie położyły na ławce trzecią, która właśnie straciła przytomność. Finnen rozgarnął jej włosy i spojrział na krwawą ranę biegnącą wzdłuż czaszki, jakby ktoś chciał rozłupać ją na dwoje. Drugi Finnen zdjął zmieniającą wygląd plecionkę.

— Co się stało? — zapytał. — Gdzie Nalle i Arikol?

10

Issa patrzył na wyłamane drzwi sejfu i puste miejsce, które zostało po dzienniku. Gniew wezbrał w nim szybko, zaraz jednak zaczął opadać, o czym nie wiedział stojący obok Zielona Siódemka.

— Niraj, panie... — powiedział mechaniczny. Jego twarz była bez wyrazu, lecz w głosie słyhać było niepewność — ... nie potrafimy go znaleźć, obawiam się.

— Daniel Pantalekis?

— Odszedł wraz z nim, ob...

— Nie obchodzi mnie, czego się obawiasz, a czego nie.

— Mamy kontynuować poszukiwania?

— Oczywiście — odparł Issa.

Pomyślał jednak, że to już nie ma znaczenia, już mu nie zdołają przeszkodzić. Znał własnego syna i wiedział, że Niraj nie odnajdzie Kairy, zanim nie będzie miał ostatecznego dowodu na to, jakie są prawdziwe zamiary Issy. A ten mógł zyskać, tylko rozszyfrowując dziennik. Czego, rzecz jasna, zrobić nie zdoła.

Potrząsnął głową i nawet się uśmiechnął, kiedy palcem przeciągnął po jasnym kwadracie odcisniętym w miejscu, w którym do niedawna na zakurzonej półce leżała niewielka książeczka. Potrzebuję tylko kilku dni, dodał w myślach. Kilku dni, nic więcej.

11

Na placu Żonglerów Pantalekis spróbował skrócić w prawo, podczas gdy Niraj skierował się w lewo. Nad nimi kłębiły się chmury w kolorze brudnego owczego runa, każda z nich napuchła od lodowatego śniegu - a przynajmniej przechodnie, którzy odważyli się unieść głowy, wystawiając tym samym szyję na podmuchy wiatru, odnosili wrażenie, że śnieg będzie zimniejszy niż zazwyczaj.

Mechaniczny złapał Daniela za ramię.

— A ty dokąd?

— Co cię to obchodzi? Mam coś do załatwienia.

— Nigdzie nie pójdziesz. Wciąż potrzebuję ciebie i twojej monety.

— Żartujesz, prawda? Prawda?

— Przykro mi. To nie pot...

— Tylko, kurwa, tego nie mów! — zawył Pantalekis, po czym odwrócił się i ruszył w dół najbliższych schodów.

Susem przesadził kilka pierwszych stopni, ale żelazna ręka szybko chwyciła go za kurtkę na plecach i uniosła w górę. Daniel wierzgał, wypluwając z siebie potok przekleństw we wszystkich znanych mu językach. Ludzie mijali go obojętnie, Niraj czekał. Z chmur zaczął padać śnieg, drobny, ostry i rzeczywiście lodowaty.

12

Tellis zbudziła się z ciężkiego snu, który - tak jak się spodziewała - nie przyniósł jej pokrzepienia, tylko jeszcze bardziej

zmęczył. Było jej zimno i bolał ją kark, widać znowu ułożyła się w niewłaściwej pozycji. A może po prostu w jej wieku nie istniała już właściwa. Z cichym stęknieniem usiadła na łóżku i spuściła bose stopy na posadzkę - była chłodna, ale nie lodowata, do czego Tellis przywykła. Spojrzała na piecyk. Wciąż płonął w nim ogień, choć przecież nie wstawiała w nocy, by go podsycić.

Wspomnienia docierały do niej powoli. Ktoś u niej w nocy był, szarpał ją za ramię i tłumaczył coś, podczas gdy ona mamrotała, półprzytomna. W pierwszej chwili była gotowa uznać to za sen, jednak ogień w piecyku świadczył o czymś wręcz przeciwnym. I książka, oczywiście.

Jej wzrok padł na cienki tom w skórzanej oprawie, który leżał na stoliku przy łóżku. Miała pewność, że wieczorem, gdy kładła się spać w sypialni Issy, książki tam nie było. A obok... Serce zabiło jej mocniej, wzrok przez chwilę zawodził, ale wreszcie kontury niewyraźnego przedmiotu wyostrzyły się i Tellis zobaczyła niewielką buteleczkę z ciemnego szkła. Wzięła ją w drżące ręce i dopiero teraz zauważyła, że na książce leży kartka. Odłożyła ostrożnie butelkę na łóżko i podniosła liścik, by przeczytać go w mętym świetle poranka.

Powiedziałas, że możesz nam pomóc, i teraz masz szansę - to dziennik mojego ojca, pisany szyfrem. Jeśli go złamiesz, prześlij mi wiadomość. Zatrzymam się przy placu Klepsydr pod numerem 23. Zostawiłem ci też butelkę ze środkiem Fabbinięgo - ojciec to zażywa, żeby zachować młodość, więc tobie też powinno się przydać.

Unaj.

O tak, przyda mi się, pomyślała Tellis, zamykając z wdzięcznością oczy. Niewątpliwie się przyda. Po czym - ponieważ wciąż brała pod uwagę, że może to być pułapka - obejrzała butelkę i powąchała zawartość. Zarówno kolor, jak i zapach wydawały się właściwe, wkropiła więc odrobinę na język i roztarta płyn o podniebienie.

Już tak niewielka ilość sprawiła, że przez jej ciało przeszedł znajomy, ciepły i rozkoszny dreszcz. Ból karku ustąpił, wzrok się wyostrzył, a Tellis wreszcie mogła wyprostować przygarbione plecy i głęboko odetchnąć. Znikło nawet ssące uczucie głodu - wczoraj zjadła ostatnie pół kromki i powinna poszukać czegoś do jedzenia.

Szkoda, że Unaj, który okazał się na tyle przewidujący, by ukraść dla niej środek Fabbinię, nie pomyślał o czymś tak banalnym, jak bochenek chleba.

Powinłam wyjść, pomyślała, jeśli będę miała szczęście, w Halach znajdę jeszcze trochę zamrożonego mięsa. Co prawda przez ostatnich kilka dni temperatura skoczyła powyżej zera i sporo się musiało zepsuć, ale może u podstawy lodowych stosów... Trzeba iść teraz, póki mam siły.

Jednak ciało, mimo że ożywione, wcale nie chciało jej słuchać i Tellis wciąż siedziała na łóżku. Wreszcie sięgnęła po dziennik i otworzyła go na pierwszej stronie.

Pierwsze, co rzuciło się w oczy, to wyblakły atrament w kolorze sepii - jeśli Issa zaczął prowadzić ten dziennik, musiał zrobić to dawno temu, być może jeszcze za życia ojca. A może dziennik na początku należał do Aylena? Przekartkowała strony aż do ostatniej - tu atrament nie wyblakł, pismo, choć równie staroświeckie, wyraźnie różniło się od tego z pierwszych zapisków. Przejrzała dziennik ponownie, tym razem powoli, i znalazła jeszcze kilka różnych charakterów pisma. Niektórzy autorzy ograniczali się do krótkich notek, inni dodawali rysunki, nic niemówiące Tellis wykresy i diagramy. Ich opisy były równie niezrozumiałe, jak główna treść. Litery co prawda kapitan poznawała, ale nie układały się one w żadne sensowne słowa.

Szyfr, oczywiście. Unaj miał rację. Zastanowiła się, czy uda jej się go złamać, i doszła do wniosku, że ma szansę - skoro pisało nim kilka osób, z których z pewnością nie każda była tak inteligentna, jak Brin Issa, i skoro posługiwali się nim swobodnie, nie mógł być przesadnie trudny.

Zaczęła od najprostszej metody, czyli od oszacowania na kartce najczęściej występujących w dzienniku liter.

Najpopularniejszą głoską w języku Lunapolis było „o”; jeśli autorzy po prostu podmienili litery, wyglądało na to, że reprezentować je powinno „t”. Tellis znalazła kilka krótkich wyrazów zawierających ten znak i spróbowała domyślić się ich znaczenia. Na próżno, co gorsza, natknęła się na słowo, w którym „t” występowało dwukrotnie tuż obok siebie, a w jej języku przecież podwójnych samogłosek nie było.

Uniosła wzrok znad dziennika i popatrzyła na buteleczkę, potem wróciła spojrzeniem do kartek.

Nie, zdecydowanie nie powinna tego robić.

A właściwie czemu nie?

Próbowała dalej pracować nad szyfrem, ale butelka wciąż przyciągała wzrok, rozpraszała, odwracała uwagę.

Dlaczego nie? Czasem warto postawić wszystko na jedną kartę. Tak czy inaczej czeka ją powolne umieranie, z eliksirem Fabbinięgo będzie to trwało po prostu trochę dłużej.

Sięgnęła po butelkę. Szybko, pod wpływem impulsu, bojąc się, że zaraz opadną ją wątpliwości i zrezygnuje. Odkręciła korek. Czowała się winna i czuła podniecenie, jak art-złodziej podczas swojej pierwszej w życiu kradzieży. Przechyliła butelkę do ust. Płyn połykany w takiej ilości wydawał się gęstszy i bardziej słodki, a jednocześnie palił w gardle. Wypiła wszystko, wylizała nawet szyjkę.

Tym razem nie było dreszczu, lecz potężny wstrząs, jakby przez ciało przeszedł prąd. Krzyknęła, jej serce przestało bić i przez krótką, straszną chwilę Tellis myślała, że to koniec, jednak serce wreszcie uderzyło mocniej, rozkurczając się gwałtownie, jak prostuje się zbyt mocno ściśnięta sprężyna. Tępy ból rozlał się po klatce piersiowej, pot spływał z czoła na brwi. Przesadziłam, myślała, tym razem przesadziłam.

Potem ból minął, serce zaczęło bić normalnie, a Tellis poczuła się wspaniale. Jak młoda dziewczyna. Roześmiała się. Chciało jej się biegać, tańczyć i kochać się. Chwyciła dziennik i - ponieważ tak czy inaczej nie mogłaby teraz usiedzieć w miejscu - zaczęła krążyć z nim po sypialni. Umysł miała wyostrzony, nie musiała już wypisywać liter, wystarczyło, że spojrzała na dowolną stronę, a widziała wszystko - liczbę samogłosek i

spółgłosek, ich powtarzalność i wzajemne zależności. Zauważyła, że „t” najczęściej występuje po „l” i że najdłuższe słowa mają inną strukturę niż krótsze - więcej w nich było spółgłosek, a samogłoski nigdy nie były podwójne.

Wciąż jednak nie widziała tego, co najważniejsze, czyli reguły rządzącej szyfrem.

Krażyła po sypialni lekko, jakby się unosiła nad posadzką. W jej żyłach płynął ogień, mózg rejestrował wszystkie, nawet najdrobniejsze szczegóły, łącznie z fakturą papieru i niewielkimi zmianami pisma, gdy autor był mniej lub bardziej zmęczony.

Piecyk zdążył wystygnać, lecz nie było jej zimno, tak jak wciąż nie czuła głodu. Na chwilę tylko - wiedziona raczej resztką rozsądku niż rzeczywistą potrzebą - zatrzymała się, by wypić wodę, którą wieczorem przyniosła w kubku z kuchni.

Na zewnątrz zaczął padać śnieg, lecz nie zwróciła na to uwagi.

Prosty szyfr, myślała, to musi być prosty szyfr. I - jeśli dobrze zgadywała, że autorami dziennika są Issa oraz jego bracia i siostra - naturalny dla całego rodzeństwa.

Nadal nie mogła znaleźć klucza. Wiedziała wszystko, a jednocześnie nie wiedziała nic.

Jej myśli coraz częściej uciekały w stronę Issy. Widziała go pochylonego nad dziennikiem, pracowicie kreślącego piórem ze stalówką kolejne wyrazy. Issa był staroświeckim człowiekiem, za jego czasów dzieci chodziły do szkół w mundurkach, uczyły się takich przedmiotów, jak kaligrafia, higiena czy algebra. Wbijano im nawet do głowy podstawy starożytnej kody, choć to był od dawna martwy język.

Serce Tellis zabiło mocniej. Zrozumiała. Odruchowo wyłowiła wzrokiem kilka dłuższych - tych o nietypowej konstrukcji - słów i na nich zastosowała swoją pierwotną metodę: podstawiania najpopularniejszych liter. Tym razem zadziałało - znalazła wyraz, który najprawdopodobniej oznaczał przeciwności, i drugi, w którym domyśliła się psychozy. Jednak krótsze słowa nadal nie miały sensu.

Ale już widziała, że większość dziennika napisana została w kodzie. W tym od dawna martwym języku występowały

podwójne samogłoski, za to nie było słów na oznaczenie najnowszych pojęć - tu Issa oraz jego rodzeństwo zmuszeni byli posługiwać się wyrazami z języka Lunapolis. Dlatego tekst stanowił mieszaninę krótszych, zapisanych kodą słów oraz dłuższych, bardziej współczesnych wyrazów, które kapitan bez większych problemów rozumiała.

Znalezienie w domu Issy słownika kody zajęło Tellis piętnaście minut, następane dwa kwadransy poświęciła na rozpracowanie metody, za pomocą której zamieniano litery. Wbrew temu, czego się spodziewała, klucz okazał się nie aż tak prosty. Musiała zrezygnować z tradycyjnego myślenia i wyobrazić sobie litery alfabetu wypisane nie w rzędzie, lecz na obwodzie koła - wtedy pojęła, że każdej z liter odpowiadała ta, która znalazła się naprzeciwko.

Nim zapadł wieczór, przed Tellis leżał stos chaotycznych notatek zawierających streszczenie dziennika. Działanie środka osłabło, z głodu kręciło jej się w głowie, znów odezwał się ból karku. Wiedziała, że musi się spieszyć.

Powinna teraz napisać do Unaja, a później porozmawiać z Mahamenim. Problem polegał na tym, że jeśli Tellis chce osiągnąć cel, jednego z nich będzie musiała okłamać.

13

Mahameni zatrzymał na schodach chłopca ubranego w jaskrawożółtą kurtkę, wcisnął mu w dłoń niewielką paczkę i polecił zanieść ją pod wskazany adres. Niemal natychmiast zapomniał o Unaju, jego myśli zajmowała teraz Tellis, tak krucha, gdy ją ostatnio widział, a jednocześnie wciąż tak dzielna. Dobrze, że pomyślał o tym, aby przynieść jej chleba, mięsa i wina. Może powinien zdobyć jeszcze owoce? Albo słodycze?

Rozmyślając, dotarł do biura Ibrisa Marely'ego, wszedł do środka i spojrzął na siedzących w poczekalni petentów. Wszyscy, niezależnie od wieku, urody czy ewentualnych deformacji, mieli ponure, zacięte miny. Gdy przechodził obok,

obrzucili go nieprzychylnymi spojrzeniami. Wokół unosiła się woń mokrych ubrań, gorących placków przynoszonych w zatłuszczonych papierkach i brudu, który tak często towarzyszy obłędowi.

Mahameni podszedł do lekkiego jak konstrukcja z morskiej piany biurka, za którym siedziała jasnowłosa panienska. Wyglądała na bardzo młodą, prawie jak dziecko, prawdopodobnie jednak w rzeczywistości była starsza. Swoimi pajęczymi dłońmi - po siedem palców u każdej ręki - wycinała skomplikowany wzór w papierowej serwetce.

— Witam, eee... chciałbym widzieć się z panem Marelym.

— Każdy by chciał. — Panienska okazała się niewzruszona.

— Ale ja mam ważną sprawę.

— Każdy ma ważną sprawę. — Dwie pary nożyczek trzymany w prawej ręce pracowały w takim tempie, że w serwetce więcej już było dziur niż papieru. Dziewczyna nie wyglądała na zadowoloną. — Widzi pan tych ludzi? — Ruchem głowy wskazała petentów. — Wszyscy czekają na pana Marely'ego.

— A pan Marely jest u siebie w biurze?

— Nie, pracuje w terenie.

— Aha, a kiedy wróci?

— Nie wiem. Ma ważne sprawy. Dużo ważnych spraw.

— Może będzie wieczorem?

— Może.

— Albo dopiero jutro?

— To prawdopodobne. — Zirytowana, zmięła serwetkę w kulkę i wreszcie uniosła wzrok. — Niech pan posłucha. Pan Marely ma mało czasu, a nachodzi go mnóstwo wariatów, którzy sądzą, że wykryli taki czy inny spisek. Moim zadaniem jest go bronić, rozumie pan?

— Nie jestem wariatem.

Wzruszyła ramionami.

— Każdy tak mówi.

— Jak mogę panią przekonać?

— Może pan wypełnić formularz. Jeśli pan Marely poczuje się zainteresowany, sam się z panem skontaktuje.

Mehus wziął kartkę z leżącego na biurku stosu. Na górze biegł

napis „DONOS”, niżej znajdowało się kilka rubryk. W miejscu oznaczonym jako „oskarżam” Mahameni wpisał „Brina Issę oraz jego kumpli”, po czym skreślił „kumpli” i napisał „przyjaciół, a także rodzeństwo”. W miejscu „przestępstwo” wstawił „planowane morderstwo”. Po namyśle dodał, kto zostanie zamordowany. Panienska wzięła od niego formularz, przeczytała i skrzywiła się. Mahameni westchnął. Nie miał wątpliwości, że w jej pojęciu właśnie dołączył do grona wariatów.

14

„...dziennik zaczął pisać jeszcze Aylen, potem kontynuowali go na zmianę jego synowie i córka”, czytał Unaj. „Wszystkie zapiski dotyczą jednego i tego samego: próby stworzenia dziecka, zazwyczaj dziewczynki, choć kilka razy zdarzało się, że eksperymentowano, zmieniając jej płeć. Dziewczynka miała być ósmą i ostatnią z rodzeństwa Issy, Aylen rozpoczął prace nad jej genotypem, lecz zmarł i projekt pozostał niedokończony.

Issa oraz jego bracia i siostra przez lata próbowali go uzupełnić. Dziennik przechodził z rąk do rąk w zależności od tego, kto aktualnie nad projektem pracował. Problem polegał na tym, że dzieci miały feler, coś w rodzaju emocjonalnej niestabilności, która ujawniała się tuż przed okresem dojrzewania. Issa oraz pozostali długo nie potrafili usunąć tej wady, zwłaszcza że - z tego, co zrozumiałam - bali się grzebać zbyt głęboko w oryginalnym kodzie genetycznym. Bez ojca nie wiedzieli, jakie cechy są najistotniejsze, i nie chcieli ryzykować, że przez przypadek którąś z nich zlikwidują.

Ostatecznie jednak udało im się stworzyć dwie w miarę stabilne dziewczynki - jedną z nich, jak pewnie się domyślasz, jest twoja siostra Kaira, a drugą córką Maroutiego, Ellona, choć na temat przydatności tej ostatniej zdania są mocno podzielone. Tak czy inaczej to Kaira wydaje się znacznie większym zagrożeniem, w niej rodzeństwo pokłada większość swoich

nadziei.

Dla Ciebie natomiast jedynym ratunkiem jest odnalezienie tej dziewczyny i powstrzymanie jej - jesteś teraz mechanicznym i jeśli Kaira zrobi to, do czego została stworzona, będzie to oznaczało twój...".

— Coś ciekawego? — odezwał się z drugiego końca pokoju Daniel Pantalekis.

Unaj złożył list.

— Nic, co mogłoby cię zainteresować.

— A jakie ty masz pojęcie, co mnie może interesować? Od dwóch dni siedzimy w tej zapadłej dziurze i gapimy się na siebie nawzajem. Uwierz mi, interesuje mnie teraz wszystko, co nie wygląda jak twoja paskudna gęba.

— Twoja gęba będzie jeszcze paskudniejsza, jeśli spotka się z moją pięścią.

Daniel wyszczerzył zęby. Znał swojego strażnika wystarczająco dobrze, by wiedzieć, na co sobie może pozwolić z Unajem, a na co z Nirajem; bał się tylko tego, że kiedyś za późno zorientuje się w zamianie, ale i to z każdą upływającą godziną stawało się coraz mniej prawdopodobne. Daniel oraz mechaniczny syn Issy byli niemal jak stare małżeństwo, żywiące do siebie niechęć, a jednocześnie rozumiejące się w pół słowa.

— Moglibyśmy gdzieś wyjść — rzucił Pantalekis, starając się zrobić minę świadczącą o tym, że wcale mu na tym nie zależy. Ot, luźna propozycja. — Przejść się na przykład na plac Żonglerów...

— Co ty z tym placem Żonglerów? Już wczoraj mnie namawiałeś, żeby tam iść.

— Nic, tam są ładne dziewczyny.

— Wszędzie w Lunapolis są ładne dziewczyny.

— Ale nie takie, jak na placu Żonglerów. Lubię szczególnie jedną, rudą, która jeździ na łyżwach. Chcę na nią popatrzeć. To jakiś problem?

Pantalekis z niewinną miną wytrzymał badawcze spojrzenie Unaja. Wreszcie syn Issy poddał się, choć nie bez oporów.

— W porządku, przejdziemy się, ale najpierw rzuć dla mnie monetą.

— O co mam zapytać?

— Gdzie można znaleźć Kairę.

— To tak nie działa, ona odpowiada tylko „tak” lub „nie”.

— Więc będziemy wymieniać poszczególne dzielnice, a kiedy trafimy na właściwą, zawężymy obszar do placów, schodów i tak dalej. Gotowy?

Daniel, który monetę już trzymał w ręce, skinął głową.

— Zapytaj, czy Kaira mieszka w centrum.

— Czy Kaira mieszka w centrum? — powtórzył posłusznie Daniel, po czym rzucił pieniążek.

Rewers, nie.

— Teraz zapytaj, czy mieszka w Głębińcach.

Rewers.

— Popielisko?

— Przykro mi.

— Przedświat, Szklane Piaski, Kwartał Skadrański?

Moneta spadała z brzękiem na posadzkę, zawsze odwracając się tą samą stroną.

Nie, nie i nie.

— Co jest, do licha? Przecież dziewczyna musi być gdzieś w mieście. Chyba ta wariatka nie zamieszkała w Kwartale Kandrisa?

Rewers, nie.

Spróbowali ponownie, z identycznym skutkiem. Pantalekis przyłgnął do ściany i spuszczać na wszelki wypadek głowę, ukrył złośliwy uśmiech. Unaj krążył po pokoju jak zakuty w żelazo wilk.

— Jeszcze raz! — zakomenderował.

— To nic nie da, na niektóre pytania...

— Jeszcze raz.

— W porządku, w porządku. Nie bądź taki nerwowy. — Daniel poddał się, unosząc ręce. Tym razem Unaj sam sprawdzał, na którą stronę upadł pieniążek, lecz moneta wciąż odpowiadała: nie. Gdy skończyli wymieniać wszystkie dzielnice, w pokoju zapadła cisza.

Odezwał się dopiero po chwili Pantalekis.

— Może teraz przejdziemy się na plac Żonglerów? Miałem rzucić monetą, nie było mowy o tym, że to ma zadziałać...

— Skulił się odruchowo, gdy Unaj spojrział w jego stronę. Przeholowałem, przemknęło mu przez myśl. — Przecież moneta nie zacznie odpowiadać sensowniej tylko dlatego, że będziemy tu siedzieć i się na nią gapić — dodał ugodowo. — Wyjdźmy stąd na chwilę, a jak wrócimy, to spróbujemy ponownie, może wieczorem będzie rozmowniejsza.

Unaj zawahał się, a Daniel wstrzymał oddech - co gorsza miał wrażenie, że napięcie widać na jego twarzy. Spróbował uśmiechnąć się niezobowiązująco. Chyba nieszczególnie mu wyszło, ale na szczęście ani Unaj, ani Niraj nie byli ekspertami w czytaniu z ludzkiej fizjonomii. Mechaniczny wreszcie skinął głową i rzucił Pantalekisowi wiszący na krześle płaszcz.

15

— Próbowałem sam to załatwić, ale do inspektora Marely'ego cholernie trudno się dostać — mówił Mahameni, podążając w ślad za gospodynią. — Przed jego biurem siedzi dziewczyna, nawet całkiem ładna, która wszystkich uważa za wariatów...

— Prawdopodobnie większość osób, które chcą się z nim widzieć, to wariaci — trzeźwo odparła Merha Nomahan, wskazując gościowi błękitny fotel w błękitnym salonie. — Herbaty? A może woli pan wino albo piwo?

— Nie, dziękuję. — Mahameni bardzo lubił piwo, jednak instynkt podpowiedział mu, że taki wybór może nie być dobrze przyjęty: piwo powszechnie było uważane za napój dla pozbawionej gustu biedoty. — I nie jestem wariatem — zaznaczył na wszelki wypadek.

— Oczywiście, że nie. — Uśmiech gospodyni równie dobrze mógł świadczyć, że kobieta zgadza się z rozmówcą, jak i o czymś wręcz przeciwnym. — Rozumiem więc, że przyszedł pan do mnie, bym zaaranżowała wam spotkanie z Ibristem Marelym?

— On przecież przychodzi do pani — bąknął nieco speszony Mehus. Dopiero teraz przyszło mu do głowy, że być może w jego prośbie jest coś niestosownego, może należało to rozegrać inaczej, zręczniejsz, z większą finezją. Tellis, która nauczyła go, co znaczy finezja, pewnie wiedziałaby jak, a on, cóż, prawdopodobnie zachował się niczym lubiący piwo prostak. Nie miał jednak innego wyjścia, jak tylko brnąć dalej.

— Widzieliśmy w gazecie jego zdjęcie przed pani domem. Pani go zna i może przekonać...

— Mogę, ale szczerze mówiąc, nie jestem pewna, czy warto zawracać zapracowanemu człowiekowi głowę.

— Mówiłem przecież...

— Chcę zobaczyć ten dziennik — przerwała mu Merha. W otoczeniu głębokich zmarszczek kolor jej błękitnych oczu wydawał się jeszcze bardziej żywy, a kokarda na siwych włosach bezustannie przyciągała wzrok. Mężczyzna poczuł się nieswojo. Jediną starszą kobietą, którą dotąd znał, była Tellis, ale o niej nigdy nie myślał jak o staruszcze.

Zawahał się tylko na chwilę, potem sięgnął do wewnętrznej kieszeni kamizelki.

— Proszę. Szyfr opiera się na...

— Nie, niech mi pan nie mówi. Sama chcę do tego dojść. Uwielbiam zagadki.

W błękitnym salonie zapanowała cisza. Nomahan wertowała dziennik, poruszając przy tym bezgłośnie ustami. Mahameni coraz bardziej się irytował. Zachowanie starszej pani uznał za typowy kobiecy kaprys, w innej sytuacji być może na swój sposób uroczy, lecz teraz, gdy chodziło o życie, tylko niemądry. Milczał jednak, rozumiejąc, że jeśli chce zyskać przychyłność gospodyni, nie może jej się sprzeciwiać.

Mijały minuty. Mahameni coraz bardziej kręcił się w fotelu, licząc, że w ten sposób zwróci na siebie uwagę Merhy Nomahan, która wreszcie podda się i poprosi o klucz do szyfru. Przecież chyba nie zamierzała tak tu siedzieć z gościem naprzeciwko, aż sama wpadnie na rozwiązanie? Mehus miał ochotę wstać i przespacerować się po salonie, zobaczył jednak, że jego ciężkie buty naniósł już wystarczająco dużo błota.

Zrobiło mu się wstyd. Żałował teraz, że nie przyjął piwa - nie dlatego, że miał na nie jakąś szczególną ochotę, ale dlatego, że trzymając kufel, przynajmniej nie musiałby się martwić, co począć z rękami.

— Sprytne — mruknęła wreszcie, podnosząc wzrok znad kartek. — Całkiem mądrze wykoncypowane. To koda, prawda? A litery zamienia się zgodnie z regułą koła?

— Tak, rzeczywiście. — Mahameni przypomniał sobie, że zgodnie z tym, co mówiła Tellis, jej rozszyfrowanie tekstu zajęło więcej czasu. Żalą go gorzka fala niechęci do siedzącej obok kobiety, mimo niewątpliwych oznak starości wciąż tak energicznej i bystrej, podczas gdy Tellis musiała walczyć o każdy dzień życia. Zacisnęła dłonie w pięści. — Pani jest bardzo inteligentna

— powiedział celowo powoli, patrząc jej w oczy. Nie czuł już wstydu ani niepewności.

— Cóż, za to mi właśnie płacą. — Nomahan rzuciła dziennik na stolik. Jeśli nawet zauważyła coś dziwnego w zachowaniu gościa, to nie dała tego po sobie poznać. — I mówi pan, że ta dziewczyna, Kaira, ma sprawić, żeby Przebudzenie nie nastąpiło?

— Tak jest tam napisane, nie przeczytała pani?

— Przeczytałam tylko fragmenty, mam się zająć całością?

— Nie. — Mahameni drgnął nerwowo. — To by długo trwało, a my nie mamy wiele czasu. Proszę mi zaufać.

— Skoro pan nalega. Mnie właściwie jest wszystko jedno.

— Wszystko jedno? — Nie zrozumiał, ale nie zaprzętał tym sobie zbyt długo głowy. Teraz, gdy kobieta się zgodziła, myślami już był przy rozmowie z Tellis, której chciał przekazać nowiny. Z trudem powstrzymywał się, by nie poderwać się z fotela i nie pobiec do drzwi.

— Czy Przebudzenie nastąpi, czy nie. Jeśli nie, umrę za jakiś czas i będę miała spokój, przestaną mnie męczyć słaby pęcherz i bóle w krzyżu. A jeśli tak... Cóż, wtedy być może mi się uda, ale będę musiała spędzić wieczność w ciele staruszki, bo nie sądzę, żeby Przedksiężycowi mnie odmłodzili. Nie jestem pewna, która z tych dwóch możliwości podoba mi się bardziej

ani czy w ogóle którakolwiek jest warta tego, żeby o nią walczyć. Może więc lepiej będzie, jeśli to los rozstrzygnie.

Mahameni, mamrocząc słowa podziękowania, już wycofywał się rakiem do drzwi. Dopiero później zrozumiał, co Merha Nomahan chciała mu przekazać - w tamtej chwili pojął tylko, że detektyw prawdopodobnie wcale nie jest tak szczęśliwa, jak mu się zdawało, lecz nie zmniejszyło to ani na jotę jego niechęci.

16

Z Marelym spotkał się następnego dnia w mieszkaniu detektywa. Inspektor od progu zaznaczył, że się spieszy, jednak Mehus, który miał sporo czasu, by przygotować sobie przemowę, mówił składnie i krótko. Gdy skończył, był zadowolony z siebie - przynajmniej do momentu, gdy zobaczył pełen powątpiewania wyraz twarzy Marely'ego.

— To prawda? — Inspektor zwrócił się do gospodyni.

— Widziałam ten dziennik.

Marely podniósł ze szklanego stolika rękawiczki. Wchodząc do mieszkania, jedynie rozpiął płaszcz i teraz na posadzkę kapąła woda z topniejącego śniegu, a obicie fotela było całe mokre. Mahameni przelotnie pomyślał, jak on by się czuł, gdyby tak napaskudził. Inspektor zdawał się w ogóle nie zauważać, co zrobił. Wyraz twarzy miał nieobecny, tylko lekko zaciśnięte usta zdradzały wewnętrzne napięcie.

— Zajmę się tym — oznajmił.

Mahameni był rozczarowany. Przyniósł przecież wieść dotyczącą losów całego świata, spodziewał się więc stosownych okrzyków zgromy i lawiny pytań. Zrodziło się w nim paskudne podejrzenie, że być może inspektor zamierza po prostu pozbyć się natrętnego wariata, przed którym zdążyła go ostrzec jasnowłosa wielopalczasta sekretarka.

— Pan rozumie, jakie to zagrożenie, prawda? — Mehus podążył za Marelym, który wkładając rękawiczki, zmierzał już do drzwi. — Nie możemy... to znaczy... wszystko się posypie, jeśli... — Ze zdenerwowania plątał mu się język. Z wcześniejszej

precyzji wypowiedzi nie zostało nic.

Inspektor nawet się nie odwrócił, za to detektyw złapała Mahameniego za łokieć i łagodnie odciągnęła do tyłu. Zwierzoczlówek wiedział, że powinien zamilknąć, ale nie potrafił, nieskładne, postrzępione zdania same wyrwały mu się z gardła. Mówił o tragedii całej ludzkości, ale myślał tylko o Tellis, której nie mógł zawieść.

W progu inspektor odwrócił się i spojrzął na gospodynię. Mahameniego wciąż ignorował.

— Najwyższa pora, żeby Issa wreszcie zapłacił za swoje matactwa — oznajmił, po czym wyszedł.

Wyczerpany potokiem słów Mehus poczuł ulgę. A więc jednak Marely zamierzał coś zrobić w sprawie Kairy.

17

Finnen stał z twarzą przyciśniętą do szpary pomiędzy szybami i patrzył w oczy metalowej głowy Gurleena. Prócz niego w niewielkiej, niemal pustej sali nie było nikogo, jedynie z dalszych części muzeum dobiegały przytłumione głosy zwiedzających.

— Mamy mało czasu — powiedział. — Straż miejska zostawiła tu swojego człowieka, wiesz o tym, prawda? Kogoś, kto prawdopodobnie ma pilnować, czy nie skontaktuję się z tobą ja albo Kaira, i aresztować nas przy tej okazji.

— Jak ci się udało go ominąć? — głos Gurleena, metaliczny i płaski, w niczym nie przypominał głosu mechanicznych. Jakby mówiła maszyna, myślał Finnen za każdym razem, gdy go słyszał, nie zamknięty w niej człowiek, lecz prawdziwy automat. Bez intonacji, bez emocji. Wciąż jeszcze się nie przyzwyczaił, tak samo jak nie potrafił przywyknąć do osadzonych w nieruchomej głowie oczu, które - choć puste i pozbawione życia - wodziły za nim spojrzeniem na tyle, na ile pozwalało im ograniczone pole widzenia.

— Facet lubi czasem urywać się ze służby, chodzi wtedy do pobliskiej kawiarni. Ale to nigdy nie trwa dłużej niż pół godziny, więc powinniśmy się spieszyć. — W porządku, przekaz

Kairze...

— Esh, ja wiem.

— Wiesz co?

— Wszystko albo prawie wszystko. Wiem, że od początku pracowałeś dla Issy, że to ty doniosłeś na nas straży i że jakimś przedziwnym przypadkiem nie oszczędzili cię w czasie masakry. Ze bunt Kairy został zaplanowany przez jej ojca, że on nie tylko nie zamierza jej przeszkodzić, ale wręcz chce, żeby dziewczyna zawałiła oś światów...

Głowa milczała, być może rozważając, czy warto zaprzeczać. Najwyraźniej doszła do wniosku, że nie, bo zza szyby dobiegł Finnena metaliczny śmiech.

— To jeszcze nie wiesz nawet połowy.

— Świetnie, bo przyszedłem się właśnie dowiedzieć.

Gurleen znów ucichł. Finnen niemal fizycznie czuł upływ kolejnych minut, wypełnionych coraz bliższymi głosami zwiędzających. Przewodnik opowiadał z ożywieniem o pierwszych parowych maszynach piorących, zażartował i ktoś się roześmiał, dzieci ślizgały się po posadzce, a dorośli je strofowali. Chłopak zrozumiał, że Gurleen może tak milczeć do Przebudzenia, i poddał się.

— Nic jej nie powiem, nie martw się. Gdybym miał to zrobić, zrobiłbym to już dawno.

— Dlaczego?

— Chcę zmiany, pamiętasz? Na lepsze czy na gorsze, wszystko jedno. Możliwe, że to, co nastąpi, będzie lepsze od tego, co jest teraz. I chcę swojego miejsca w historii, a jeśli Kaira zrezygnuje, nigdy nie będę go miał. To dobry powód?

— Równie dobry jak każdy inny.

— Powiedz mi więc, co wydarzyło się tamtej nocy w dzielnicy sierot.

— Wynajęliśmy jednego ze strażników, żeby wraz ze swoimi ludźmi zaatakował grupę. Miał oszczędzić mnie i Kairę.

— Niech zgadnę, liczyliście, że dzięki temu dziewczyna stanie się bardziej zdeterminowana?

— Coś w tym rodzaju. Issa wierzy, że trudności kształtują charakter. Ale wszystko poszło nie tak, jak trzeba. Nasz

człowiek okazał się szaleńcem skokowym i w międzyczasie zmieniła mu się osobowość. Mój błąd, wiem. Choć może niekoniecznie mój, ale ja za niego zapłaciłem. To właśnie Marely kazał pilnować muzeum. Przychodził tu kilka razy i próbował mnie przesłuchiwać. Kazałem mu się wynosić.

— Jak dzielnie — zakpił Finnen. — Naprawdę masz na myśli inspektora Ibrisa Marely'ego?

— Owszem, jego.

Finnen zagwizdał.

— Co z Kairą? — zapytał Gurleen.

— Wpakowaliśmy się ostatnio w kłopoty i ktoś porządnie ją poharatał.

— Wyzdrowieje?

Finnen zastanowił się, czy gdyby Gurleen był żywym człowiekiem, w jego głosie słyhać byłoby troskę. Może tak - ostatecznie, zanim jego umysł zamknięto w metalowej puszcze, kilka razy zdarzyły mu się przebłyski poczucia winy, które chłopak powinien już wcześniej rozpoznać. I to jego picie... Czy nie zagłuszał w ten sposób wyrzutów sumienia?

— Mam nadzieję. — Uniknął jasnej odpowiedzi. — Choć teraz leży nieprzytomna i wygląda na to, że szybko się nie obudzi. Dlatego właśnie tu jestem. Kupiliśmy już Mieszankę Gillaina i możemy zawalić oś światów.

— Chcesz to zrobić sam? Bez pomocy Kairy?

— Do Archiwum i tak nie wejdziemy wszyscy. Dostanie się tam najwyżej jedna osoba, i to muszę być ja. Mam wynalazek, który pozwala mi zwielokrotnić postać, na nikogo innego on nie działa. Gdyby Kaira była przytomna, zrozumiałaby, że to jedyne wyjście.

— Doprawdy? A mnie się wydaje, że spieszysz się tak bardzo, bo wiesz, że gdy dziewczyna się obudzi, to zrobi ci nielichą awanturę.

Finrten wzruszył ramionami.

— Być może, ale to nie zmienia tego, że wciąż mam rację. Tylko ja mogę to zrobić, za zgodą Kairy albo bez.

— Czego chcesz ode mnie?

— Dowiedzieć się, co jeszcze przed nami zataiłeś. Zgodziłem

się działać według planu Issy, ale chcę wiedzieć, jaki ten plan jest. W całości, nie we fragmentach. Mówiłeś, że znam jedną połowę. Więc teraz proszę o drugą.

18

Choć nie padał śnieg, ciemne chmury zasnuły niebo. Wisiały nisko - tak nisko, że Marely'ego ogarnęło przygnębiające uczucie zamknięcia w klatce koloru burzowej stali. Przywykł do czerwonych dni Lunapolis. Jednak teraz słońca nie było widać i wszystkie barwy wyblakły - została czerń budynków, martwa, nieroz-świetlona blaskiem ognia biel śniegu, jak na starych fotografiach, i to ciężkie szare niebo. Zerwał się wiatr i chmury ruszyły, ale ani na moment nie odsłoniły słońca, a od patrzenia na ich szybko przesuwane się kłębiaste kształty inspektorowi jedynie zakręciło się w głowie. Poczul chłód i wszedł do kawiarni, z której miał dobry widok na fasadę Archiwum.

Przy stoliku, popijając gorącą czekoladę, siedział sierżant Janue.

— Wszystko dopięte na ostatni guzik — powiedział na widok Marely'ego. — Nie przemkną się, nie ma obaw. Obstawiliśmy wszystkie wejścia do Archiwum, przy każdym stoi para strażników. To dobrzy, zaufani ludzie. Znają rysopisy Kairy i Finnena. Daliśmy im zwierozbroje i kusze. Wie pan, co to kusza? Świetny wynalazek, mówię panu. A pracują w parach, na wszelki wypadek, gdyby któreś z tych dwojga miało ten śmieszny wynalazek, wie pan, co zmienia wygląd i ostatnio narobił takiego zamieszania w komendzie głównej. Przykazałem strażnikom, że jak tylko zobaczą kogoś, kto się zbliża, to mają się dogadać, czy na pewno obaj widzą tę samą osobę. Sprytne, prawda?

— Sprytne — przyznał Marely.

Nie opuszczało go niejasne uczucie niepokoju. Czy to przez brak światła i te krótkie lodowate dni? Ale przecież przeżył już niejedną zimę w Lunapolis. Co prawda miał wtedy inną osobowość... Próbował przypomnieć sobie, jak się wtedy czuł, ale z

pamięci wychynęła tylko twarz tamtej dziewczyny - jak ona miała na imię? - jadącej na łyżwach do tyłu, podczas gdy płatki śniegu miękko osiadały jej na włosach. W jednej ręce trzymała nabite na patyk jabłko pieczone w karmelu, drugą kiwała, zachęcając, by podążał za nią. Czy on sam też miał na nogach łyżwy? Mniejsza z tym, wcale nie chciał myśleć o swoim poprzednim życiu.

Do kawiarni wszedł umorusany chłopiec w wytartej, niegdyś zapewne jaskrawożółtej kurtce. W rękę trzymał plik ulotek, które zaczął rozdawać gościom. Niektórzy od razu mieli je w kulki albo odkładali na bok, ale większość czytała z zainteresowaniem i czymś, co Marely zidentyfikował jako niepokój. Całkiem sporo osób twierdziło, że ulotki nie wezmą, bo już jedną mają.

Inspektor wstał, złapał chłopca za kołnierz i wyrwał mu z ręki plik kartek. Dziecko pisnęło i zaszamotało się, ale mężczyzna trzymał mocno.

Ulotki wydrukowane były chałupniczą metodą, krzywo i za pomocą bladoniebieskiego - a więc najtańszego - atramentu. Mimo to treść świadczyła, że pisał je ktoś zaznajomiony z zasadami ortografii i gramatyki. „UWAGA! JUŻ WRÓTCE OŚ ŚWIATÓW ZOSTANIE ZLIKWIDOWANA. DOWIEDZ SIĘ, JAK WTEDY POSTĘPOWAĆ, BY ZACHOWAĆ ŻYCIE”, głosił wybity najtłustszą czcionką napis. Poniżej biegło kilka podpunktów, zatytułowanych: „Pierwsze oznaki”, „Znajdź bezpieczne miejsce”, „Nie panikuj”, „Kiedy wiadomo, że to koniec”.

— Skąd to masz? — Marely potrząsnął chłopcem, który raz jeszcze spróbował się wyrwać.

— Dał mi jakiś mężczyzna na rogu Złoconych i Powrozów — odparło z ociąganiem dziecko, kiedy stało się jasne, że nie zdoła uciec. — I dorzucił jeszcze pięciosurimówkę, żebym to rozdał.

— W mieście pełno jest takich ulotek. — Sierżant Janue podszedł i sięgnął do kieszeni. — Nawet ja taką mam, o, proszę.

— Tego chłopca trzeba przesłuchać.

— To tylko dziecko. — Janue zawahał się, a chłopiec, korzystając z tego, że Marely poluźnił uchwyt, wyrwał się i rzucił do

drzwi. — Niech pan da spokój. Nie warto zajmować się tymi obdartusami. Niedługo będziemy mieć w ręku Finnena i Kairę.

— Jeśli przyjdą. — Inspektor posepnie spojrział na drzwi, za którymi zniknął mały ulicznik.

— Przyjdą, niech się pan nie martwi.

Marely zamówił kawę i pił ją, patrząc przez okno. Do Archiwum weszło kilka osób, ale żadna najwyraźniej nie była tą właściwą, bo strażnicy albo przepuszczali je, albo odprawiali z kwitkiem, zamiast aresztować. Kawa się skończyła, Marely wciąż czuł jej gorzki smak.

— Przyjdą — powtórzył Janue. Krągłe policzki miał zarumienione czy to od panującego w kawiarni ciepła, czy od czegoś, czym doprawiona była czekolada.

A jeśli nie?, w myślach zapytał inspektor. Jeśli zdecydują się po prostu przeczekać? Nie mógł przez cały czas trzymać przy każdym wejściu podwójnych straży, zwłaszcza teraz, gdy nawet zaufani ludzie przejawiali coraz większą tendencję do lekceważenia swoich obowiązków.

Do Archiwum zbliżyła się przysadzista, okutana w liczne chusty kobieta. Powiedziała coś do strażników, a ci pokręcili głowami, stając jednocześnie ramię w ramię w przejściu. Sygnał był czytelny, lecz kobieta zamiast odejść, zaczęła się awanturować. Marely podniósł się, zaintrygowany, lecz zaraz usiadł z powrotem, reakcja pilnujących była bowiem typową reakcją na natrętnego cywila, a nie groźnego przestępcę. Jeden ze strażników próbował coś tłumaczyć, podczas gdy drugi, widać bardziej niecierpliwy, już trzymał dłoń na przytroczonej do pasa kuszy, gotów najwyraźniej jeśli nie strzelić, to przynajmniej nią postraszyć. Wiatr zawiął i zdarł z głowy babiny chustę, jej włosy, zaskakująco gęste i ciemne, załopotwały jak czarna flaga.

Do wejścia zbliżyła się druga osoba, chłopak w obszernej kurtce - i tym razem reakcja pilnujących była inna, subtelnie odmienna. Ich ruchy zdradzały tłumione podniecenie, głowy pochylały się ku sobie, a jeden z nich, ten na pozór łagodniejszy, odepchnął kobietę, by móc swobodnie porozmawiać z towarzyszem.

Marely podniósł się z krzesła, Janue odstawił filiżankę tak energicznie, że na obrus chlapnęła resztką czekolady.

— To on! — wysapał. — Na gnijące kości Przedksiężycowych, to ten chłopak! I nawet się nie ukrywa!

Przed wejściem do Archiwum rozpoczęła się szamotanina. Młodzieniec próbował wedrzeć się do środka, w jego dłoni błysnęło ostrze *darakki*. Strażnicy mieli na sobie pełne zwierzo- kształtne zbroje, lecz żaden nie zdążył nawet zasunąć wilczego hełmu, nie mówiąc już o naciągnięciu kuszy. Z krótkim, urwanym okrzykiem jeden z nich chwycił się za gardło, pomiędzy palcami pociekła mu krew i osunął się na ziemię. Drugi zmieniał się, ale zbyt wolno, nie potrafiąc jednocześnie kontrolować przekształcającej się zbroi i walczyć z szybkim, zręcznym przeciwnikiem.

— Zatrzymać go, zatrzymać! — darł się Janue, pędząc susami przez plac. Za nim gnał Marely. Niektórzy ludzie najwyraźniej rozpoznali jego twarz, bo krzyczeli, wołając inspektora po imieniu. Nie miał pojęcia, czy to okrzyki zachęty, czy czegoś wręcz przeciwnego.

Strażnik przekształcił się już do połowy - jedna zakuta w metal dłoń wciąż była ludzka, druga stała się wielką stalową łapą wilka, hełm szczyrzył groźnie wielkie kły, tors rozdał się, ale nogi pozostały ludzkie. I ta nierównowaga zgubiła wreszcie męczyznę, stracił zręczność, zachwiał się, a wtedy chłopak skoczył do wnętrza Archiwum.

— Zatrzymać! — krzyczał sierżant. Czerwień jego twarzy zapowiadała, że lada moment serce odmówi mu posłuszeństwa, ale ani na chwilę nie zwolnił tempa.

Strażnik, wciąż na wpół przekształcony, sięgnął po porzuconą kuszę, naciągnął ją i odwrócił się w ślad za chłopakiem.

Inspektor był już wystarczająco blisko, by słyszał zaniepokojone okrzyki ludzi w hallu Archiwum, wołania „Odsunąć się!” i „Uwaga!”. A potem śpiewny lot wystrzelonego bełtu i krótki, pełen bólu wrzask.

Strażnik odsunął przyłbicę hełmu, jego zbroja traciła wilcze kształty. Z twarzy wyglądało poczucie winy.

— Przepraszam... — wysapał do zbliżającego się sierżanta. —

Nie byliśmy gotowi... Ta cholerna kobieta... W pełnych zbrojach nie da się gadać z ludźmi, więc nie mogliśmy cały czas... Drań załatwił Heliego, gdyby nie ona...

Marely, który właśnie dogonił Januego, spojrzał na rozciągnięte w hallu ciało i uspokajającym gestem położył strażnikowi dłoń na ramieniu.

— Wszystko w porządku — powiedział. — Dobrze się spisaliście.

19

— Czy wiesz, czemu tu jesteś? — zapytał inspektor Marely.

— Moja twarz znalazła się na plakatach z napisem „Poszukiwany”, więc myślę, że znam odpowiedź — odparł siedzący po drugiej stronie biurka chłopak. Jak na kogoś, kto przed półgodziną został postrzelony z kuszy, był zaskakująco spokojny, choć blade, pokryte potem oblicze świadczyło, że zraniony bark mocno mu dokucza. Na szczęście bełt nie naruszył kości, a Marely kazał Finnena opatrzyć i przynieść mu wody. Bólu co prawda to nie zlikwidowało, ale przynajmniej mniejsze było teraz ryzyko, że chłopak zemdleje w środku rozmowy.

— Mylisz się — powiedział inspektor łagodnie. Ostatecznie nie chodziło przecież o to, by Finnena do siebie zrazić. — Jesteś tu, bo już od jakiegoś czasu chcę z tobą porozmawiać.

— Dziwne ma pan pojęcie o zapraszaniu na spotkanie. — Chłopak uśmiechnął się. Jednocześnie najwidoczniej odczuwał ból w barku, bo uśmiech zaraz przekształcił się w grymas. Marely podsunął Finnenu szklankę wody.

— Przykro mi, że tak wyszło — powiedział. — Ale sam zapewne rozumiesz, że nie miałem innego wyjścia. Za to teraz nie traktuję cię jak więźnia, chcę tylko porozmawiać. W cztery oczy, bez kajdanek czy zastraszania.

— A za drzwiami czekają pańscy ludzie. — Chłopak ruchem głowy wskazał mleczną szybę, za którą rzeczywiście majaczyły barczyste sylwetki.

— Czekają — przyznał Marely. — Dlatego, że nie mam wyjścia. Sam wiesz, że gdyby tylko pojawiła się szansa, zaraz byś stąd uciekł.

— W porządku, zatem porozmawiajmy. Co takiego masz mi do powiedzenia? — Gdy Finnen zrezygnował z formy „pan”, przez twarz inspektora przemknął wyraz niechęci.

Mężczyzna szybko się opanował.

Zaczął mówić, jednocześnie taksując wzrokiem siedzącego przed nim młodzieńca. Finnen wbrew temu, czego Marely się spodziewał, niczym szczególnym się nie wyróżniał. Średniego wzrostu, szczupły i umięśniony, choć zaokrąglone policzki zdradzały, że gdyby tylko sobie na to pozwolił, szybko by utył. Brązowawe włosy miał nieco zbyt długie, spadały na oczy, co sprawiało, że wyglądał na bardzo młodego, lecz na to inspektor nie zamierzał dać się nabrać. Miła, inteligentna i wrażliwa twarz z pewnością podobała się dziewczętom, choć Marely nie bez pewnej złośliwości pomyślał, że taką twarz ma co trzeci artysta - wiedział, że Finnen niegdyś nim był. Potwierdzały to wciąż jego dłonie, smukłe, z długimi, zręcznymi palcami. Ręce artysty albo zabójcy.

Marely mówił, a Finnen wciąż nie wykazywał oznak zaskoczenia. W jednym tylko momencie roześmiał się bez prawdziwej wesołości.

— Który to już za naszego życia wrak gwiazdowego pojazdu

— zacytował fragment usłyszanej dawno temu rozmowy. — Powinienem być się domyślić. Już wtedy powinienem odkryć, że Issa i jego przyjaciele są znacznie starsi, niż na to wyglądają.

— Czy ty rozumiesz, co ja do ciebie mówię? — nie wytrzymał inspektor. — Wiesz, co zamierza zrobić twoja przyjaciółka i jakie to będzie miało konsekwencje dla nas wszystkich?

— Wiem.

— Możesz ją powstrzymać!

— Dlaczego miałbym to zrobić?

Marely odetchnął. Chłopak był zdumiewająco spokojny, zupełnie jakby... Jakby spodziewał się aresztowania i tej rozmowy. Bzdura. Inspektor odsunął od siebie tę myśl, lecz dręczący go niepokój nie ustąpił.

— Los tysięcy ludzi i twoje marne życie najwyraźniej cię nie obchodzą — starał się mówić powoli, jakby tłumaczył coś dziecku — więc weź przynajmniej pod uwagę to, że Kaira od dzieciństwa była oszukiwana przez ojca. Że to, co wy dwoje uważacie za wielki młodzieńczy akt buntu, zostało zaplanowane przez Brina Issę w najdrobniejszych szczegółach.

— Wiem o tym już od jakiegoś czasu i gdybym zamierzał o tym Kairze powiedzieć, zrobiłbym to już dawno. Nawiasem mówiąc, powtarzam to już po raz drugi, co jest ciosem dla mojego artystycznego pragnienia oryginalności.

Inspektor skupił się na próbach rozszyfrowania chłopaka. Z satysfakcją zauważył, że Finnen nie jest tak niewzruszony, jak chciałby udawać. Marely, który przesłuchiwał niejednego aresztowanego, dostrzegł subtelne sygnały napięcia, a przede wszystkim oznaki wyczerpania. Cóż, dobre i to.

Postanowił porozumieć się z Finnenem, używając jego języka.

— A czy ciosem dla twojej artystycznej oryginalności nie jest przypadkiem to, że ty i Kaira jesteście marionetkami w rękach Issy? — zapytał i przez chwilę cieszył się własnym sprytem. Tylko przez chwilę, bo chłopak jedynie potrząsnął głową.

— Jest to pewien problem — przyznał. — Ale pozostaje pytanie, w jakim stopniu człowiek w ogóle decyduje o własnym losie. O losie Kairy zdecydował Issa, o losie Issy prawdopodobnie jego ojciec lub splot takich czy innych okoliczności. Twój charakter na przykład jest wynikiem czystego przypadku: ot, tak się zdarzyło, że w noc Skoku na wierzch wychynęły akurat takie talenty i upodobania, równie dobrze mógłbyś teraz tańczyć na którymś z placów albo zachwalać gorące bułeczki. Moje życie z kolei zostało ukształtowane w momencie, kiedy poznałem Kairę. Gdybym spotkał kogoś innego, kogoś o równie silnej osobowości, ale innych planach, wszystko wyglądałoby inaczej. To mógłbyś być nawet ty. — Uśmiech Finnena stał się szerszy, a jednocześnie uwypukliły się cienie pod jego oczami, przez co chłopak wcale nie wyglądał wesoło. — Gdybym poznał najpierw ciebie, być może stanąłbym po twojej stronie i był ci wierny tak, jak zamierzam być wierny Kairze.

— To jakiś nonsens. — Marely zrozumiał z tego tyle, że Finnen

nie powstrzyma dziewczyny.

— Zmierzam do tego — uśmiech znikł, chłopak wyglądał na coraz bardziej znużonego — że być może jedyną szansą, jaką mamy, jest wybór kłamstwa, w które będziemy wierzyć. Ja swoje już wybrałem.

— I dokonałeś wyboru także za Kairę — zwrócił uwagę Marely.

— Owszem, pozwoliłem sobie na to. Obawiam się, że ona nie rozumie reguł, jakie rządzą opowieścią.

— Jaką znów opowieścią?

— Tą, której jesteśmy bohaterami. Nieważne, że jej autorem jest Brin Issa, którego szczerze nie cierpię. Lepsze to niż bycie zwyczajnym człowiekiem. Dlatego odpowiedź na twoją niewypowiedzianą propozycję brzmi: nie. Nie powiem Kairze, że ojciec nią manipulował. Nie wybrałem dla siebie roli zdrajcy ani posłańca przynoszącego złe wieści, tylko wiernego przyjaciela, który zostanie z nią do końca, niezależnie od tego, jaki ten koniec będzie.

— Dlatego zamierzasz ją oszukać?

— Jak już mówiłem, prawda i kłamstwo są względne. To, co uważamy...

— Dość. — Marely z trudem panował nad wzrastającą irytacją.

— Posłuchałbyś raz samego siebie, to może zrozumiałbyś, jakie bzdury wygadujesz. Czy ty naprawdę nie zdajesz sobie sprawy z tego, co chcecie zrobić?

— Zdaję sobie sprawę doskonale.

— Wiesz, kogo mi w tej chwili przypominasz? Dziecko, małe dziecko, któremu się wydaje, że jest mądrzejsze od dorosłych, więc złości się i tupie nogą, by postawić na swoim, choć nie wie, że w ten sposób zaszkodzi też samemu sobie. Ty i Kaira jesteście takimi właśnie dziećmi. Gdybyście mieli zrobić krzywdę tylko sobie, nie obchodziłoby mnie to ani trochę, ostatecznie krnąbrnym dzieciom należy się nauka. Ale kłopot polega na tym, że wy pociągniecie za sobą tysiące istnień niewinnych ludzi, za których czuję się odpowiedzialny.

— Te tysiące niewinnych, o których tak dbasz, zdychały przez lata w przeszłości. Z głodu, chorób albo po prostu ze starości, choć trafili tam jako młodzi ludzie. Nie sądzisz, że pora na

zmianę?

— Nazywasz to zmianą? — Inspektor sięgnął do kieszeni i położył przed Finnenem ulotkę. — Jak myślisz, ile osób zginie, jeśli naprawdę zawalicie osó światów?

— Nie wiem. — Chłopak po raz pierwszy stracił pewność siebie i odwrócił wzrok. — Mam nadzieję, że niewiele. Dlatego właśnie wydrukowaliśmy ulotki i rozdajemy je wszędzie, także w przeszłości.

— Miałem rację. — Marely patrzył na niego z pogardą, której już nie usiłował kryć. — Jesteście jak dzieci, które dorwały się do niebezpiecznych zabawek i teraz gotowe są podpalić dom, w którym same spłoną. Naprawdę sądzicie, że wasz nędzny bunt w jakikolwiek sposób może zaszkodzić Przedksiężycowym?

— Jeśli nie, to czym się tak przejmujesz?

— Powiem ci, czym. — Marely pochylił się do przodu, oczy błyszczały mu gorączkowo. Doskonale wiedział, kiedy przesłuchiwany zaczyna się załamywać. — Małe, głupie dzieci nie potrafią zrobić krzywdy dorosłym, mogą skrzywdzić co najwyżej same siebie. Ale dorośli czasem odwracają się od swych głupich dzieci, jeśli widzą, że nic dobrego z nich nie wyrośnie, że są zbyt krnąbrne, by je wychowywać. A w tym przypadku my, ludzie, jesteśmy dziećmi, Przedksiężycowi zaś to rodzice. Zaczynasz rozumieć? Przejdź się do dzielnicy sierot i zobacz, co się dzieje z tymi, którzy zostali odrzuceni. Ten dziecinny bunt z pewnością Przedksiężycowym nie zaszkodzi, ale może sprawić, że rozzłoszczą się i zechcą nas ukarać, tak jak ojcowie czy matki karzą niesforne potomstwo. Tego właśnie pragniesz?

Chłopak milczał, wzrokiem wciąż uciekając w stronę okna.

— Patrz na mnie — warknął Marely.

Finnen odwrócił głowę posłusznie, choć wolno, spojrzenie jednak wbił we własne dłonie leżące na blacie biurka.

— Zaczynasz rozumieć?

— Nawet jeśli masz rację... — chłopak wzruszył ramionami
— ... to i tak nie ma sensu.

— Słucham?

— Wszystko, co mówisz, już nie ma znaczenia. Jest za późno.

Marely zmarszczył brwi. Oddychał powoli, starając się uspokoić i zrozumieć, co właściwie usłyszał. Uczucie niepokoju powróciło i teraz było w nim coś więcej - niejasne, choć coraz bardziej dręczące wrażenie, że przegapił coś bardzo ważnego.

— Wytłumacz.

— Nie zastanowiło was, dlaczego wtedy, kiedy mnie aresztowaliście, nie miałem przy sobie materiałów wybuchowych?

— Chcesz powiedzieć — Marely'emu na chwilę zrobiło się gorąco, ale zaraz odetchnął z ulgą — że specjalnie pozwoliłeś nam się schwytać po to, żebyśmy zlikwidowali strażę i żeby Kaira mogła wejść do Archiwum? Rozczaruję cię, strażę wciąż stoją.

— Niepotrzebnie, Kaira jest już w środku. W tej chwili prawdopodobnie podkłada ładunki wybuchowe pod ostatnie budynki. Dzięki temu, że tak miło ze mną gawędziłeś, zyskaliśmy trochę czasu. Pamiętasz tę kobietę, która tak się awanturowała, żeby wejść do Archiwum? Peruka i odrobina charakteryzacji potrafią zdziałać cuda... A kiedy zajęliście się mną, nikt już nie zwracał na nią uwagi.

Przez kilka krótkich, ciężkich jak ołów sekund Marely patrzył w oczy Finnena. A potem odwrócił się i skoczył do drzwi, by wydać rozkazy. W ciągu kilku minut posterunek opustoszał.

Inspektor wrócił do biura. Co dziwniejsze, nawet teraz, gdy chłopak już się przyznał, Marely wciąż miał uczucie, że czegoś ważnego nie dostrzega.

— Dziewczyna jest sama, więc nie da rady zawalić osi światów, do tego potrzeba znacznie więcej osób. Ale ja nie pozwolę na wysadzenie w powietrze nawet jednego budynku... Poza tym nie pojmuję, Kaira ma czarną skórę...

Zmarszczył brwi. Miał wrażenie, że jeśli tylko przez chwilę się zastanowi, znajdzie wreszcie brakujący element układanki, ale nie potrafił się zatrzymać, więc mówił, jednocześnie przeświadczony, że wciąż omija sedno problemu.

— ... ta kobieta była biała, widziałem ją, co prawda z daleka... żadna charakteryzacja...

Finnen patrzył na Marely'ego. Inspektor nagle w pełni odczuł ciszę pustego posterunku za plecami.

— Odesłałeś wszystkich. — Chłopak odgadł jego myśli. — To nie było rozsądne.

Powietrze w pomieszczeniu zgęstniało, pewność nadciągającego zagrożenia zjeżyła włosy na karku Marely'ego. Zrozumiał. Zrozumiał w ostatniej chwili i zadziałał instynktownie, chwytając stojącą na biurku figurkę, przechylając się przez blat i waląc nią na odlew w czoło Finnena.

Chłopak z bolesnym okrzykiem osunął się na posadzkę. Kształt, który już zaczynał się obok niego formować, znikł, a inspektor obszedł biurko, pochylił się nad nieprzytomnym i odsunął kołnierzyk jego koszuli. Tak jak się spodziewał, Finnen nosił na szyi osobliwą ozdobę, rodzaj wąskiej rzeźbionej obroży. Nie bez trudności Marely odnalazł zapięcie i zdjął ją z karku chłopaka, a potem odszukał w biurku spis skradzionych z Archiwum wynalazków.

To właśnie było to, o czym powinien pamiętać. Przecież czytał tę listę.

Pod numerem ósmym widniał napis: Jedyna i Niepowtarzalna Obroza Replikująca Samaleła.

Marely odłożył kartkę. Finnen na posadzce jęknął i spróbował otworzyć oczy, zaraz jednak zamknął je z powrotem. Krew ciekła mu z rany na czole, twarz miała barwę świeżo spadłego śniegu.

— Nie spodziewałeś się tego, co? — Marely ukłękął przy leżącym. — Przeżyłem już niejeden zamach, dlatego... Słyszysz mnie?

Finnen poruszył ustami. Gdy inspektor pochylił się, dotarło do niego coś, co brzmiało jak „Za późno”.

Ściskając w dłoni obrozę, wycofywał się w stronę drzwi. Kałuża krwi wokół głowy Finnena powiększała się, sięgając już dywanu. Możliwe, że chłopak przeżyje - wyglądał na twardego - ale tak czy inaczej przez najbliższych kilka godzin, a może i dni, nie będzie z niego pożytku. Jedyna nadzieja...

Nim inspektor dokończył myśl, posterunek wokół niego zaczął się zmieniać.

Finnen wszedł do windy czasowej i Finnen zasunął za sobą rdzewiejącą kratę, po czym zaczął schodzić w głąb szybu. Drgnął nerwowo, gdy kobieta, której krągła głowa wyrastała wprost z ramion, zmarszczyła brwi; uspokoił ją uśmiechem i urzędniczka wróciła do przeglądania zalegających na biurku papierów. Chłopak dawno odkrył, że obcy może wejść praktycznie wszędzie, jeśli tylko sprawia wrażenie człowieka, który ma prawo w danym miejscu być.

Siedzący w rzędach pracownicy Archiwum obrzucali go od czasu do czasu zdumionymi spojrzeniami, zaraz jednak tracili zainteresowanie. Finnen zmusił się, by nie przyspieszyć kroku. Tylko pot rozmazujący makijaż świadczył, że chłopak wcale nie jest spokojny. Dotarł do końca hali i sięgnął do kraty, za którą znajdował się szyb, a w nim maszyna. Teraz, pomyślał.

Krata rozsunała się gładko, bez zgrzytu, widać zawiasy zostały niedawno naoliwione. Chłopak nie obejrzał się, choć niemal czuł spojrzenia wwiercające mu się w kark. Przebranie, które nosił, co prawda skutecznie uspiło podejrzania strażników przed wejściem, ale jednocześnie nijak nie wyglądał w nim na mechanika. Trudno. Ile czasu minie, zanim któryś z urzędników zorientuje się, że coś nie gra? Zakładał, że ma przynajmniej kwadras, możliwe jednak, że się mylił. Mieszanka Gillaina obciążała mu kieszeń. Czy wystarczy jej, żeby wysadzić wszystkie Archiwa? I co dalej?

Wślizgując się do szybu, poważnie liczył się z tym, że przynajmniej kilka jego kopii może nie przeżyć. Jak odczuwa się śmierć samego siebie? Cóż, może będzie miał okazję się przekonać.

W odrzuconych rzeczywistościach setki innych Finnenów czekały już w głębiach zakurzonych i przerdzewiałych szybów. Wyczuwał ich obecność, tak jak czasem dostrzega się kątem oka znikającą z pola widzenia postać. Kaira by się nie bała, pomyślał, i to dodało mu otuchy.

Zasunął za sobą kratę i obrzucił spojrzeniem najbliższej siedzących urzędników. Do jednego z nich uśmiechnął się tak, jak

czasem uśmiechała się Kaira - oszczędnie, z roztargnieniem. Schodząc, starał się poruszać jak ona. Gdy zakładał ładunki wybuchowe, usłyszał dobiegający z góry gwar podniesionych głosów; ktoś krzychał, ktoś kogoś poganiał. Finnen pracował spokojnie, pewnymi ruchami mocując do krat zmieszana z wilgotną gliną zawiesinę. Kaira wciąż była z nim, blisko jak nigdy wcześniej.

21

W smudze słonecznego światła, wpadającej przez wąskie okno, Sura zanurzyła gąbkę w misce z letnią wodą, uniosła ramię Kairy i obmyła je wyćwiczonymi ruchami. Potem powtórzyła to samo z drugą ręką. Mamrotała przy tym uspokajające słowa, choć nie sądziła, by leżąca mogła ją usłyszeć.

Kaira miała zamknięte powieki, pod którymi poruszały się gałki oczne, i czasem jęczała cicho, jakby śniło jej się coś niedobrego, nigdy jednak nie reagowała na pytania. Jej skóra wciąż była niepokojąco ciepła, na policzkach i czole zebrały się nowe krople potu, choć w pomieszczeniu było chłodno, a Sura niedawno przetała jej twarz.

— Wszystko będzie dobrze — powiedziała dziewczynka. — Wszystko będzie dobrze.

Powtarzała to od kilku dni, za każdym razem z mniejszym przekonaniem. Po śmierci Nallego i Arikol zostało ich pięcioro i wszyscy na zmianę zajmowali się Kairą - albo przynajmniej próbowali się nią zająć. Finnen powiedział im wtedy, że kto chce odejść, powinien to zrobić teraz, i mówił tak, jakby w istocie tego właśnie pragnął. Prosił tylko, żeby poinformować go wcześniej, aby Kaira nie została bez opieki. Wszyscy zdecydowali się wtedy zostać, jednak w miarę upływu czasu ich postanowienie słabło. Kaira leżała w gorączce, a Finnen zniknął gdzieś i wracał jedynie po to, by sprawdzić, jak dziewczyna się miewa. Nie chciał ze sobą nikogo zabierać ani nawet powiedzieć, dokąd chodzi. Nie byli mu już potrzebni, a może

nawet stali się dla niego ciężarem.

Ktoregoś dnia Ionne przyniósł wiadomość, że aktorzy zbierają chętnych do kolejnego ataku na Archiwum. On i Jaramei postanowili się do nich przyłączyć. Tu jest nudno, mówili, zabawimy się trochę i wrócimy. Ale nie wrócili, a następnego ranka przepadli Hannen i Tasha. Sura została.

Nigdy nie lubiła walczyć; prawdę powiedziawszy, wlewanie zupy w usta na wpół przytomnej pacjentki wychodziło jej znacznie lepiej niż machanie nożem. Była potrzebna jeśli nie Finnenowi, to przynajmniej Kairze. Siedziała więc przy jej łóżku, karmiła i obmywała, w półmroku marząc, że kiedy dziewczyna wreszcie się przebudzi, przytuli Surę, powie jej, jak bardzo ją lubi i że dotąd dziewczynki nie doceniała, lecz teraz widzi, że z całej grupy to właśnie ona okazała się najwięcej warta.

— Wszystko będzie dobrze — powtórzyła mechanicznie.

Kaira poruszyła się na łóżku, pod jej powiekami błysnęły białka oczu.

— Słyszysz mnie? — zapytała Sura. Cisza była nieznośna. Słoneczne światło przygasło. Widać niebo zasnuły chmury.

Żałując, że nie stać ich na świetliki, dziewczynka podsyciła ogień płonący w pękatym wnętrzu żelaznego drozda, lecz blask rozgrzanego do czerwoności piecyka nie zdołał rozproszyć półmroku. I w tym półmroku Sura nagle odniosła wrażenie, że przedmioty zaczynają falować, jakby patrzyła na odbicie w ciemnej wodzie.

— Kaira? — zawołała nerwowo, odwracając się w stronę łóżka.

Zriajomy widok śpiącej uspokoił ją, zaraz jednak zerknęła na wiszący nad wezgłowiem gobelin - i ze zgrozą spostrzegła, że tkanina się zmienia, powoli, lecz nieuchronnie starzeje się i blednie, by wreszcie całkiem zniknąć.

— Kaira! — Szarpnęła dziewczynę za ramię. — Obudź się, proszę, obudź! To już się dzieje!

Śpiąca mruknęła coś niewyraźnie, zatrzepotała powiekami i z powrotem znieruchomiała, podczas gdy coraz bardziej zdesperowane dziecko krzychało, potrząsając nią jak wielką bezwładną lalką. Sura mogłaby przysiąc, że trwało to długo - co

najmniej kwadrans albo i pół godziny - w rzeczywistości jednak nie minęło więcej niż parę minut, kiedy Kaira wreszcie otworzyła oczy, zamruwała, a jej spojrzenie nabrało przytomności. Pytana później o ten cud, najczęściej śmiała się, mówiąc, że za żadne skarby nie przegapiłaby tego, co się wówczas w Lunapolis działo.

— Widzisz to? Widzisz? — szeptała gorączkowo Sura. — Musimy iść. Finnen mówił...

— Wiem. — Kaira usiadła na łóżku. — Pomóż mi wstać.

Świat wokół zmieniał się coraz szybciej, jakby ktoś tasował zdjęcia. Ściany złocone i ściany w zielonych kafelkach, brudne od wielowiekowego kurzu, a potem znów czyste, stół drewniany zamiast malachitowego, szafka w miejscu stojącego zegara.

— Szybciej. — Sura narzuciła Kairze na ramiona płaszcz i pociągnęła ją za sobą. Bose stopy osłabionej dziewczyny uderzały z głuchymi kłaśnięciami o posadzkę, gdy obie pędziły korytarzem pośród zmieniających się ścian. Surze rwał się oddech. — Musimy... na dach. Finnen mówił... Głębińce... najstarsza dzielnica, bezpieczny budynek... wszelki wypadek... na dachu najlepiej...

Zdobiące korytarz malowidła pokrywały się kurzem i gwałtownie starzały: tynk osypywał się, kolory płowiały, gdzieś pojawiły się nawet czarne plamy sadzy, choć nie było przecież ognia. A kiedy nie zostało już nic prócz poczerniałych murów, wyłoniły się spod nich nowe ściany, znów błyszczące świeżością, lecz inne niż poprzednie, okna zmieniły kształt na smuklejszy, malowidła zniknęły, zastąpione przez mozaiki - i wszystko to znów gwałtownie zaczęło się starzeć. Barwne kamienie ciemniały od brudu, a potem z głuchym stukotem spadały dziewczętom pod nogi, poręcz, którą chwyciły, pokryła rdza. Po chwili stał pod ich dłońmi wygięła się, metalowy jaszczurczy grzbiet przeszedł w równie metalową łabędzią szyję, schody raz wyższe, a raz niższe, uciekały im spod stóp.

Kaira oddychała ciężko i zataczała się, czasem niemal tracąc równowagę. Wtedy podtrzymywała ją coraz bardziej wyczerpana Sura i obie uparcie pokonywały kolejne stopnie.

Dziewczynka pierwsza weszła na drabinę i otworzyła kłapę, po

czym podała Kairze rękę. Znalazły się na dachu.

Wszędzie działo się to samo, co w pokoju i na korytarzu, tylko że na o wiele większą skalę. Konstrukcje wokół budynków rdzewiały gwałtownie, by po chwili spod zniszczeń mogły wyłonić się nowe i odmienne, gmachy zapadały się w siebie albo wręcz przeciwnie, nagle wyrastały im nowe piętra, domy znikwały i pojawiały się. Ludzie wrzeszczeli w bezrozumnej grozie. Długowłosa mężczyzna biegł przez plac, kiedy nagle pod nogami wyrosła mu ostra iglica. Nie zdążył uskoczyć, czubek przebił pachwinę i człowiek poszybował w górę, nabity niczym kawałek ciastka na widelec, wciąż krzycząc tak, że doskonale słychać go było na dachu, gdzie znajdowały się dziewczyny.

Sura dopiero teraz pojęła, co właściwie widzi: oto na jej oczach miasto cofało się w czasie, widziała Lunapolis sprzed lat dziesięciu, dwudziestu, stu... Nowe, a potem stare, ustępujące miejsca jeszcze dawniejszemu. Dach sąsiedniego budynku zapadł się, obniżając się o dwa piętra - gdyby dziewczęta tam właśnie siedziały, żadna z nich nie przeżyłaby upadku.

To bezpieczny dom, Sura powtarzała w myślach, całkiem bezpieczny, tak mówił Finnen. Ale i tak drżała gwałtownie, tuląc się do Kairy, która choć bosa i półnaga, nie wyglądała na zmarzniętą. Nad nimi chmury znikwały, odsłaniając czyste niebo, i znów się pojawiały; sypnęło śniegiem, potem spadł krótki, rześisty deszcz, który ustąpił miejsca wiszącej nad miastem łunie pożaru. Pod nimi przytomniejsi ludzie zrozumieli już, co się dzieje, i stawali w bezpiecznych miejscach, nawołując resztę. Kaira siedziała na dachu, obejmując kolana rękami. Policzki miała mokre i dopiero po chwili jej mała towarzyszka pojęła, że to nie deszcz, lecz łzy.

— Zrobił to sam — powiedziała dziewczyna z dziwnie rozjaśnioną twarzą. — Zupełnie sam.

W świetle bijącym z całej jej postaci Sura zauważyła wówczas coś jeszcze, coś głębszego i bardziej mrocznego. Gniew, urazę, a może po prostu wielki żal.

Świat wokół Marely'ego coraz głębiej spadał w przeszłość.

Pierwszą instynktowną myślą inspektora było uciekać jak najdalej od zmieniających się ścian i sprzętów. Szybko, nim stanie się coś tak strasznego, że jego opanowany lękiem umysł nie potrafi sobie tego nawet wyobrazić. Z zewnątrz dobiegały krzyki stłumione przez grube ściany budynku, na tyle niewyraźne, że można by je wziąć za odgłosy odbywającej się niedaleko zabawy. To skojarzenie zmroziło w Marelym krew, bo wiedział przecież, że cokolwiek dzieje się teraz na schodach, z pewnością nie ma nic wspólnego z radością.

Z trudem zdusił w sobie chęć ruszenia do drzwi i ostrożnie, omijając gwałtownie starzejące się biurko, podszedł do nieprzytomnego Finnena. Mógł go tutaj zostawić, może nawet powinien to zrobić i ratować przede wszystkim siebie, zdrajcy i zbrodniarze zasługują przecież na śmierć.

Jednak nie na taką śmierć. Marely przecież wierzył, że każdy, niezależnie od tego, jakie przestępstwo popełnił, zasługuje na uczciwy proces.

Pochylił się i z trudem podniósł bezwładne ciało. Co prawda chłopak był szczupły, ale Marely też nie należał do siłaczy.

Z Finnenem przerzuconym przez ramię wytoczył się z biura. Było już późno, spod kolejnych warstw zdzieranych rzeczywistości ukazywała się coraz głębsza, coraz dalsza przeszłość. Jednak wciąż miał szansę.

Budynek komendy należał do najstarszych w Lunapolis, a Marely wbrew całej swojej niechęci przeczytał i dobrze zapamiętał treść ulotek rozdawanych przez dzieci.

W przeszłości Tellis chwyciła Mahameniego za rękę, po czym, mrużąc coś o notatkach Issy, poprowadziła go do niewielkiego salonu.

— Tu będziemy bezpieczni. — Pociągnęła oszołomionego

mężczyznę pod ścianę. Była słaba, Mahameni Mehus, gdyby tylko chciał, bez trudu mógłby się od niej uwolnić, ale nie miał najmniejszego zamiaru tego robić. — Nie ruszaj się.

Już miał zapytać, czemu akurat tu. Nie zdążył.

W pomieszczeniu nagle pojawił się Issa i zdezorientowany zwierzoczkowiek zrobił krok w tył, opierając się plecami o ścianę. Kapitan uspokajająco ścisnęła jego palce. Przez chwilę przybysz i kobieta patrzyli na siebie, a Mehus spoglądał niepewnie to na jedno, to na drugie.

Potem Issa uniósł trzymany w dłoni kieliszek i zniknął, zanim Mahameni zdołał wydusić z siebie choć słowo.

24

Issa szybko zrozumiał, co się dzieje, i udał się do zimowego salonu, który dawno temu przygotował na taką właśnie okoliczność. Było to pomieszczenie, w którym niczego nie zmieniano i które, co ważniejsze, znajdowało się w miejscu, gdzie od początku istnienia Lunapolis nigdy nie znajdowało się nic innego. W salonie wyjął z szafki butelkę wina i napenił kieliszek. Gdy ujął cienką kryształową nóżkę, pod jedną ze ścian pojawiła się osobliwa para: mężczyzna o zwierzęcych rysach i przygarbiona staruszka. Issa odruchowo cofnął się; przez moment ogarnęła go złość, że jego idealna kryjówka została zbezczeszczona. Czy twarz starej kobiety nie była w pewien sposób znajoma...?

Nie, to niemożliwe, roześmiał się. Cóż za zbieg okoliczności, że dwoje pozostawionych z tyłu ludzi także wybrało sobie zimowy salon na schronienie... Biedacy, sami nie wiedzieli, jakie mają szczęście.

— Za zdrowie Kairy. — Uniósł kieliszek w stronę staruszki i upił łyk.

Gdy miasto spadło w najgłębszą przeszłość, pomieszczenie znikło, a Issę owionął zimny wiatr. Mężczyzna zadrżał.

Wyraźnie widział niebo nad sobą i od dawna martwe, najstarsze Lunapolis wokół. A potem ściany pojawiły się znowu

i miasto z powrotem zaczęło się wspinać w stronę terażniejszości. Ojciec Kairy, wciąż uśmiechnięty, jednym haustem opróżnił kieliszek.

25

W innym domu, lecz w podobnie przygotowanym pomieszczeniu, Marouti głąaskał włosy leżącej na łożku Ellony.

— Wszystko będzie dobrze — powtarzał, choć dziewczynka spała głęboko, a jej gładkie czoło świadczyło, że tym razem nie śni żadnych niepokojących snów. — To już prawie koniec. Wszystko będzie dobrze.

26

— Stój. — Niraj przytrzymał Pantalekisa w bezpiecznym miejscu na placu Żonglerów. — Nawet się nie waży ruszyć.

— Nie mam zamiaru — wymamrotał Daniel, choć jeszcze przed pięcioma minutami rozważał, czy nie wykorzystać okazji i nie urwać się Nirajowi. Jednak w ciągu tych minut zobaczył, jak umiera człowiek, a właściwie dwoje ludzi złączonych w jedno, fantastyczna bestia powstała z ciał mężczyzny i kobiety, którzy zaistnieli w tym samym miejscu oraz czasie; czteroręki i czteronogi potwór z jedną głową wyrastającą ze zdeformowanych pleców, a drugą ukrytą pod makabrycznie zgrubiałym ramieniem. Bestia konała w męczarniach, obmywana strugami deszczu, który spadł z bezchmurnego nieba. Nikt jej nie pomógł, nikt z wyjątkiem zdjętego grozą Pantalekisa nawet nie chciał na nią patrzeć, i trwało to umieranie długo - wystarczająco długo, by Danielowi przeszła ochota na ucieczkę.

Marely położył nieprzytomnego Finnena pośrodku obrysowanego kredą kwadratu na placu Solnym („Znajdź bezpieczne miejsce” - głosiła ulotka, podczas gdy obok widniał rysunek takiego właśnie czworokąta). Niedaleko jasnowłosa kobieta krzyczała i zdumiony inspektor dopiero po chwili zorientował się, że to jednak jest krzyk radości - a jeśli nie zwyczajnej zdrowej radości, to przynajmniej szalonego szczęścia.

— Nareszcie! — wrzeszczała. — Nareszcie!

Z lewej strony do uszu inspektora dobiegł cichy szloch. Mężczyzna odwrócił się - pod przewróconym straganem z pieczonymi jabłkami ktoś leżał, sądząc po drobnej sylwetce, chyba dziecko. Marely bez wahania podbiegł, depcząc czerwone owoce, i podniósł deskę, która przygniatała nogi uwięzionej dziewczynki. Mała wyglądała na zdrową, choć zanosila się płaczem.

Zaniósł ją w bezpieczne miejsce i położył obok Finnena.

Ocalił dwoje - jedno, aby żyło w nowej, zupełnie obcej rzeczywistości, i drugie, aby umarło, ukarane za swoje zbrodnie.

Tylko dwoje.

Z zaciśniętymi szczękami patrzył, jak świat, którego przysięgał bronić, rozpada się na kawałki.

A potem składała z powrotem w coś, czego nie chciał znać.

Tym razem Issa nawet nie spojrział na Tellis i Mahameniego. Po prostu odstawił pusty kieliszek na stolik, odwrócił się i wyszedł z salonu.

Rzeczywistość wokół wreszcie przestała się zmieniać.

— Myślisz, że cię poznał? — zapytał niepewnie Mehus.

— Chyba nie. Chodźmy.

Z zewnątrz dobiegały okrzyki ludzi, niewątpliwie żywych i niewątpliwie wielu - tak wielu, że z pewnością nie mogli być już w przeszłości.

— A więc jednak to zrobiła — mruknął Mahameni, podążając

za kapitan korytarzami domu Issy. — Zawaliła oś światów.

— Wygląda na to, że tak. — Tellis jak na staruszkę człapała zdumiewająco szybko, jakby w jej ciało wstąpiły nowe siły.

— A ty mi powiedziałaś, że jeśli to zrobi, to wszyscy, którzy zostali z tyłu, umrą. Ze ty umrzesz.

— Rzeczywiście, chyba o czymś podobnym wspominałam.

— Okłamałaś mnie. — W głosie Mahamieniego nie było wyrzutu, tylko zdumienie. — Dlaczego? Przecież gdybym...

— Właśnie z tego powodu. — Zatrzymała się i spojrzała na niego ze złością. — Gdybyś wiedział, nie próbowałbyś powstrzymać Kairy, a wręcz przeciwnie, pewnie byś jej jeszcze pomógł.

— Chciałaś umrzeć? — Mahameni z dzieciennym wyrazem żalu i wielkiego niezrozumienia na twarzy wyglądał tak, że nie mogła dłużej na niego patrzeć. Odwróciła głowę.

Słońce, po raz pierwszy od wielu dni wpadające przez szybę, na której nie było warstwy kurzu, raziło ją w oczy.

— Chciałam pokrzyżować plany Issy. Żeby sukinsyn wreszcie dostał za swoje.

— Zemsta jest dla ciebie ważniejsza niż życie?

— A jakie ja mam życie jako pomarszczona, zgarbiona starucha?

Mahameni przypomniał sobie niemal identyczne słowa Merhy Nomahan i zrozumiał, że ona wiedziała; że też musiała przeczytać w dzienniku, jaka jest prawda.

— Przepraszam... — wymamrotał bezradnie, ale mimo wszystko nie potrafił przestać się cieszyć. Tellis żyła, a Issa ze swoimi planami może sobie zgnieć w Studni. — Wyjdźmy na zewnątrz, kupimy coś do jedzenia, może jakieś lekarstwa...

— ... na starość? — zadrwiła kapitan, lecz pozwoliła Mehusowi wziąć się pod rękę.

Gdy wyszli, na schodach zauważyli kilka wychudłych widm w brudnych, podartych ubraniach, z twarzami zrytymi przez zmarszczki i głodnymi oczami.

— No proszę, a ja sądziłam, że jestem jedyną żywą osobą w przeszłości — burknęła Tellis. — Widać nie doceniłam ludzkiej woli przetrwania.

— Mam nadzieję, że ktoś zorganizuje dla tych biedaków

pomoc.

Jedno z widm dostrzegło przewrócony stragan z zimnymi przekąskami i rzuciło się ku niemu. Na oczach skonsternowanych ludzi zaczęło zgarniać owsiane ciasteczka wprost z ziemi wraz z brudnym śniegiem i wpychać je sobie do ust. Drugie widmo próbowało mu przeszkodzić, szarpiąc za ramię i wydając z siebie zwierzęce pomruki.

— Mam wrażenie, że dla niektórych może być za późno — skwitowała kapitan.

— Nie mów tak — zaprotestował Mahameni, zręcznie prowadząc ją między oszołomionymi ludźmi. Niektórzy wołali swoich bliskich, inni po prostu błakali się z pustymi spojrzeniami, wpadając na siebie nawzajem, lecz wszyscy, nawet ci najmniej przytomni, schodzili z drogi brudnym i głodnym widmom. — Dzięki właściwej opiece na pewno dojdą do siebie.

— Zawsze optymista, co?

Zatrzymali się przy jednym ze straganów. Wciąż tkwił przy nim sprzedawca, choć minę miał taką, jakby tylko zdumienie trzymało go na miejscu. Mahameni wcisnął mu w dłoń kilka monet i poprosił o placek z mięsem. Musiał powtórzyć trzy razy, zanim mężczyzna wziął się do smażenia ciasta.

Obok na śniegu klęczała krzykliwie ubrana kobieta. Wzrok wznosiła ku niebu, jakby miała nadzieję ujrzeć sunące pośród chmur litery.

— Przebudzenie! — jęczała. — O dzięki, dzięki wam, Przedksiężycowi!

— Nie, kochana, to tylko pierwszy etap. — Tellis przyjacielsko klepnęła ją w ramię, po czym ugryzła placek.

— A co dalej? — zapytał Mahameni. — Z tym też mnie okłamałaś?

— Poniekąd — przyznała między jednym kęsem a drugim. Pamiętała, by każdy starannie pogryźć i nie zjeść zbyt dużo naraz. Zresztą jej było łatwiej, ona dzięki Mahameniemu nie cierpiała głodu. Za to pozostałym ludziom z przeszłości, którzy dorwali się do jedzenia, groził w najlepszym razie poważny rozstrój żołądka. — To drugie kłamstwo było przeznaczone nie tyle dla ciebie, ile dla inspektora Marely'ego, lecz żeby oszukać jego,

musiałam najpierw okłamać ciebie.

— Dlaczego?

— Z tego samego powodu, dla którego nie powiedziałam prawdy tobie. Bo gdyby ją znał, pomógłby Kairze, zamiast ją powstrzymać.

— Nie rozumiem.

— Widzisz, sporo w przeszłości o tym człowieku czytałam i wiem, że dla niego najważniejsza jest wola Przedksiężycowych. A problem polega na tym, że Kaira robi dokładnie to, czego Przedksiężycowi chcą. Chodźmy znaleźć jakieś mieszkanie, gdzie mogłabym się wykąpać i zrzucić te łańcuchy.

— Możemy pójść do mnie.

Myślał, że Tellis zaprotestuje, jednak ona skinęła głową. Mahameni niemal wycofał się z przerażeniem, gdy przypomniał sobie, jaki ma bałagan, ostatecznie jednak, oszołomiony niemal tak jak ludzie wokół, wziął kapitan pod rękę i poprowadził w stronę najbliższych schodów.

— Mówiłaś, że Kaira ma zapobiec Przebudzeniu — powiedział.

— Tego właśnie chcą Przedksiężycowi?

— Odwrotnie, ona ma je spowodować — poprawiła kapitan.

— Mówiłam ci przecież, że skłamałam.

— Ale mówiłaś też, że ona... ona...

— Ze ona ma ich zabić, wiem. — Zatrzymała się i po raz pierwszy od wielu dni zobaczył na jej twarzy uśmiech, choć nieco smutny i zmęczony. — Nie pytaj, dlaczego Przedksiężycowi mieliby właśnie tego chcieć, nie sądzę, żeby kiedykolwiek udało nam się ich zrozumieć. Ale tak to właśnie wygląda. Kaira została zaprojektowana, żeby zabić Przedksiężycowych, i dopiero to spowoduje Przebudzenie. Aylen o tym wiedział, zajrzał w ich umysły i wiedział. Całe życie jego dzieci było od początku dążeniem do tej jednej chwili. Mam nadzieję, że przynajmniej to się dziewczynie nie uda.

Tellis ruszyła do przodu. Mahameni stał w miejscu i patrzył za odchodzącą. Gdyby kobieta się odwróciła, zobaczyłaby, że ma wyraz twarzy świadczący o tym, iż właśnie wpadł na pewien pomysł.

— A może warto byłoby — mruknął — żeby Kairze się udało?

Tassos Hairetis zbudził się z popołudniowej płytkiej drzemki wcale nie wypoczęty, z ciężką głową i suchością w ustach. Przetarł oczy i sięgnął po stojącą na stoliku obok łóżka szklanę wody.

Co mu się śniło? Przez chwilę jego umysł był pusty jak worek, z którego Święty Mikołaj wyciągnął już wszystkie prezenty, a potem oficer łącznikowy sobie przypomniał. Śnił o wymarłym mieście, które oddychało pod całunem wielowiekowego kurzu tak lekko, że niemal niezauważalnie.

Wzdrygnął się. Dlaczego akurat teraz pamięć podsunęła mu tamte ruiny? Wcześniej nie miał wiele czasu, by o nich myśleć. Najpierw, kiedy wypluwał z siebie krew, był za bardzo przerażony, żeby zwracać uwagę na cokolwiek innego, potem z kolei do szczęścia wystarczyło mu błogie uczucie ulgi, że przeżył i będzie zdrowy. Teraz nadeszła pora, żeby się zastanowić, co u licha wydarzyło się na planecie.

Najgorsze, że na dobrą sprawę nikt tego nie wiedział. Doktor Soulele zarzucił Hairetisa masą łacińskich terminów, zaraz jednak skapitulował, widząc pełen niezrozumienia wzrok paq'enta.— Prawda jest taka, że za cholere nie mam pojęcia — oznajmił z rozbrajającą szczerością. — Po prostu ciesz się, chłopcze, że tym razem kostucha cię oszczędziła.

Hairetis upił kolejny łyk wody. Cieszył się, oczywiście, ale to już mu nie wystarczało. Tam, na dole, zetknął się z czymś niewytłumaczalnym i spotkanie to pozostawiło w nim ślad, którego ani najnowocześniejsze leki Soulele'a, ani upływający czas nie potrafiły zatrzeć.

Czy tak właśnie działa magia, o jakiej czytał w dzieciństwie?

Wzdrygnął się ponownie, rozlewając na spodnie wodę, gdy automatyczne drzwi rozsunęły się i stanęła w nich Marilia Stavrena.

— Nie uwierzysz, co się stało — rzuciła od progu.

— Jeśli mi nie powiesz, nie będę miał nawet okazji spróbować.

— Odstawił kubek na stolik i wstał z trudem. Jego płuco podjęło już pracę, wciąż jednak był bardzo osłabiony. Spojrzał na własne stopy. Były obute, wreszcie nie w skarpetkach, co świadczyło, że Soulele uznał pacjenta za zdolnego do chodzenia o własnych siłach. Jak dotąd co prawda chodzenie ograniczało się do spacerów w stronę łazienki i z powrotem, jednak Hairetis i tak był zadowolony.

Wyprostował się i przepędził z głowy myśl o niepokojącym śnie.

— Powiesz mi czy nie?

— Musisz zobaczyć sam. Dasz radę dojść na mostek?

— Jeśli jesteś gotowa w razie czego mnie podtrzymać, to czemu nie.

Ciemne oczy kobiety błyszczały podnieceniem. Nie było w tym nic dziwnego, Marilia należała bowiem do ludzi, dla których nawet najbanalniejsza awaria potrafi stać się źródłem emocjonującej opowieści, a o tym, co przytrafiło się Hairetisowi, będzie mówić prawdopodobnie jeszcze pod koniec życia, niań- cząc na kolanach prawnuki. Jednak Hairetis dostrzegł na jej twarzy coś więcej niż tylko ekscytację. I więcej niż zdumienie. Strach, pomyślał, ona się boi.

Czy to miało coś wspólnego z martwym miastem? Oficer łącznikowy mógł się założyć, że tak.

Z trudem opanował się na tyle, by nie okazać zdenerwowania, i razem przeszli na mostek. Hairetis radził sobie całkiem nieźle, choć kilka razy musiał przystanąć, by złapać oddech.

Na miejscu powitały go krótkie brawa, trzy serdeczne klepnięcia w plecy i komplement Katii Kyrizaki, która otaksowała rekonwalescenta wzrokiem i oznajmiła, że wreszcie przestał wyglądać jak coś, co kot przyniósł z ogrodu. Podziękował jej, znacznie bardziej podbudowany tym stwierdzeniem niż wcześniejszymi słowami Marilii, która zapewniła go, że wygląda świetnie.

Soulele przysunął głęboki fotel i oficer łącznikowy usiadł z ulgą.

— Podobno macie tu coś niezwykłego? Co, znów odezwał się ten z obcym akcentem?

— Odzywał się już kilka razy, więc to żadna nowość. Mamy coś lepszego. — Hairetis zauważył w twarzy kapitana Cerniglia to samo, co u Marilii: podniecenie zmieszane z wyraźnym niepokojem. Lekarz wyglądał identycznie i tylko Katia zachowywała spokój, choć i w jej przypadku dało się dostrzec ślady nerwowego napięcia. Co, u licha, się działo? — Twoim zdaniem planeta pod nami nie jest zamieszkana, prawda? Nie ma tam śladów inteligentnego życia?

— Nie ma tam śladów żadnego życia — sprostował Hairetis.

— Sprawdzaliśmy to przecież kilkakrotnie.

— No więc się mylisz. Od dzisiaj, a ściślej biorąc, od dwudziestu trzech minut, kwitnie tam całkiem nieźle rozwinięta cywilizacja.

— To niemożliwe.

— Sprawdź sam.

Hairetis z niejakim żalem opuścił fotel i pochylił się nad ekranem. Po chwili uniósł głowę. Postawiłby wszystkie pieniądze na to, że jego twarz ma teraz wyraz identyczny z obliczami wszystkich pozostałych członków załogi.

— Ale... nie rozumiem...

— Nikt nie rozumie — mruknęła Katia. — Na tym właśnie polega problem.

— Zawiadomiliście Kerberosa?

Cerniglia zacisnął usta i Hairetis zrozumiał, że trafił na następną drażliwą kwestię.

— Nie — odparł kapitan. — Próbowaliśmy, ale nikt nie odpowiada.

— Awaria sprzętu?

— Jeśli tak, to u nich, nie u nas. Z naszym jest wszystko w porządku.

— A biorąc pod uwagę, że na Kerberosie mają sprzęt najnowszej generacji, jest to dość zastanawiające. — Katia uśmiechnęła się do Hairetisa. Ściślej biorąc, uśmiechały się jej usta, bo oczy pozostały poważne.

— Jest jeszcze coś. — Cerniglia mówił wolno, jakby się bał, że lada moment słowa go zawiodą. — Pokładowy komputer wyświetla wciąż ten sam komunikat.

— Jaki?

— „Ustalanie położenia statku”. Wygląda na to, że system się zawiesił, kiedy próbował wyznaczyć nasze koordynaty.

Hairetis zmarszczył brwi.

— Przecież nigdzie się nie ruszaliśmy.

— Właśnie — mruknęła Katia, a potem skinęła w stronę Marilii. — Ona ma pomysł, co prawda trochę kretyński...

— Nieprawda — zaprotestowała Stavrena. — W obecnych warunkach...

— Mniejsza z tym — przerwał jej Cerniglia. — Po prostu powiedz mu, co wymyśliłaś.

Hairetis spojrział na Marilię, która milczała z zaciśniętymi ustami. Wreszcie ciszę przerwała Katia. Mówiła swobodnym tonem, a oficer łącznikowy mógł tylko zgadywać, z jak wielkim trudem jej to przychodzi.

— Ona uważa, że zmieniliśmy nie miejsce, ale czas, rozumiecie? Cofnęliśmy się albo skoczyliśmy do przodu, jak w tej starej powieści o wehikule i żyjących pod ziemią potworach. Komputer zgłupiał, bo nic się nie zgadza, gwiazdy są w niewłaściwych miejscach. Jeśli naprawimy system, odpali symulację i wtedy się dowiemy nie gdzie, ale kiedy tak naprawdę jesteśmy.

30

Pewne rzeczy muszą zostać zrobione, nawet jeśli są nieprzyjemne. Któż mógł wiedzieć o tym lepiej niż Mahameni Mehus, tak często przeznaczany do najpodlejszych prac i pogardzany? Nigdy nie miał pretensji, a swoje obowiązki wykonywał jeśli nie zawsze z zapalem, to przynajmniej z nadzieją, że dzięki temu, co robi, świat będzie odrobinę lepszy.

Rankiem po zawaleniu osi światów chodziło nie o dobro świata, ale o szczęście Tellis, lecz zasada była taka sama.

Zakołatał do drzwi Merhy Nomahan, a gdy detektyw mu otworzyła, powiedział, że musi z nią pilnie omówić kilka kwestii. Próbowiła wymówić się brakiem czasu - zaalarmowało ją coś w twarzy niespodziewanego gościa - Mahameni jednak

nalegał. To zajmie tylko chwilę, mówił, nie siląc się na uśmiech. Wiedział, że jest kiepskim aktorem.

Zgodziła się z ociąganiem. Może już wtedy wiedziała i może naprawdę było jej wszystko jedno, choć Mahameni wolał wierzyć, że do końca nie zdawała sobie sprawy, jaki los ją czeka. Detektyw odwróciła się, by poprowadzić gościa do salonu. Zwierzocłowiek miał w kieszeni nóż, długi i świeżo naostrzony. Nie czekał dłużej, bał się, że stchórzy i zawiedzie Tellis.

Zaatakował niemal na progu, niepomny tego, że przez niedomknięte drzwi sąsiedzi mogą usłyszeć krzyk.

Jednak staruszka nie krzyczała, westchnęła tylko lekko, gdy ostrze przecięło jej gardło.

Ostatecznie Mahameni znał się na zabijaniu, a teraz z dwóch powodów - z litości i z ostrożności - zależało mu, by śmierć nadeszła szybko. Gdy ciało Nomahan zwiotczało, chwycił je i ułożył na posadzce w korytarzu, po czym zasunął drzwi.

— Przepraszam — powiedział.

Krew pobrudziła mu ręce, wszedł więc do łazienki, by ją zmyć. Wiedział, że czeka go jeszcze droga powrotna przez rozstawione w całym mieście posterunki straży miejskiej, i nie chciał nikomu dawać powodów do podejrzeń. Długo trzymał dłonie pod strumieniem gorącej wody, bał się jednak unieść wzrok i spojrzeć w lustro. Nie żałował tego, co zrobił, ale też nie czerpał z tej śmierci radości ani dumy.

31

W nocy po zawaleniu osi wydawało się, że Lunapolis ogarnął całkowity chaos. Spłonęła wieża widowiskowa i znajdująca się niedaleko siedziba art-zbrodniarzy, tłum znów wdarł się do Archiwum i tym razem dotarł aż na piąte piętro, mnóstwo sklepów zostało splądrowanych, było też kilkanaście - albo nawet kilkadziesiąt, wersje podawano sprzeczne - śmiertelnych ofiar zamieszek i jeszcze więcej rannych.

Rankiem jednak na placach oraz schodach pojawiły się wzmocnione oddziały straży. Ochotnicy byli najwyraźniej

dopiero co zwerbowani, niewyszkoleni, ale za to zachwyceni dostępem do broni oraz wynalazków. W wielu miejscach na prowizorycznie ustawionych posterunkach nie tyle pilnowali starego porządku, ile zaprowadzali własny. Terroryzowali właścicieli pobliskich kramów oraz kawiarni, by za darmo oddawali im jedzenie i alkohol, ładne dziewczęta przepuszczali przez barykady w zamian za możliwość wsunięcia im dłoni pod spódnicę, a okaleczonym czy odmieńcom kazali wykonywać upokarzające ćwiczenia fizyczne. Kto się sprzeciwił, był brutalnie bity. Wystarczyło kilka godzin, by ludzie znienawidzili nowych strażników, lecz efekt został osiągnięty. Lunapolis się uspokoiło, place i schody opustoszały - choć pod ciszą i pustką zimowego krajobrazu wciąż wyczuwało się pulsujące napięcie.

Przez takie właśnie miasto szli Niraj z Pantalekiszem. Minęli cztery posterunki - na każdym z nich strażnicy nie zwracali większej uwagi na mechanicznego, ale Danielowi z powodu jego brzydoty dostawała się porcja niewybrednych żartów. Znosił je dzielnie, zadowolony i wciąż lekko zdziwiony, że Niraj zgodził się zabrać go w ten niespokojny poranek na plac Żonglerów.

Przestał się dziwić, gdy korzystając z tego, że syn Issy stał odwrócony plecami, sięgnął do ust kamiennego posągu przy nieczynnej fontannie i wyjął złożoną w czworo karteczkę.

Niraj obrócił się błyskawicznie i złapał Daniela za rękę. Pantalekis wrzasnął, bardziej z powodu rozczarowania niż bólu czy strachu.

— Wiedziałem, że coś kombinujesz! Dawaj! — zatriumfował mechaniczny. Rozwinął karteczkę. — Finnen? Dostajesz wiadomości od Finnena? Ale przecież to jakiś bełkot! Co to ma być?

— Zapis fonetyczny mojego języka. Daj, ja umiem to przeczytać.

Wyrwał kartkę z rąk Niraja, który pozwolił mu na to po krótkiej chwili wahania.

„Mówią: Jutro w południe. Zabierzemy cię do domu”, przeczytał Daniel z wysiłkiem. Zapis wyglądał dziwacznie i wielu słów musiał się domyślać.

Jutro? Jakie, kurwa, jutro?! Przecież prosił przez tego cholernego Finnena, żeby czekali, usiłował im wytłumaczyć, że nie może się teraz wyrwać... Nie zrozumieli? Pewnie tak, Finnen przecież nie znał franespańskiego, tylko bezmyślnie powtarzał, co Daniel mu zapisał, a potem równie bezmyślnie przekazywał odpowiedź, taka komunikacja jest gównem warta. Jutro... Jak, do wszystkich diabłów, Pantalekis ma do jutra zwiać Nirajowi?

— Czekam na tłumaczenie. — Syn Issy chłodno przypomniał o swoim istnieniu.

— Już... — Trybiki w mózgu Daniela obracały się z szaleńczą szybkością. Pod wiadomością znajdowało się kilka cyfr zapisanych słowami. Koordynaty... Gdzie oni chcą lądować? Plac Wodny? To chyba będzie plac Wodny. W południe. Niezły pomysł z takim wyborem czasu, krążącej po orbicie załodze łatwo obliczyć, kiedy słońce będzie nad Lunapolis w zenicie. Dobrze, że tamci o tym pomyśleli...

Jutro, kurwa mać.

A potem uświadomił sobie, że jutro tak naprawdę jest dzisiaj, bo przecież Finnen odebrał wiadomość wczoraj. Południe będzie mniej więcej za godzinę. Żeby zdążyć, Daniel musiałby wyrwać się już teraz i cholernie szybko biec. Nie miał szans.

Poczuł się tak, jakby ktoś sięgnął mu lodowatą ręką do żołądka, po czym zacisnął pięść. Pusty i słaby jak dziecko.

— Co tam, połknąłeś język? — zapytał sucho Niraj.

I wtedy, gdy Daniel niemal stracił nadzieję, przyszło olśnienie: sposób tak prosty, że dziwił się, jakim cudem nie wpadł na to wcześniej.

Szybko, połykając wyrazy, opowiedział Nirajowi wszystko - jak Finnen dostał się do domu Issy, jak zawarli umowę i jak powiedział chłopakowi, w którym pomieszczeniu może znaleźć radiostację. Mechaniczny słuchał z nieruchomą twarzą, dopiero pod koniec skrzywił się wyraźnie.

— To znaczy, że jesteś bardziej cwany, niż mi się wydawało.

— Gównem prawda — przerwał mu energicznie Daniel. — To znaczy, że masz swoją szansę, kretynie. Moja moneta nie działała, próbowaliśmy setki razy, za każdym razem z takim samym skutkiem. Na nic więcej ci się nie przydam, pojmujesz to swoim

tęym łbem? Ale wystarczy, że zaczekasz tu jakiś czas, Finnen przyjdzie po odpowiedź, a ty pogadasz z nim sobie serdecznie, wiesz, jak facet z facetem. Chłopak na pewno wie, gdzie jest Kaira, oni są nierozłączni jak syjamskie bliźnięta. Może nawet przyjdą razem. Rozumiesz?

— Nie jestem idiotą.

— Dobra, to ja spadam...

Mechaniczny chwycił go za ramię. Niech szlag trafi wszystkich blaszaków, pomyślał Daniel.

— Nie tak szybko. Jak długo będę czekał?

— Chłopak przyjdzie po południu, może pod wieczór. Mogę już iść?

Niraj stał nieruchomo i nagle Pantalekis przeraził się, że nigdy już nie usłyszy odpowiedzi. Ale w końcu mechaniczny puścił go i odwrócił głowę.

— Spieprzaj. Cieszę się, że nie będę więcej oglądał twojej gęby.

Daniel nie odpowiedział, tylko od razu pognął w stronę placu Wodnego. Biegł, jakby ścigało go stado demonów. Albo jakby spodziewał się, że Niraj jakimś cudem domyśli się, iż czekanie nie ma sensu.

Liścik Finnena był ostatnim listem, na jaki się umawiali, i chłopak z pewnością nie przyjdzie po odpowiedź.

32

Była godzina dziesiąta czasu pokładowego, gdy Marilia przypomniała o tajemniczym mężczyźnie mówiącym z obcym akcentem, po którego obiecali wysłać wahadłowiec.

— Łądujemy? — upewniła się.

— Łądujemy — zdecydował Cernigłia. — Może to nasza jedyna szansa, żeby się dowiedzieć, co tam się stało.

— Na dole jest teraz sporo ludzi — zwróciła uwagę Katia. — Mogą nas uznać za boga spadającego z nieba albo coś.

— Masz coś przeciwko byciu bogiem? — zapytał Cernigłia, a Marilia zachichotała bez przekonania. — Wyślemy pusty wahadłowiec, sterować będziemy zdalnie z orbity. Nie możemy

ryzykować posyłania tam kolejnego człowieka. Katia, ty się tym zajmij, masz z nas wszystkich najlepsze wyczucie. Ja bym pewnie wylądował jakiemuś tubylcowi na głowie.

Tym razem odpowiedziały mu trzy blade uśmiechy. Tylko Hairetis pozostał ponury i nawet się nie odwrócił, wpatrzony w ekran monitora. Cerniglia spojrział w jego stronę i kolejny żart utknął mu w gardle. Odkąd Marilia wysunęła swoją szaloną teorię, kapitan starał się podtrzymywać morale załogi za pomocą lepszych lub gorszych dowcipów i uważał, że całkiem nieźle sobie radzi, nagle jednak stracił węgę. Odetchnął.

— Wracajcie do swoich obowiązków.

Gdy na mostku został tylko on i Hairetis, kapitan podszedł do siedzącego przy komputerze mężczyzny.

— I jak tam, masz coś? — zapytał cicho. — Wszystko w porządku? Może wezwać Soulele'a? Kiepsko wyglądasz...

— Nie trzeba. — Hairetis sam poczuł, że gwałtownie zbladł.

— Tylko jak to możliwe? Kurwa mać...

— Marilia miała rację, prawda? Skoczyliśmy w czasie?

— Nauka...

— Daj spokój nauce. Ile?

— Sądząc po świetle najbliższych pulsarów, jakieś dwieście tysięcy lat. Wstecz. Mój Boże... Musi pan powiedzieć reszcie...

— Wiem. Wszystko w swoim czasie.

Jak oni to przyjmą?, myślał Hairetis. Owszem, byli kolonistami, którzy wyruszyli na Ziemię w przekonaniu, że być może już na Kerberosa nie wrócą, ale pomiędzy „być może” a „na pewno” ziała przepaść głęboka jak sam kosmos. Tassos Hairetis nie zostawił na rodzinnej planecie nikogo, na kim by mu zależało. Jego żona - jedyna bliska osoba - spoczywała bezpiecznie w ładowni „Arki Odrodzenia”, pogrążona we śnie. A jednak na myśl, że nigdy więcej nie zobaczy miejsc, w których się wychował, poczuł jednocześnie rozpacz i wściekłą niezgodę, zupełnie jak wtedy, gdy zmarł mu ojciec. Wspomnienia napłynęły falą: letnie dni spędzane nad zatoczką wrzynającą się w brzeg na kształt litery „T”, ogniska rozpalane wieczorem na plaży, na której całował się ze swoją pierwszą dziewczyną...

Jak to możliwe, że wszystko to już nie istniało? Że zaistnieje

dopiero w odległej przyszłości?

I więcej jeszcze - uświadomił sobie, że załoga i pasażerowie „Arki Odrodzenia” są teraz prawdopodobnie jedynymi ludźmi w całym wszechświecie.

Oczywiście jeśli nie liczyć istot, które żyły na planecie pod nimi - jeżeli można je było nazwać ludźmi.

33

— Ocaliłem ci życie, pamiętasz?

Finnen otworzył oczy. Pochylająca się nad nim twarz należała oczywiście do inspektora Marely'ego. Znowu. Głowa bolała nieźno przy każdym poruszeniu, język miał opuchnięty, gardło suche.

— Jakżebym miał zapomnieć — wychrypiał, rozglądając się ostrożnie. Budził się już wcześniej w tym pokoju, całym w chłodnej zieleni, zimnym i pozbawionym piętna osobowości właściciela. Równie dobrze mogli znajdować się u Marely'ego, jak i w jednym z wielu opuszczonych mieszkań Lunapolis.

Spojrzał na inspektora.

— Jeszcze nie jest za późno. Możemy odnaleźć Kairę i odbudować nasz świat. Ale jeśli dziewczyna zabije Przedksiężycowych, wszystko będzie stracone. Decyzja należy do ciebie, Finnenie. Musisz się pospieszyć.

— Chce mi się pić.

Marely zawahał się, jednak podał mu wodę. Chłopak z ulgą przełknął zimny płyn.

— Dziękuję.

— Jestem łagodnym człowiekiem, Finnenie, i nie chcę nikogo krzywdzić...

— Ale jeśli uznasz, że musisz, zrobisz to, prawda?

— Być może. Powiedz mi, gdzie mogę znaleźć Kairę.

— A jeśli nie?

— Naprawdę chcesz wziąć na swoje sumienie taki ciężar?

Finnen milczał z zamkniętymi oczami.

— Plac Węzłów — powiedział wreszcie. — Szukajcie w domu z

fasadą w kształcie dziobu statku.

— Już raz mnie oszukałeś.

— Tym razem mówię prawdę.

Marely wyjął z kieszeni plik zdjęć i rzucił je na kolana Finnena. Chłopak jęknął i odwrócił głowę. Inspektor złapał go za włosy.

— Patrz — wyszczał — albo każę przykleić ci powieki do czoła. Widzisz? To są ludzie, którzy zginęli podczas waszej akcji. Nóżki wystające z tej ściany to kiedyś było dziecko. Małe dziecko, które skończyło z kilkoma kilogramami kamieni i zaprawy murarskiej w brzuchu. A tu - nie odwracaj oczu! - tu widzisz mężczyznę, którego ciało połączyło się z ciałem innego mężczyzny, bo ten drugi wyskoczył nagle z przeszłości jak pajacyk z pudełka. Ten człowiek znajdował się w polecany przez ciebie bezpiecznym miejscu, ale nie ocalało mu to życia, bo trudno oddychać, kiedy z gardła wyrasta ci ręka, a drugie serce bije w żołądku.

— Nie mogliśmy przewidzieć wszystkich...

— Chcesz zobaczyć więcej?

— Nie.

— A więc podaj adres.

— Plac Węzłów, dom z fasadą w kształcie dziobu okrętu.

34

Późnym rankiem Sura wymknęła się, by kupić coś do jedzenia i może gazety, jeśli jakieś będą. Były, choć tylko dwie i cieńsze niż zazwyczaj, za to krzyczące od pierwszej strony tłustymi nagłówkami: „Tragedia, ponad dwustu ludzi zginęło!” i „Świt nowej ery czy największy dramat naszych czasów?!”. Poniżej następował tekst o podtytule „Archiwum przemienione, czym jest Maszyna?”.

Sura zwinęła papier w rulon, po czym ruszyła poszukać słodkich bułek. Znalazła je wreszcie w jedynym czynnym sklepiku spożywczym, na Schodach Węgielnych. Co prawda były wczorajsze i twarde, ale co tam, Kaira na pewno nie będzie

narzekać. Dziewczynie i tak było wszystko jedno, co je.

Wróciła do domu, przygotowała śniadanie i postawiła je na stole. Kaira, tak jak Sura przypuszczała, najpierw zainteresowała się gazetami. Wzięła do ręki „Nowy Czas”, który ośmielił się pisać o „świecie nowej ery” i już wcześniej nieśmiało sprzyjał buntownikom.

— Piszą, że z przeszłości ocalało kilkudziesięciu ludzi. — Uśmiechnęła się. — Są szczęśliwi, większość już zaczyna docho-
dzić do siebie. To także dzięki tobie, Sura. — Kaira przyciągnęła dziewczynkę do siebie i pocałowała. — Dziękuję. Wiedziałam, że mnie nie zawiedziesz.

— Nie ma za... Nie mogłam. Kiedy tamci odeszli... — mam-
rotała Sura, zakłopotana, szczęśliwa i zarazem udręczona
poczuciem winy. Gdy Kaira się odwróciła, czym prędzej zabrała
ze stołu gazetę mówiącą o przeszło dwóch setkach zabitych, a
także wymieniającą mniejszą liczbę ocalałych z przeszłości.
Według „Księżycowego Kuriera” było to jedynie kilkanaście
osób, z których część zmarła jeszcze w nocy, a pozostali nigdy
nie mieli w pełni odzyskać sił.

— Gdzie Finnen? — Kaira na szczęście nie zwróciła uwagi na
zniknięcie drugiego dziennika. — Nie wrócił jeszcze?

— Nie, przykro mi. Nie widziałam...

Sura chętnie by się jeszcze nacieszyła uznaniem i płynącym z
niego szczęściem, nawet jeśli uczucie to było zmaćcone.
Chciałaby, żeby Kaira znowu powiedziała jej coś miłego. Albo
po prostu porozmawiała z nią o czymkolwiek. Ale Kaira już
straciła zainteresowanie dziewczynką jej oczy przybrały dobrze
znany odległy wyraz, a rozsadzająca ją po rekonwalescencji
energia domagała się ujścia.

Ledwo skubnęła śniadanie, po czym wstała i zaczęła krążyć po
niewielkiej kuchni. Tam i z powrotem, tam i z powrotem, jak
podenerwowany lew w klatce. Sura, która nigdy nie widziała
prawdziwego lwa, lecz tylko jego mechaniczne odpowiedniki,
skuliła się odruchowo. Co, jeśli okaże się, że Finnen został
schwyty? Czy Kaira zechce go odbić? Na samą myśl o tym
dziewczynce zachciało się płakać. Nie była wojowniczką, nie
nadawała się do tego.

— Nie mówił, kiedy wróci?
— Nie, przykr...
— A w ciągu ostatnich dni, kiedy byłam nieprzytomna, spotykał się może z kimś? Chodził gdzieś?

Sura zastanowiła się.

— Często bywał na placu Żonglerów. Nie wiem po co.

— W porządku, chodźmy więc na plac Żonglerów.

Według Sury nie miało to wiele sensu, jednak Kaira najwyraźniej wolała zrobić cokolwiek, niż siedzieć w domu.

— W mieście na każdych schodach stoją posterunki nowej straży — ostrzegła lojalnie dziewczynka. — Przepuszczają ludzi, tylko jeśli mają dokumenty i wytłumaczą, dokąd i po co idą. Czasem są naprawdę paskudni.

— Świetnie — mruknęła Kaira. Tak jak Sura się spodziewała, informacja o posterunkach jeszcze zachęciła ją do wyjścia.

Starsza dziewczyna wzięła *darakkę* i przypięła ją do pasa. Sura otworzyła usta i zamknęła je, nic nie powiedziawszy. Ze skrzyni, w której trzymali wynalazki, wyjęła zmieniającą wygląd plecionkę.

— Załóż przynajmniej to, jeśli chcesz brać broń.

Kaira przesunęła między palcami ogniwa siatki. Minę miała dziwną, ni to szczęśliwą, ni to wystraszoną.

— Myślałam, że Finnen ją wziął... Byłby z nią bezpieczniejszy. Wiesz, co może znaczyć to, że ją zostawił?

— Co takiego? — zapytała Sura posłusznie, choć jakoś szczególnie ciekawa nie była.

— On wie, że następny ruch będzie należał do mnie. — Kaira rzuciła plecionkę dziewczynce. — Ty ją załóż. Bardziej jej potrzebujesz. Ja sobie poradzę.

Wcale nie o to chodzi, pomyślała Sura. Po prostu masz ochotę komuś dolożyć.

Na okazję nie musiały długo czekać. Już przy pierwszym posterunku zatrzymali je dwaj strażnicy, obaj młodzi, z policzkami zaczerwienionymi od wypitego wina, w niedbale założonych zwierzokształtnych zbrojach, skłonni do zabawy. Zagwizdali na dziewczynę i kazali jej podejść bliżej. Nic w tym zresztą dziwnego, Kaira miała minę tak zaciętą, że od połowy

schodów zwracała na siebie uwagę.

Sura rozsądnie trzymała się z tyłu, zapatrzona we własne stopy. Dopiero po chwili odważyła się nieśmiało unieść głowę. Jeden ze strażników trzymał właśnie Kairę pod brodę.

— Dokąd to, co? Nie wiesz, że mamy stan wyjątkowy? Nie trzeba włączyć się po mieście, jak nie trzeba. Masz dokumenty?

— Mam.

Strażnik zerknął do podanych mu papierów i długo je przeglądał. Drugi milczał. Brwi miał zmarszczone, jakby intensywnie o czymś myślał. Sura bardziej bała się właśnie jego.

— Na tym zdjęciu masz uśmiech, jakbyś lubiła się zabawić — powiedział pierwszy. — Co nie, Piło? Tak się śmieją dziewczyny, które lubią dobrą zabawę. Mają to coś w oczach, rozumiesz. A teraz panienka ma taką nieładną, ponurą minę. Czemu tak? Uśmiechnij się jak na zdjęciu, to przepuścimy.

— Hej, czy ona nie wygląda przypadkiem... — zaczął drugi, ale nie zdążył dokończyć. W dłoni Kairy pojawiła się *darakka*, która chwilę później tkwiła już w gardle chłopaka.

Dziewczyna wyszarpnęła ostrze, trysnęła krew. Kolega zaatakowanego wybałuszyl oczy i sięgnął po broń, ale pijany i zaskoczony, okazał się zbyt wolny.

— Chodź. — Gdy było po wszystkim, Sura chwyciła Kairę za rękaw. Materiał kurtki przesiąknięty był krwią. — Proszę, chodźmy stąd. — Nie rozplacę się, myślała dziewczynka, zaciskając usta. Nie będę płakać.

— Pójdziemy podwórkami i tylnymi schodami. Poprowadzisz?

Wszystkie sieroty dobrze znały miasto, Sura skinęła więc głową. Pomyślała, że przecież już wcześniej mogły wybrać taką właśnie drogę, nie było potrzeby przechodzić przez posterunki. Ale Kaira wcześniej by się nie zgodziła - może jedynie wtedy, gdyby zaproponował jej to Finnen.

Sura skupiła się na wybieraniu najbezpieczniejszych przejść. Nie chciała myśleć o dwóch martwych strażnikach ani o wypływającej z ich ciał krwi, która szeroką kałużą rozlała się po śniegu.

Co, jeśli któryś z latających stróżów prawa zauważył tę

krzyczącą z ziemi czerwień? Co, jeśli już są ścigane?

Biegła, coraz bardziej zdyszana i spocona, z tętnem łomoczącym w uszach. Kaira, która mimo odniesionej rany miała lepszą kondycję, a także dłuższe nogi, trzymała się tuż za jej plecami i dziewczynka wyczuwała jej pragnienie, by jeszcze przyspieszyć.

Zatrzymały się na podobnym do studni podwórku kamienicy, by Kaira mogła wytrzeć ręce w śnieg i przewrócić kurtkę na lewą stronę. Na czarnej podszewce nie było widać krwi.

Potem biegły dalej, podczas gdy wysoko nad nimi chmury rozciął statek powietrzny. Najpierw był maleńką kropką na tle zimowego nieba i można go było wziąć za mechanicznego ptaka. Potem zaczął rosnąć w oczach. Miał srebrzystą, połyskującą w słońcu barwę i wrzecionowaty kształt. Dziewczęta zauważyły go, gdy wybiegły na plac Żonglerów, gdzie zebrała się grupa osób. Wszyscy stali z uniesionymi głowami.

Kaira również spojrzała w niebo.

— Co to?

— Nie wiem. — Sura osłoniła dłonią oczy. — Jeden z naszych wynalazków?

— Pracowałam w Archiwum i niczego takiego tam nie było.

Na placu zaczął gromadzić się całkiem pokaźny tłumek.

Wciąż nie był wielki, wciąż wiele osób bało się wyściubić nos z domu, ale odważnych przybywało. Wychodzili z nielicznych czynnych sklepów i kawiarni, porzucali stragany. Do grupy dołączyło nawet kilkoro strażników, którzy trzymali się co prawda z boku, ale przynajmniej tym razem nie obrzucano ich niechętnymi spojrzzeniami.

— Leci nad plac Wodny! — wrzasnął ktoś dobrze zaznajomiony z topografią Lunapolis. — Będzie lądował!

— Idziemy tam? — z nadzieją zapytała Sura. — Nigdy czegoś takiego nie widziałam.

Powietrze rozdzierał już huk pracujących silników, podniebny statek schodził coraz niżej. Widać było nawet wymalowane na kadłubie znaki, które dziewczynka uznała za litery obcego alfabetu.

Kaira skinęła głową.

Nie zdążyła jednak ruszyć w stronę schodów, gdy ciężka ręka spadła jej na ramię. Odwróciła się. Przed nią stał potężnych rozmiarów mechaniczny. Spróbowała mu się wyrwać, lecz tym razem zawiodły ją siły.

— Dzięki Przedksiężycowym, znalazłem cię — powiedział. W jego głosie było coś znajomego. — Musimy porozmawiać.

35

Finnen leżał z policzkiem przyciśniętym do zimnych płytek posadzki. Lewe oko łzawiło mu podrażnione słonecznym światłem, które wpadało przez okno. Musiał być już późny ranek, może nawet dochodziło południe. Od posadzki ciągnęło zimnem, a od ściany, o którą opierał plecy, ciepłem. W ciszy słyszał własny oddech: wdech, wydech, wdech, wydech. Skupił się na nim.

Powinien wstać, sprawdzić, czy drzwi wciąż są zabarykadowane, napić się wody i może nawet zjeść śniadanie, jeśli tylko w opuszczonym mieszkaniu znajdzie cokolwiek nadającego się do spożycia. Nie zrobił nic. Wciąż leżał, ciesząc się bezruchem i brakiem myśli. Ciało miał ciężkie, nawet podniesienie ręki wydawało się ponad siły. Bezwład był jak krząca w żyłach słodka i gęsta trucizna. Finnen mógłby tak leżeć cały dzień. Nie ruszać się, nie zastanawiać, nie pamiętać.

Lecz od wspomnień nie było ucieczki. Najpierw pojawiły się te z chwil tuż przed wysadzeniem Archiwów, gdy podkładali materiały wybuchowe, potem późniejsze - moment, gdy wstrząsy zapadającej się osi wyrzuciły Finnenów wprost przed grupę oficerów straży miejskiej. Zdumienie na ich twarzach. Chłopak niemal się uśmiechnął - niemal, bo bezwład jednak zwyciężył. Pamiętał, jak uciekał przez całe wczorajsze popołudnie, wieczór i sporą część nocy. Przemierzył nieskończenie wiele schodów, od Kwartалу Kandrisa aż po Zimowy Ogród; siedział godzinami w ciemnej piwnicy, nasłuchując z przerażeniem, jak pod drzwiami węższy ubrany w

zwierzozbroję strażnik; świętując zawalenie osi, pił w podłych spelunach z nadzieją, że tłum ochroni go przed rozpoznaniem; wspinał się na dachy i biegał podniebnymi traktami; wraz z grupą pijanych wyrostków obrabował sklep z futrami; widział atak na siedzibę art-zbrodniarzy i został uratowany przez piękną kobietę, która wykazując się sporym refleksem, pociągnęła go za sobą, zanim dopadł go szczególnie zajadły strażnik.

Wspomnienia napływały falami, coraz więcej i więcej. Wysysający siły chłód piwnicy i ciepło miękkiej kołdry, uczucie krańcowego zmęczenia, brak tchu, a zarazem moment, gdy obudził się w świeżej pościeli i wypoczęty przeciągnął się z przyjemnością. Pamiętał dziesiątki smaków - od ukradzonej nad ranem stwardniałej bułki aż po podane mu na tacy naleśniki z czekoladą - i setki zapachów: dym płonących budynków, woń włosów nasączonych kwiatową pomadą, przesiąkniętą potem pościel i grzyb w wilgotnej piwnicy. W ciągu ostatniej nocy przeżył cały miesiąc i teraz miał wrażenie, że wspomnienia, wrzucone w końcu w jedno ciało, za chwilę rozsądzą mu czaszkę.

Jęknął i wreszcie usiadł. Nigdy wcześniej nie rozdzielał się na tak wiele osób i na tak długo. Teraz wiedział już, że zrobił to po raz pierwszy i ostatni. Najgorszy z najgorszych kaców, jakie przeżył, był lepszy niż karuzela obrazów, dźwięków oraz zmysłowych wrażeń, która kręciła się teraz w jego głowie. Pamiętał, jak szukał nad ranem sam siebie - zmordowany i wypoczęty, zziębnięty i w ciepłutkiej kurtce, głodny i syty, z siedzibą art-zbrodniarzy płonąca pod powiekami, na który to obraz nakładało się wspomnienie rozciągniętego na łóżku nagiego ciała.

Nigdy więcej, postanowił, wstając na miękkie, drżące nogi, po czym powłókł się do łazienki, gdzie włożył głowę pod strumień zimnej wody. Na twarzy wciąż miał resztki aktorskiej szminki, oczy były podkrążone, a na podbródku widniał siniak wielkości pięciosurimówki. Ciekawe, dlaczego tak jest?, myślał, szorując policzki kawałkiem twardego mydła. Niektórzy odnalezieni nad ranem Finnenowie wyglądali świeżo jak skowronki, ale z jakie-

gość powodu rozdzielone ciała zawsze redukowały się do wersji najgorszej z możliwych.

Potem odsunął spod drzwi barykadę z kilku krzesel. Dopiero teraz dostrzegł, jak kiepskie to było zabezpieczenie. Jednak dziś tuż przed świtem, gdy znalazł puste mieszkanie, nie myślał jasno. Był nie tylko pijany wspomnieniami, ale w dodatku dręczyła go paranoja, bo ścigani przez strażników Finnenowie zarażali przerażeniem tych, których nikt nie tropił. Zabarykadował więc drzwi i zwałił się na posadzkę. Biorąc pod uwagę, że nie zdołał nawet dotrzeć do łóżka, prawdopodobnie raczej stracił przytomność, niż zasnął.

Wyszedł na zewnątrz. Gdy stawiał kołnierz płaszcza, jego dłoń dotknęła obroży na szyi. Zdjąłby ją najchętniej, bo wynalazek budził w nim teraz wyłącznie niechęć, jednak pamiętał przecież, że został jeszcze jeden Finnen, ten schwytany przez Marely'ego przy wejściu do Archiwum. Jego utracony bliźniaczy brat. On sam. Chłopak czuł jego brak tak, jak się czuje ból odciętej kończyny - tyle że wrażenie to nie koncentrowało się w jednym miejscu, lecz rozlewało na całe ciało. Jakby był niepełny, w pewien sposób... rozrzedzony.

Cofnął rękę. Dopóki jego bliźniak nie wróci, Finnen nie będzie ryzykował i nie zdejmie obroży. Nie wiedział przecież, czy po powtórny jej włożeniu połączenie wciąż będzie możliwe.

Na Schodach Żonglerów przywitał go gwar podniesionych głosów. Wszyscy patrzyli w górę, więc spojrzał tam i on.

Z nieba zsuwał się kosmiczny pojazd - a chłopak był jedną z nielicznych w Lunapolis osób, które doskonale wiedziały, co to jest. Pozostali krzyczeli, że z chmur schodzą Przedksiężycowi albo że to nowy wynalazek Archiwum.

Pojazd był coraz niżej, w ryku lądującej maszyny ginęły już wrzaski gapiów, ciągnący od silników ciepły wiatr o zapachu płonącej nafty rozwiewał im włosy. Chłopak nie miał pojęcia, gdzie statek zamierza wylądować, mógł jednak zgadywać, że na placu Wodnym - ze wszystkich pobliskich placów ten bowiem był największy.

Finnen, który nigdy w życiu nie przepuścił okazji do zdobycia nowego doświadczenia, pobiegł w kierunku lądowiska. Zdażył

w ostatniej chwili, akurat gdy zgasły silniki, a pojazd znieruchomiał, otoczony wianuszkami gapiów. Chłopak roztrzącał ich, mamrocząc pod nosem „Przepraszam, przepraszam”. Ludzie odpychali go i przeklinali, ale on był szczupły, silny, a przede wszystkim zdeterminowany.

— Jest pusty... — usłyszał, gdy wreszcie znalazł się w pierwszym szeregu.

Istotnie, zachęcająco otwarte drzwi ukazywały wnętrze, w którym nikogo nie było. Finnen czuł niepewność otaczających go ludzi - stali w bezpiecznej odległości, rozdarci pomiędzy naturalnym strachem i równie naturalną ciekawością.

Wiedział, że jeśli tylko pojazd nie zacznie nagle ziać ogniem albo strzelać - a nic na to nie wskazywało - ciekawość zwycięży i gapie zaczną się pchać do wnętrza. Chłopak rozejrzał się, szukając wzrokiem Pantalekisa.

Nie było go tu, były za to otwarte drzwi, z każdą chwilą coraz bardziej kuszące. To szaleństwo, pomyślał, ale ostatecznie czy większe niż to, co zrobił zeszłej nocy? Przez całe życie szukał nowych wrażeń, a teraz okazja sama wpadała mu w ręce.

Niepewnie wysunął się przed szereg - tylko odrobinę, lecz to wystarczyło, by zachęcić innych. Pierwszy ruszył wysoki czworooki mężczyzna i kiedy tylko tamten zrobił krok, Finnen pojął, że teraz albo nigdy. W kilku susach wyprzedził czworookiego, wpadł do wnętrza pojazdu, odwrócił się i pomachał zdumionym gapiom.

Z głębi tłumu dobiegały wściekle wrzaski, widać ktoś próbował powtórzyć wyczyn Finnena i przedzierał się właśnie przez ciżbę. Głos brzmiał znajomo, lecz chłopak nie miał czasu nad tym pomyśleć, ledwo bowiem wszedł do środka, drzwi zasunęły się i pojazd wystartował.

36

— Od początku robiłaś jedynie to, czego życzył sobie ojciec. Zaplanował to wszystko, rozumiesz? Twój bunt, twoją upozorowaną śmierć, a wreszcie, że wysadzisz oś światów. Dokładnie

tego chciał. Dlatego proszę cię, cokolwiek jeszcze zamierzasz, zrezygnuj. Widzisz, co on mi zrobił? Co zrobił nam obojgu?

Zdezorientowana Sura przenosiła wzrok z twarzy mechanicznego na twarz Kairy i z powrotem. Domyśliła się, że to Niraj, o którym kilka razy wspomniał Finnen, nie miała jednak pojęcia, o czym mężczyzna mówi.

Dziewczyna milczała z zaciśniętymi ustami, unikając spojrzenia brata.

— To by ci pasowało, prawda? — zapytała po chwili. — Jesteś teraz mechanicznym, Przebudzenie cię zabije.

— Nie chodzi o to — zirytował się Niraj. — Uważasz, że podoba mi się życie w blaszanym cielsku? Spójrz na mnie, no, popatrz choć przez chwilę!

Niechętnie przeniosła wzrok na jego twarz.

— Wiem, że nie kochaliśmy się szczególnie jako dzieci i teraz wyglądam zupełnie inaczej, ale mimo wszystko wciąż jestem twoim bratem.— I dlatego mam ci uwierzyć? Może to kolejna sztuczka ojca.

— Wiesz, że nie. Przecież widzę. Znam cię, Kairo.

— Nigdy mnie nie znałeś.

Mechaniczny chwycił dziewczynę za rękę.

— Proszę — powiedział z naciskiem. — Mógłbym próbować cię zmusić, ale wolę przekonać po dobroci. Musisz...

— Niczego nie muszę. — Wyrwała się i Sura myślała, że Niraj rzeczywiście spróbuje użyć siły, jednak Kaira spojrzała na niego tak, że odruchowo cofnął się i nawet Surze dreszcz przebiegł po plecach.

— Przynajmniej przemyśl to, co ci powiedziałem! — krzyknął za siostrą, gdy ruszyła w stronę schodów.

Kaira nie odwróciła się, ale zrobiła to Sura — i przez moment zrobiło jej się żal mechanicznego. Wyglądał tak samotnie, niemal... ludzko, gdy patrzył za nimi, a potem usiadł na ławce i oparł czoło na rękach. Jakby mógł tak siedzieć do końca świata.

Przyspieszyła kroku.

Ciała strażników wciąż leżały tam, gdzie Kaira je zostawiła. Widać nikt z przechodzących nie kwapił się, by zawiadomić o zabójstwie najbliższy posterunek. Dziewczyna zatrzymała się

przy zwłokach.

— Kaira? — wydyszała Sura, która biegła za idącą szybkim krokiem towarzyszką jak wierny, acz wzgardzony pies. — Kaira?

Jej głos brzmiał coraz bardziej płaczliwie. Wyciągnęła rękę i zaraz ją cofnęła. Kaira milczała przez całą drogę z placu Żonglerów, gdy truchtające obok dziecko zasypywało ją pytaniami.

— Co zamierzasz teraz zrobić? — zapytała Sura.

— Nic — odparła w końcu dziewczyna, a potem ostrożnie, jakby dotykała sierści prawdziwego psa, pogładziła lotki na ptasiej zbroi martwego strażnika. Sporo piór zachłapanych było krwią, lecz te, które tego uniknęły, wciąż przyciągały oczy głęboką błękitną barwą.

Sura objęła się ramionami i wreszcie wybuchnęła płaczem, który wzbierał w niej od dłuższego czasu.

— Chodźmy do domu, proszę. Nie chcę na nich patrzeć.

Kaira nie zwróciła na nią uwagi.

— Próbowalam kiedyś latać — powiedziała. Sura drgnęła. — Nie w ptasiej zbroi, ale na Skrzydłach. Nie bardzo mi wyszło. Myślisz, że teraz poszłoby lepiej?

— Nie wiem, możemy nad tym pomyśleć w domu. Teraz...

Kaira wcale nie czekała na odpowiedź.

— Pomóż mi.

— Zaraz tu ktoś przyjdzie, nie możemy...

— Pomóż.

Wciąż pochlipując, dziewczynka zabrała się do odpinania klamer mocujących zbroję. Kaira nigdy nie wyglądała na tak świadomą tego, co robi, jak w tej chwili, a zarazem sprawiała wrażenie szalonej - jakby właśnie ta całkowita przytomność umysłu i ostrość widzenia pozwoliły jej dostrzec prawdę niedostępną dla rozumu zwyczajnego człowieka.

Wspólnymi siłami zdarły z trupa zbroję. Schody wciąż były puste, lecz Sura wiedziała, że lada moment ktoś nadejdzie. Lunapolis było dziś wyludnione, ale przecież nie aż tak bardzo.

— Pospieszmy się.

Kaira ruszyła w stronę mieszkania. Żelazo, które niosła,

pobrzękiwało, ona znów milczała. Sura z trudem dotrzymywała jej kroku. Otarła łzy z twarzy i zdążyła się ucieszyć, że zmierzają do domu, gdzie będą bezpieczne. Może Finnen już wrócił, snuła uspokajające myśli. Tak, na pewno wrócił i zaraz przemówi Kairze do rozsądku, on potrafi się z nią dogadać, nawet kiedy jest taka dziwna...

Za wcześniej się ucieszyła, bo starsza dziewczyna minęła drzwi ich mieszkania i poszła dalej, schodami do góry.

— Kaira, proszę!

Dotarła na ostatnie piętro. Położyła broń na ziemi, weszła po drabince i otworzyła prowadzącą na dach klapę.

— Podaj mi to — powiedziała.

— Nie. — Sura zacisnęła usta. Kaira powtórzyła polecenie. Nie fatygowała się nawet, by dodać „proszę”. Dziewczynka płakała, łzy spływały jej strumieniami po twarzy, ramiona się trzęsły. Drżącymi rękami podniosła broń i podała ją wychylającej się z włazu Kairze, która wciągnęła sprzęt, po czym zaczęła się ubierać. Sura weszła po drabince i zgarbiona, usiadła na dachu. Wysoko nad nimi kosmiczny pojazd zniknął właśnie w szarych chmurach. Żadna nie zwróciła na niego uwagi.

Kaira, już w pełnej zbroi, lecz z odsuniętą przyłbicą, pochyliła się nad Surą.

— Znajdź Finnena, on się tobą zaopiekuje.

Dziewczynka z nadzieją uniosła głowę. Chwyliła zakutą w żelazo rękę niezgrabnie, szybko, bojąc się, że właściwy moment minie.

— Nie rób tego, proszę, nie zostawiaj mnie, nie chcę, żeby Finnen się mną opiekował, wolę ciebie...

— Uwierz mi, Finnen jest w tym znacznie lepszy niż ja. I przestań płakać, no już. Przecież nie zamierzam się zabić.

Sura próbowała się jeszcze czepiać nóg Kairy, jednak dziewczyna odsunęła ją stanowczo. A potem stanęła na brzegu dachu, rozpostarła skrzydła i skoczyła.

Po zawaleniu osi Archiwum nie wygląda już jak przedtem. Jest jedynym w Lunapolis budynkiem, który nie wrócił do swego najnowszego kształtu, lecz stał się gmachem łączącym w sobie cechy Archiwum współczesnego i wszystkich przeszłych. Jest teraz monstrum pozszywanym z chaotycznie dobranych elementów, okna w stylu wczesnego cesarstwa zachodzą na okapy z epoki prezydentów, a narosłe na schodach schody prowadzą w splecione pod najdziwaczniejszymi kątami ściany. To labirynt pomieszczeń niebędących już ani salami, ani korytarzami, lecz czymś zupełnie nowym i niepodobnym do niczego innego; budynek, w którym istnieją przedmioty powstałe z połączenia krzesel, zegarów oraz ogryzionych gołębih kości i w którym wciąż leżą wtopione w posadzki zwłoki urzędników.

Archiwum pilnuje kilkunastu byłych pracowników, którzy mieli szczęście przeżyć. Nie ma dla nich powrotu do dawnych zajęć, lecz wciąż czują się związani z tym miejscem, wciąż chcą być potrzebni, bo bezczynność zwiększa strach przed Przebudzeniem, którego rychłe nadejście każdy z nich przeczuwa. Dlatego w porozumieniu z władzami miasta pełnią na zmianę straż - choć nie potrafią powstrzymać wszystkich zdeterminowanych reporterów czy szabrowników żadnych oryginalnych pamiątek.

Jednak szabrownicy i reporterzy i tak nigdy nie zapuszczają się daleko, pośrodku Archiwum króluje bowiem ona: Maszyna, kolos zrodzony ze wszystkich innych maszyn, potwór, który wciąż działa, napędzany mocą płonących pod ziemią naftowych jezior, i którego celu działania nie zna nikt. Jej widok oślepia, huk silników ogłusza, a wybijany przez tłoki rytm wprawia serca w drżenie.

Do Archiwum przychodzi mężczyzna trzymający za rękę młodą dziewczynę i żąda wejścia. Urzędnicy usiłują mu to odradzić, on jednak się upiera, ostatecznie więc przepuszczają dziwną parę w przekonaniu, że podobnie jak wszyscy pozostali, ci ludzie także nie wejdą w głąb labiryntu, lecz zadowolą się

zrobieniem kilku pamiątkowych wirofotografii. Oni jednak bez wahania idą dalej - najpierw mężczyzna prowadzi dziewczynę, potem, gdy jego ogarnia lęk, zamieniają się rolami i to ona bierze swego towarzysza za rękę. Podchodzą do Maszyny tak blisko, że łopaty turbiny niemal muskają ich twarze.

Szum silników jest tak głośny, że gdy oboje mówią, widać tylko, jak poruszają się ich usta; gorąco wytwarzane przez pracujące silniki zatyka oddech. Mężczyzna pochyla się i całuje dziewczynę w czoło. Ona uśmiecha się krzepiąco, jakby do niej właśnie należała rola pocieszycielki, a potem odwraca się i odchodzi.

Wkracza wprost w Maszynę, pomiędzy tłoki i zębate koła. Nie wie, dokąd idzie ani jak unikać niebezpieczeństw, ma po swojej stronie jedynie głęboką wiarę, że potrafi to zrobić, do tego bowiem została właśnie stworzona. Gdyby przystanąła choć na chwilę, maszyna zmiażdżyłaby ją, lecz ona się nie zatrzymuje. Jej ciało zna Maszynę, nawet jeśli nie zna jej rozum, instynkt podpowiada dziewczynie, kiedy uchylić się, a kiedy przyspieszyć. Potężne żelazne ramiona ledwo muskają jej włosy.

Dociera wreszcie do jądra pracującego olbrzyma, tam, gdzie nie ma już tłoków, turbin ani zębatach kół i nawet szum silników wydaje się cichszy. Kładzie dłonie na podświetlonej tablicy, a Maszyna rozpoznaje jej kod genetyczny. Dzieje się to po raz pierwszy od wielu wieków, jednak wszystko działa tak, jak powinno.

Ekran rozbłyskuje światłem.

Dziewczyna waha się.

Przez całe życie przygotowywano ją na ten moment, a jednak teraz, gdy znalazła się tak blisko, nie potrafi się zdecydować. Nie możesz się bać, powtarzał jej ojciec. Oni będą walczyć, ale ty nie możesz się bać. Jeśli zawiedziesz, wszystko będzie stracone.

Dopiero teraz zdaje sobie sprawę, jak wielką odpowiedzialność wzięła na swoje barki. Ma zabić Przedksiężycowych, a to czyn, na który z powodu szacunku, miłości lub strachu - albo wszystkich tych uczuć - nie poważyłby się żaden zwyczajny

człowiek. Lecz ona nie jest zwyczajna. Jest inna, wybrana, od dziecka wychowywana z myślą o tej jednej, najważniejszej chwili. Tyle razy zapewniała ojca, że zdoła to zrobić, tyle razy przekonywała samą siebie.

A teraz waha się i boi.

Oddycha głęboko, wciągając w płuca powietrze o oleistym smaku kurzu i metalu. Oblizuje wargi. Oddałaby pół życia za szklankę wody i minutę zwłoki. Jednak nie ma tu wody i nie ma czasu na zwłokę. Ojciec czeka. Wszyscy czekają. I liczą na nią.

Dziewczyna unosi dłoń, po czym wklepuje kod - jej umysł go nie zna, lecz palce bezbłędnie rozpoznają właściwe klawisze. Potem zamiera, czekając, aż Przedsięwzięcowi zaczną walczyć o życie.

Przez chwilę nic się nie dzieje.

A gdy silniki powoli zaczynają cichnąć, dziewczyna rozumie, że jej ojciec się pomylił. To, co zrobiła, nie było aktem zabójstwa, lecz wyzwolenia.

Uwięziona w Maszynie inteligencja, która ewoluowała przez wieki, właśnie zyskała swobodę.

38

Godzinę później mężczyzna wraz z dziewczyną wyszli z Archiwum. Ona wyglądała na wyczerpaną, on był zadowolony, choć wyczuwało się w nim też nerwowe napięcie. Strażnicy przy drzwiach przepuścili ich bez słowa. Jeden chciał zapytać, gdzie podziewali się tak długo, jednak wówczas jego uwagę zwrócił cichnący szum Maszyny. Spojrzał niepewnie na swego towarzysza, który lekko pokręcił głową. Na twarzy drugiego strażnika malowało się zdumienie.

Mężczyzna przeniósł wzrok na oddalającą się parę, chciał nawet za nią biec i prosić o wytłumaczenie, nieznajomi jednak szli szybko, krótki płaszcz dziewczyny powiewał na wietrze, a wyprostowana sylwetka jej towarzysza z daleka promieniowała dumą.

Nad Lunapolis ciemniało niebo. Nie powlekło się chmurami,

jak przed śnieżycą, lecz zmroczniało nagle, jakby w środku dnia zapadła noc. Słońca nie było widać, wiatr ucichł. W ciszy, jaka zapadła, można było usłyszeć odgłos monety, która upadła na oblodzony plac. Schylił się po nią jeden ze sprzedawców ciastek, zaklął i natychmiast umilkł. Umilkli także inni. Patrzyli z niepokojem to w niebo, to na siebie nawzajem, a w ich oczach narastała groza.

Ta cisza nie była naturalna, czuli to wszyscy, nikt jednak nie wiedział, dlaczego tak jest, jakiego dźwięku nagle zabrakło. Dopiero po chwili zrozumieli.

W mieście umilkły maszyny. Znieruchomiały schody i mecha-
noidy, przestały pracować silniki, stanęły wszystkie zegary. Mechaniczni zatrzymali się w pół ruchu pośród codziennych czynności: metalowi stróże zastygli w drzwiach pilnowanych sklepów, kawiarni, teatrów i zwykłych domów. Ucichł zgrzyt Kolejki. Z nieba spadały ptaki przenoszące wiadomości, ich martwe ciała wbijały się w zmrożony śnieg, sypiąc wokół lodowymi odłamkami. Ktoś krzyknął wysokim, wibrującym głosem, gdzieś rozległ się cichy szloch.

Tellis, która wraz z Mahamenim stała przed wejściem do Ośmiornicy, odruchowo chwyciła mężczyznę za rękę. Mehus uśmiechnął się nerwowo.

— Zrobiłem coś dla ciebie — oznajmił. — Pewnie będziesz zła...

— Nie będę.

— Chcę ci powiedzieć... Teraz, skoro ona nie żyje, ty jesteś naj-
mądrzejsza, rozumiesz? Przedsięwzięcowi muszą wybrać ciebie.

— Nie rozumiem. Ale tak czy inaczej dziękuję. Jeśli zrobiłeś to dla mnie, to dziękuję.

W zielonym pokoju Marely pochylił się nad Finnenem.

— Znowu mnie oszukałeś. — Potrząsnął głową, udawana troska kryła gniew. — Kairy nie ma na placu Węzłów, w domu z fasadą w kształcie dziobu okrętu. I co ja mam z tobą zrobić?

Zdziwiony nagłą ciszą inspektor spojrział przez okno, a potem przeniósł wzrok na leżącego w łóżku chłopaka, który uśmiechał się z wysiłkiem. I ostatecznie właśnie po tym uśmiechu Marely poznał, że Finnen od początku miał rację: było za późno, o

wiele za późno i nic już nie mógł zrobić.

Ludzie na placu Wodnym stali jak skamieniali, a pośród nich miotał się Daniel Pantalekis.

— Może mi ktoś, kurwa, wyjaśni, co tu jest grane?! Może ktoś się wreszcie mną zainteresuje? Jestem Obcym, OK? Łapiecie? Istota z innej planety, kosmita? Ten gówniany statek powinien mnie zabrać, rozumiecie?!

Potrząsnął stojącym najbliżej mężczyzną, który z ogłupiałą miną wciąż gapił się w niebo.

— Pochodzę z innego świata! — wrzasnął z rozpaczą.

Nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Brin Issa wyjął ze skrytki butelkę wina, które liczyło dokładnie tyle lat, ile miał jego właściciel, a to oznaczało, że było bardzo stare i bardzo cenne. Nalał pół kieliszka, po czym uniósł go do nosa, zdecydowany uczynić tę najważniejszą chwilę swego życia idealną. Stojąc przy oknie, w ubraniu, które miało status dzieła sztuki pierwszej klasy, w butach z psiej skóry i takichże rękawiczkach, pociągnął pierwszy łyk trunku.

Wino było kwaśne, lecz Issie zepsuło to humor tylko na moment.

Kaira krążyła w ptasiej zbroi pod szybko ciemniejącym niebem. Na dachu widziała skuloną sylwetkę Sury, jej kontury już zacieraly się w coraz gęstszym mroku. Dziewczyna poczuła skurcz w gardle, krótką, przelotną ochotę, by wylądować i wziąć dziecko w ramiona. Nikt nie powinien być sam w takiej chwili. Zamiast tego jednak z pełną pasji wściekłością wzbiła się wyżej, dążąc w stronę, gdzie jeszcze niedawno było widać czerwoną kulę słońca, a teraz ziała czarna, bezgwiazdna otchłań.

W ciszy głębokiej jak na dnie studni Archiwum wybuchło światłem.

Tak właśnie mówili później ci, którzy mieli przeżyć tę noc za dnia, choć każdy z nich dodawał też „Tego się nie da opisać”. Jednak próbowali, niezgrabnie dobierając słowa na określenie niemożliwego. Światło było jasne, niemal białe, choć wydawało się też zawierać wszystkie inne barwy. Budynek zmienił się w kulę raniącego oczy blasku i przez chwilę trwał tak, światło

zamrożone w bezruchu niczym uchwycony na kliszy fotograficznej moment eksplozji, wciąż w ciszy, którą po kilku sekundach zmałcił odgłos spadających na miasto wynalazków. Sypały się z nieba jak wcześniej mechaniczne ptaki, z brzękiem wbijając się w lód i kalecząc oszołomionych ludzi. Zbroje i półpancerze, bransolety, naszyjniki, siatki, obroże i kolorowe butelki.

Jeden z hełmów wylądował pośrodku straganu z zakąskami, rozpryskując wokół sos sojowy; kilkadziesiąt butelek z płynem pachnącym goździkami rozbiło się na Schodach Aylena w tym absurdalnym deszczu. Kilka osób nawet zaśmiało się nerwowo.

Gdy na placu Wodnym wylądował ostatni napierśnik, zatrzymana w czasie eksplozja odtajała i kula jaskrawego światła zaczęła się gwałtownie rozszerzać, by połknąć miasto.

Pierwsi jej ofiarą padli ludzie znajdujący się na placu Aylena, przed Archiwum, potem krąg rozdał się, obejmując place Solny i Wodny.

Tellis uśmiechnęła się do Mahamieniego i ścisnęła go za rękę. Wszystko będzie dobrze, chciała skłamać, dając mu ten ostatni prezent. Nie zdążyła jednak, Mahameni zginął w rozbłysku światła, a spomiędzy jej palców posypał się popiół.

Światło objęło Issę, który przywitał je jak dawno wyczekiwaną kochankę, i Pantalekisa, który nie przestał krzyżeć i wygrażać niebu, nawet gdy ludzie wokół niego rozsypywali się w proch.

Kołującej nad Lunapolis Kairze zdało się, że w jaskrawym rozbłysku widzi znikającą z dachu drobną sylwetkę, jednak mogło to być złudzenie, ostatecznie była już naprawdę wysoko i daleko.

Marely stał nieruchomo, jego sylwetka ostro rysowała się na tle okna. Najwyraźniej zdecydował się przyjąć los z podniesionym czołem. Finnen nie miał takiej odwagi. Zamknął oczy. Tak często wyobrażał sobie tę chwilę, a teraz nie potrafił się zdobyć na nic innego, jak tylko kurczowe zaciskanie powiek i powtarzanie w myślach „Proszę”. Nie sądził, żeby Przedksięzycowi go wysłuchali - dlaczego mieliby to zrobić?

A jednak kiedy otworzył oczy, okazało się, że wciąż jest w pokoju, sam.

W blasku eksplozji wszystkie przedmioty miały inne barwy, biel stała się siniofioletowa, soczysta czerwień zbladła do martwej, płaskiej żółci. Upiorne światło docierało do najgłębszych zakamarków, znikły cienie i nagle nie sposób już było właściwie ocenić odległości. Ci, którzy przeżyli, poruszali się w jasności jak ślepcy, z wyciągniętymi przed siebie rękoma wpadając na krzesła i odbijając się od wyrastających im na drodze ścian.

Issa uznał, że wino jest niesmaczne, otworzył więc okno i chlusnął nim na zewnątrz. Naraz naszała go ochota, by wypić ostatnią porcję eliksiru Fabbiniego. Dziwne, płyn był przecież gorzki. Nie zastanawiał się jednak dłużej, po prostu otworzył szufladę biurka, wlał do kielicha zawartość małej buteleczki i wznosił toast. Wypił do dna, nie zwracając uwagi na to, czy mu smakuje, czy nie.

Popiół i leżąca pośród niego zbroja z hełmem w kształcie wilczej głowy - oto, co widział przed sobą Pantalekis. Nic innego się nie liczyło. Nie mógł oderwać oczu od lśniącego metalu. Chciał go dotknąć, pragnął tego bardziej niż czegokolwiek innego na świecie, mocniej nawet niż powrotu do domu i rozwalenia gęby Finnena, który właśnie odleciał w wahadłowcu.

Wyciągnął rękę. Metal w dotyku był kojąco chłodny. Zapraszający i kuszący. Daniel zacisnął szczęki. To idiotyzm myśleć w takiej chwili o wkładaniu jakiegos żelastwa - ostatecznie, w przeciwieństwie do większości ludzi w tym mieście, nie był wariatem...

A jednak myślał o tym z intensywnością równą tej, z jaką alkoholik rozważa wypicie następnego kieliszka, a narkoman wyobraża sobie kolejną dawkę. Niemal czuł na skórze przyjemne mrowienie, wywołane dotykiem chłodnego pancerza.

Poddał się po chwili, zrzucił ubranie - z jakiegoś powodu wydało mu się to właściwe - i pospiesznie zaczął wkładać zbroję. Wydawała się idealnie dopasowana, jakby stworzono ją właśnie z myślą o Danielu. Była piękna i Pantalekis czuł się w niej... obco, właśnie tak, mimo że idealnie na niego pasowała. Uznał to za niepokojąco miłe uczucie. Dobra, zdejmuj to

cholerstwo, nakazał sobie, ale jego zatopione w rozkoszy ciało nie chciało słuchać.

Potem zaczął krzyżeć, kiedy na zdjęcie zbroi było już za późno, a przyjemność zmieniała się w ból.

Kaira też krzyknęła, gdy metalowe igły przebiły skórę i popęły wzdłuż nerwów, wyła i krwawiła na wysokości kilkuset metrów nad ziemią, gdzie nikt nie mógł usłyszeć jej głosu.

Irelle Sirye minęła kilkanaście leżących na schodach wynalazków i zatrzymała się dopiero przy niepozornej bransoletce z miedzi. Impuls, by ją założyć, był tak silny, że kobieta nawet nie próbowała się bronić. Bransoleta zacisnęła się wokół nadgarstka, ból dotarł aż do przedramienia, a Irelle pociemniało w oczach.

Tarrin miał szczęście - tuż przed własnym domem trafił na miecz i tarczę, leżące w błocie z topniejącego śniegu. Jeszcze wczoraj uznałby miecz za zbyt duży i nieporęczny w porównaniu ze smukłą, lekką *darakką*, jednak teraz potrafił już docenić jego piękno. Miecz i tarcza były właśnie takie, jakie powinny być. Przywodziły na myśl brutalną siłę i zarazem zręczność, inteligencję i wolę przetrwania. Gdy Tarrin podniósł je, przekonał się, że idealnie pasują do jego dłoni.

Lia Tistra ścisnęła czoło, na które - sama nie wiedząc czemu - założyła wąską srebrną obręcz. Jaskrawe światło raziło ją w oczy, głowa bolała jak ściśnięta obcęgami. Jęknęła. Chwilę później zimny, wilgotny nos wepchnął się jej pod łokieć i Lia w głębi obolałej czaszki usłyszała głos. Jest dobrze, mówił, ciepło i bezpiecznie. Będzie jedzenie, dużo jedzenia. Trzeba się cieszyć. Spojrzała w dół, ale jedyną istotą, jaką zobaczyła, był merdający ogonem pies.

Przebudzenie zastało Prema Sakai w Kwartale Kandrisa, gdy łagodnymi gestami rozczesywał włosy niedawno zmarłej. Pod jego dłońmi zimne ciało rozgrzało się, a potem drgnęło i dziewczyna otworzyła oczy. Mężczyźnie nie wydało się to w żaden sposób dziwne ani zaskakujące.

Czy kiedykolwiek dorosniesz?, zapytała Kaia Kaiena kobieta o głowie sowy. Nie, odparł, po czym dziecięcą dłonią dotknął jej nagiej piersi. Ale czy taki właśnie nie jestem pociągający? A ona

odpowiedziała, odchylając się do tyłu w strumieniu światła jasnego jak wybuch magnezji: „O tak”.

Iirmi Rejko złapał zrzucony z dachu skrzydlaty pancierz. Należał do niego, wiedział o tym. Lotki splamione były krwią, lecz to mu nie przeszkadzało. Będzie latał tak, jak zawsze o tym marzył.

Kirmin Nerhu bez żalu podpalił wszystkie swoje projekty. Już ich nie potrzebował. To, co najważniejsze, tkwiło w jego głowie. Wiedział, że wkrótce znajdzie okazję, by wykorzystać tę wiedzę.

Mirha Ismis wyciągnęła rękę w stronę młodszego braciszka, który również przeżył Przebudzenie i teraz krążył nad nią na niewielkich skrzydełkach niczym schwytyany w snop blasku tłusty bąk. Będziesz grzeczny?, zapytała, a dziecko odpowiedziało chichotem. Będziesz grzeczny? Chłopiec dławił się śmiechem, kręcąc się w kółko. Mirha podskoczyła i chwyciła go za ramię. Będziesz grzeczny, powiedziała i tym razem nie było to pytanie. Chwyciła małe ciało, gdy osuwało się na posadzkę. Chwilę później braciszek spał już głęboko.

Wszędzie w Lunapolis ludzie kroczyli, potykali się, pełzali w oslepiającej jasności, kierowani nieodpartą potrzebą. Pewien mężczyzna przeszedł pół miasta, zanim wreszcie z ulgą opadł na kolana przy zaopatrzonych w niewielkie skrzydełka sandałach; jedna z kobiet długo szukała pasującej na nią siatkowej koszuli, o której wiedziała, że musi być gdzieś w pobliżu.

Kaira spadła na dach, straciła przytomność i obudziła się niemal w tej samej chwili. Ptasia zbroja paliła ją, jakby metal rozgrzał się pod wpływem słońca - choć słońca przecież nie było. Zdjęła ją, przepełniona wstrętem, i kopnięciem zrzuciła na schody, gdzie wynalazek natychmiast porwał jakiś młody mężczyzna. Usiadła - i wtedy jej dłoń trafiła na plecionkę leżącą na kupce popiołu, która jeszcze niedawno była dziewczynką o imieniu Sura.

Kaira pomyślała, że w przeciwieństwie do ptasiej zbroi ten wynalazek doskonale do niej pasuje.

39

— Żyje? — Cerniglia pochylił się nad młodym chłopakiem w brązowej kurtce.

— Żyje, jest tylko nieprzytomny — odparł Soulele. — Nie zapiął pasów i przeciążenie porządnie dało mu w kość. Zabierzmy go do ambulatorium.

— Myślicie, że on jest z Kerberosa? — Katia niepewnie zmarszczyła brwi. — Ubrany jest dość dziwnie...

— I nie wie, że trzeba zapiąć pasy — dodała podekscytowana Marilia. — Myślicie, że mamy tu prawdziwego Obcego?

— Który wygląda dokładnie tak, jak człowiek, tylko w nietypowym ubraniu? Dajcie spokój.

— A słońce? — wtrącił się Tassos Hairetis, który jako jedyny nie zwracał większej uwagi na nieprzytomnego przybysza. — Jak wyjaśnicie to, co stało się ze słońcem?

40

Dłuższą chwilę trwało, nim Tellis zorientowała się, że to, co ją oślepia, nie jest już bijącym z Archiwum światłem, lecz blaskiem słońca. Zamrugła i powoli, jakby nie była pewna ani własnego ciała, ani świata dookoła, cofnęła się w cień pobliskiej piekarni. Cienie znów istniały, dzięki Przedksiężycowym choć za to.

Było jej nieznośnie gorąco, liczne bluzy, które nosiła, by chronić starcze ciało przed mrozem, teraz grzały ją, jakby nałożyła rozżarzone blachy. Zdjęła je czym prędzej, została tylko w lekkiej koszuli i odetchnęła. Słońce, na które potrafiła spojrzeć jedynie kątem oka, wisiało wysoko na niebie i było żółte - nie czerwone i zimne, jak pamiętała przez całe swoje życie, lecz ciepłociste.

Rozejrzała się. Schody były puste, lekki wietrzyk rozwiewał kupki popiołu. Jedna z takich kupek znajdowała się bardzo blisko; pył uniósł się i zawirował wokół jej stóp. Tellis schyliła się i przesypała pył między palcami. Wzmagający się z każdą chwilą

wiatr porywał go z jej dłoni. Płakała.

— Dziękuję — powiedziała.

Zawdzięczała Mahameniemu to, że ona, skazana na pozostanie w przeszłości, jednak przeżyła Przebudzenie. Dopiero teraz pojęła, co próbował jej powiedzieć.— Byłeś mądrzejszy, niż sądziłam. — Wypuściła spomiędzy palców ostatnie drobiny pyłu. — Szkoda, że nie mogę ci o tym powiedzieć.

Otarła twarz. Łzy zmieszane z sadzą pozostawiły na jej policzkach długie czarne smugi.

Ruszyła przed siebie, nie myśląc o tym, dokąd idzie. Miasto wydawało się opustoszałe, ale przecież jacyś ludzie musieli chyba przeżyć? Nie miała udoskonalonego wzroku, więc blask nowego słońca aż tak bardzo jej nie raził, jednak ci, których oczy przystosowano do półmroku, prawdopodobnie woleli ukryć się aż do wieczora.

Nie wszyscy. Na końcu schodów dostrzegła drobną postać. Chłopiec siedział na szczycie kolumny Pierwszego Prezydenta. Miał skrzydła - nie wynalazek Archiwum, ale prawdziwe skrzydła, wyrastające na plecach spomiędzy podartej koszulki.

Dziecko lekko sfrunęło na ziemię i przyjrzało się Tellis.

— Wyglądasz normalnie — oznajmił z rozczarowaniem chłopczyk. — Widziałem już ludzi z głowami lwów i konie z głowami ludzi, ale ty wyglądasz zwyczajnie. Ja mam skrzydła — pochwalił się. — Ładne, prawda?

— Ładne — przyznała. — Wiesz może, gdzie są inni?

— Niektórzy siedzą na placu Wodnym.

Skinęła głową i zawróciła.

Po największym w Lunapolis placu rzeczywiście kręciło się kilkanaście osób. Część wyglądała zwyczajnie, jak Tellis, ale była tam też jasnowłosa kobieta, której głowa nieustannie zmieniała się z ludzkiej w sówią i odwrotnie. Blondynka chichotała niczym zachwycone nową zabawką dziecko, a w ptasiej postaci wydawała z siebie wysokie, wibrujące dźwięki, które być może stanowiły sowi odpowiednik śmiechu. Obok niej dreptał rozradowany chłopczyk, piękny tak, że nie można było oderwać od niego oczu.

Kapitan zauważyła mężczyznę, który gołymi rękami wyrwał z

fundamentów kamienną fontannę, a potem w zdumieniu patrzył na własne dłonie. Inny od czasu do czasu opadał na kolana, przekształcał się w niedźwiedzia i powarkując cicho, spacerował po placu.

Większość trzymała się podcieni, ale byli i tacy, którzy wychodzili na środek placu i unosząc ludzkie twarze czy zwierzęce pyski, z przymkniętymi oczami chłonęli światło nowego słońca. Odzywali się rzadko, jakby wciąż speszeni własną osobliwością. Jednak widać było, że coś ich ciągnie do siebie, bo na placu wciąż przybywało ludzi.

Trzech młodzieńców, którzy rozpoznali się pośród ocalonych, wybuchnęło śmiechem, zaczęli obejmować się i poklepywać po plecach. Potem jeden z nich - chłopak, który unosił się nad ziemią dzięki przytwierdzonym do stóp maleńkim skrzydełkom - zniknął gdzieś i wrócił obładowany butelkami wina. Zaczęli świętować i stopniowo ich nastrój udzielał się pozostałym. Na placu w powoli zapadającym zmierzchu zapłonęły ogniska, ktoś przyniósł harmonię, a ktoś inny wielkie pudło ciastek o różnych smakach.

Nie wszyscy jednak świętowali. Poza kręgami blasku i radości na krzesłach wyniesionych z domów siedziały samotne, zagubione postacie. Tellis zapamiętała młodą dziewczynę, która tuliła w ramionach psa, i drugą, która wyciągała przed siebie rękę i z wyrazem oszołomienia patrzyła na pełgający po niej płomień.

— Miałam bransoletę — powiedziała, bardziej do samej siebie niż przechodzącej obok kapitan. — Podniosłam ją i założyłam, a ona zniknęła, jakby się wtopiła w skórę. A teraz, proszę.

Przy jednym z ognisk Tellis zauważyła Issę. Cofnęła się odruchowo, zaraz jednak uświadomiła sobie, że skoro mężczyzna nie poznał jej podczas ich dwóch ostatnich spotkań, to prawdopodobnie nie pozna jej i teraz. Bardzo się zmieniła od czasu, gdy rozmawiali po raz ostatni.

Po chwili wahania zbliżyła się więc do ognia, przy którym na drewnianej ławie siedzieli Issa oraz jego bracia - rozpoznała ich bezbłędnie, bo twarze z fotografii, które tyle razy oglądała, mocno wryły jej się w pamięć. Żaden z nich na pierwszy rzut

oka się nie zmienił, jedynie tłusty Ankis w blasku padającym z ogniska chwilami niebezpiecznie przypominał różową, radośnie pochrzającą świnkę, lecz równie dobrze mogła to być gra świateł. Na ziemi, z głową na kolanach Maroutiego, przysiadła dziewczynka, pewnie Ellona. Ojciec leniwie przeczesywał dłońmi jej włosy.

Tellis podeszła jeszcze bliżej, udając, że chce ogrzać sobie dłonie, bo pod wieczór temperatura wyraźnie spadła. Tak jak się spodziewała, nikt nie zwrócił na nią uwagi, tylko Janadra odruchowo przesunął pudło z ciastkami, mruknął „proszę” i natychmiast stracił nią zainteresowanie.

— Widzisz — Marouti mówił triumfująco do Issy — tyle czasu poświęciłeś swojej córce, kształtowałeś ją jak dzieło sztuki i przedobrzyłeś. Zgubiła cię twoja dusza artysty. Tak strasznie wszystko komplikowałeś, a tu potrzebna była prostota. Moja córka mnie kocha i z miłości do mnie zabiła Przedksiężycowych. To takie proste, prawda?

— Nie zabiłam — zaprotestowała dziewczynka. — Uwolniłam ich. Mówiłam już przecież. A oni na pożegnanie dali nam prezent.

— Prezent? — Issa zmarszczył brwi.

— Słońce — wyjaśnił Marouti, wciąż przeczesując włosy córki, lecz teraz ów gest wskazywał nie tyle na czułość, ile na pobłażliwe lekceważenie. — Ellona uważa...

— Mniejsza z tym. — Issa miał spokojną twarz, lecz Tellis nie bez satysfakcji zauważyła, że jego dłonie lekko drżą. — W tej chwili powinniśmy się raczej zastanowić, co dalej.

— Jeśli o mnie chodzi, nie zamierzam zostać w tym mieście dłużej, niż to konieczne — oznajmiła Darika, podchodząc do reszty rodzeństwa. Jej ruchy stały się jeszcze bardziej kocie, w twarzy też było coś, co nieuchwytnie kojarzyło się z tym zwierzęciem. — Znudziło mi się Lunapolis.

— A dokąd chcesz pójść? Na pustynię? — zgryźliwie zapytał Ankis.

— Odlecę stąd — odparła z niezmaconym spokojem. — Issa ma przecież swojego słodkiego, brzydkiego przyjaciela z innego świata, a nad nami krąży w tej chwili statek, który po niego

przyleciał. Jak myślicie — uśmiechnęła się, ukazując drobne zęby

— zabierze nas ze sobą, jeśli ładnie poprosimy?

— Brzydala już tu nie ma, wszyscy widzieliśmy, jak na niebie pojawił się pojazd, a potem wylądował gdzieś w mieście. Pantalekis pewnie do niego wsiadł — sucho przypomniał Issa, lecz kobieta nie dała się zbić z tropu.

— Wcale nie. Rozmawiałam z dziewczyną, która była na placu Wodnym w czasie lądowania, i ona powiedziała, że do pojazdu rzeczywiście wsiadł jakiś chłopak, ale potem przybiegł mężczyzna, który krzychał, że to on powinien odlecieć, bo pochodzi z innego świata. I co wy na to? — Powiodła po zebranych spojrzeniem, sprawdzając, jaki efekt wywarły te słowa, i na moment jej wzrok zatrzymał się na Tellis. Kapitan chwiejącymi się zębami ugryzła ostrożnie ciastko i odpowiedziała obojętną miną osoby, która z nudów słucha mało interesującej rozmowy.

Marouti zaśmiał się nieoczekiwanie.

— I pomyśleć, Issa, że na początku chciałeś go zabić. A teraz może nie będziemy się mogli obejść bez tego brzydala.

— Chciałem go zabić — Issa był już wyraźnie rozdrażniony — bo Pantalekis to żywy dowód na to, że Przebudzenie już kiedyś się zdarzyło. Jak bowiem inaczej wytłumaczyć to, że przeżył w pierwszej odrzuconej przeszłości? Nie mogłem pozwolić, żeby Kaira się o nim dowiedziała.

— Przedobrzyłeś, ot, co — uzupełnił Marouti.

Tellis zgarnęła z pudła garść ciastek i cicho wycofała się w mrok.

41

Dzieci się nie zmieniają, pomyślała chwilę później, wręczając chłopcu w podartej koszuli lukrowany pierniczek. Niezależnie od tego, czy mają skrzydła, czy nie, są tak samo wszędobylskie i pełne niespożytej energii.

Te cechy działały teraz na jej korzyść, bo już po półgodzinie jej

zwerbowani mali wywiadowcy przynieśli informacje o kilku brzydkich jasnowłosych mężczyznach, którzy przeżyli Przebudzenie. Pierwszy z nich okazał się kobietą o męskim typie urody, drugi był za młody, a trzeci mówił z tak silnym skadrańskim akcentem, że cudzoziemcem żadną miarą być nie mógł. Lecz za czwartym razem Tellis trafiła w końcu na Daniela Pantalekisa, który w gęstniejącym mroku siedział na Schodach Siepaczy.

O dziwo, w towarzystwie Kairy.

— Kapitan Tellis — powiedział na jej widok, podnosząc głowę znad wyskrobywanej z garnka masy, która niegdyś mogła być zapiekanką ze słodkich ziemniaków i gołębiego mięsa. — Ta bystra i wścibska, co? No proszę, sami znajomi, do kolekcji brakuje jeszcze tylko Issy. Tę tutaj — brodą wskazał Kairę — znalazłem na placu Zonglerów, kiedy łąziła dookoła i wypytywała wszystkich o swojego kumpla Finnena. Wiesz, że ten mały zdradliwy sukinsyn wlaź do mojego wahadłowca?

— Wiem — zaskoczyła go Tellis. Po chwili wahania usiadła obok na chłodnych stopniach, wciąż wilgotnych od roztopionego śniegu, i rozmasowała kolano.

Dziwne, od Przebudzenia czuła się zdecydowanie lepiej i nie sądziła, aby miała jeszcze się zestarzeć czy, tym bardziej, umrzeć, lecz od czasu do czasu jej ciało jakby przypominało sobie, że jest stare, i dawało o tym znać a to bólem krzyża, to znów strzykaniem w stawach.

— Wyrwę mu flaki przez gardło, kiedy go zobaczę — oznajmił Pantalekis, oblizując łyżkę.

Kaira potrząsnęła głową.

— Nie zrobisz tego — powiedziała.

Daniel warknął, jego twarz wydłużyła się w wilczy pysk. Niemal jednocześnie sylwetka czarnoskórej dziewczyny rozmasała się, a na jej miejscu pojawiła się barczysta męska postać. Trwało to ledwie ułamek sekundy, potem oboje wrócili do dawnego wyglądu. Kapitan nawet nie drgnęła - w ciągu ostatnich godzin zdążyła przywyknąć do bardziej dziwnych widoków.

Pantalekis i Kaira mierzyli się spojrzeniami i to on pierwszy

odwrócił wzrok.

— Sukinsyn zabrał moją radiostację — wymamrotał. — Gdybym tylko wiedział, gdzie ona jest i jak ją uruchomić...

— Nie działają już żadne maszyny — zwróciła uwagę dziewczyna. — Nie możesz niczego zrobić.

Kapitan odruchowo chciała jej przyznać rację, ale zamiast tego w wyćwiczonym w przeszłości odruchu rozejrzała się dookoła. Nie czuła się najlepiej, gdy siedzieli na otwartej przestrzeni w niemal całkowitej już ciemności. Choć z drugiej strony, co im mogło grozić? Oba budynki ciągnące się wzdłuż Schodów Siepaczy wydawały się puste i martwe, ostatni lokatorzy albo zginęli w czasie Przebudzenia, albo świętowali teraz przy ognisku na któryś z placów.

Jakby na przekór myślom Tellis w jednym z okien na parterze zapłonął nikły blask. Przez szybę przesunął się cień wysokiego mężczyzny, potem wszystko znikło.

Świetliki, uświadomiła sobie kapitan. Jak mogliśmy o nich zapomnieć?

— Nie działają maszyny, które czerpały energię z oleju skalnego — powiedziała, odwracając się w stronę Pantalekisa i Kairy. — Te, które - jak świetliki - mają baterie solarne, wciąż są sprawne. Daniel, pamiętasz, co Finnen robił z twoją radiostacją? Nadawał wiadomości z najniższej rzeczywistości, tak? A radiostacja powinna być wysoko, prawda? W miejscu, skąd łatwo wysłać sygnał. I gdzieś w pobliżu Archiwum, bo nie sądzę, żeby Finnenowi za każdym razem po zejściu w przeszłość chciało się biegać przez pół wymarłego miasta. Możemy więc przeszukać dachy najbliższych budynków. Jeśli nie były przebudowywane, mechanizm mógł ocaleć. Co mamy do stracenia?

Nie musiała ich przekonywać, oboje ochoczo zerwali się ze stopni. Zapadła już noc, ale na niebie wzeszły dwa z trzech księżyców, które dawały wystarczająco dużo światła, by Kaira i Pantalekis widzieli całkiem nieźle. Tylko Tellis w mroku była niemal ślepa, uznała jednak, że nic jej nie grozi, jeśli tylko będzie iść wolno i trzymać się blisko swoich towarzyszy.

Daniel ruszył w dół schodów z garnkiem w garści.

— Nie sędzę, żebyśmy w ogóle musieli jeść — zwróciła mu uwagę kapitan. — Ja nie jadłam nic od Przebudzenia i czuję się świetnie.

— Lubię jeść — warknął.

Gdy zmierzali w stronę Archiwum, Kaira odciągnęła Tellis do tyłu.

— Skąd się znacie?

— Długa historia, opowiem ci, jak znajdziemy trochę czasu. Ciebie też znam.

Dziewczyna nie zapytała skąd, jak zrobiłaby większość osób na jej miejscu. Zamiast tego potrząsnęła głową.

— Myśli pani...

— Tellis.

— W porządku, Tellis. Myślisz, że Przebudzenie dotarło aż do krążącego nad nami statku?

— Nie sędzę.

— Ale nie jesteś pewna, prawda? A to by oznaczało, że oni wszyscy tam, w górze, są martwi.

— Tak — przyznała kapitan.

— W takim razie to nie ma sensu... Swoją drogą, czemu mu właściwie pomagasz?

— Pantalekisiowi? A czemu ty to robisz?

Dziewczyna wzruszyła ramionami w ciemności.

— Przez całe życie wydawało mi się... — zaczęła cicho. — Zresztą mniejsza z tym. Teraz i tak nic nie ma znaczenia.

Tellis zrozumiała. Kairze było wszystko jedno, czy Pantalekis wróci do domu, czy nie, nawet czy znajdą Finnena. Zależało jej tylko na tym, by zająć się czymkolwiek, by nie zostać sam na sam ze swoimi myślami. Nieoczekiwanie poczuła przypływ współczucia dla tej dziwnej dziewczyny. Tyle czasu spędziła, czytając o niej, że teraz miała wrażenie, jakby знаła ją lepiej niż własną córkę.

— Ja mu pomagam, ponieważ twoja ciotka ma rację, to już nie jest nasze miejsce. I ponieważ wciąż jeszcze nie zrobiłam tego, co sobie zamierzyłam. Czujesz się teraz paskudnie, prawda? Cóż, czułam się tak samo, kiedy zostałam w przeszłości. Ale miałam cel, który podtrzymywał mnie przy zdrowych zmysłach.

Ty też potrzebujesz celu, Kairo. Na przykład tego samego, jaki mam ja.

Dziewczyna chciała coś powiedzieć, ale zbliżył się do nich Pantalekis, zrezygnowała więc, a Tellis posłała w ciemność pokrzedający uśmiech.

Słońce już wzeszło, gdy wreszcie znaleźli radiostację. Obudowa była poobijana, jednak mechanizm w środku ocalał. Tellis w duchu wyraziła podziw dla solidności wykonania, po czym uruchomiła urządzenie.

Kaira usiadła w cieniu, mrużąc oczy przed słońcem. Pantalekis założył słuchawki.

— Halo — powiedział. — Jest tam ktoś? Tu Daniel Pantalekis z załogi statku „Optymista”. Odezwijcie się!

Kapitan podeszła do krawędzi dachu. Po nocy pełnej zabawy miasto pod jej stopami znów zamierało w bezruchu. Ocaleni pochowali się w domach, tylko gdzieś widać było krzątające na schodach i placach ludzko-zwierzęce postaci. Topniejący śnieg spływał rynnami i bulgotanie w rurach było jedynym dźwiękiem, jaki docierał na dach. Lunapolis ucichło jak miasto z przeszłości, lecz w tej ciszy nie czuło się już martwoty, wręcz przeciwnie, ciepło jasnego słońca i unoszący się w powietrzu zapach kwiatów zimnorośli niewątpliwie oznaczały życie.

Za jej plecami Pantalekis krzychał do mikrofonu w języku, którego nie rozumiała.

— Halo, halo! — wołał. — Jesteście tam? Odezwijcie się, kurwa mać!

W słuchawkach zachrypiało i dystyngowany głos napełnił serce Daniela błogością.

— Nie ma potrzeby używać takiego słownictwa. Słyszemy cię, Pantalekis. Czy możesz nam wyjaśnić, kogo w takim razie zabraliśmy z powierzchni planety?

— To tubylec, nie dogadacie się z nim.

— To już wiemy — tym razem głos był zdecydowanie kobiecy.
— Jakim cudem na tej planecie w ogóle znaleźli się ludzie? Czemu najpierw wyglądała na opuszczoną, a potem nagle okazała się zamieszkaana? I jak...

W słuchawkach znów rozległy się trzaski i ciche szepty.

Pantalekis zrozumiał jedynie „... nie teraz, później...”.

Tellis podeszła do niego i powiedziała coś cicho. Daniel podniósł na nią wzrok.

— Jesteś pewna?

Przytaknęła.— Zejdźcie na powierzchnię — zaproponował do mikrofonu.

— Porozmawiamy.

— Nie możemy zejść na dół. Jeden z naszych ludzi omal nie stracił tam życia.

— Teraz jest tu bezpiecznie! Ja żyję i z wami rozmawiam, nie? Zejdźcie. — Zerknął jeszcze raz na Tellis, a ona, domyślając się treści rozmowy, ponownie skinęła głową. — Gwarantuję, że nikomu nic się nie stanie.

— Zastanowimy się nad tym. Ciekawe, jak nam wyjaśnisz, że cofnęliśmy się w czasie o dwieście tysięcy lat?

42

— Co robimy? — zapytała Marilia, kiedy na ekranie zgasł zielony kwadrat oznaczający otwarty kanał komunikacyjny. — Naprawdę chcecie tam zejść? Hairetis omal nie...

— Ale Pantalekis żyje, prawda? — Katię niełatwo było wystraszyć. — I mamy pewność, że to człowiek z Kerberosa, żaden Obcy nie mówiłby z tak koszmarnym slumsowym akcentem jak ten facet. A jeśli on ma się dobrze, to dlaczego coś miałyby stać się nam? Hairetis, co o tym myślisz?

Oficer łącznikowy milczał. Nie miał pojęcia, co stało się na planecie, ale wiedział jedno. Nie chciał tam wracać. Za każdym razem, gdy zamykał oczy, widział pod powiekami miasto poruszające się cicho pod warstwą tysiącletniego kurzu.

— Obudzimy pułkownika Alvareza — zdecydował Cerniglia — i przedstawimy mu sytuację. Jeśli uzna, że jego oddział specjalny może lądować, to zejdziemy na dół, oczywiście przy zachowaniu wszelkich możliwych środków bezpieczeństwa, w skafandrach i z żołnierzami u boku.

— Mówiąc „zejdziemy”, ma pan na myśli kogo?

— Mnie oraz tego, kto będzie miał na to ochotę.

— Nie może pan tego zrobić...

— Mogę i zrobię. Kontakt z odnalezioną po latach cywilizacją, zwłaszcza tak niezwykłą jak ta, wymaga obecności kapitana. Poza tym będę przecież miał obstawę, a na najmniejszy sygnał złego samopoczucia zaraz zabierzecie mnie na górę. Gdyby doszło do najgorszego, będziecie mogli poprowadzić statek na Ziemię bez mnie.

Tassos Hairetis pojął, że Cerniglia nie odpuści, i nawet rozumiał, jakie motywy kierują dowódcą. Jeśli trafili na ślad zagubionej ludzkiej kolonii, ten, kto pierwszy się z nią porozumie, przejdzie do historii. Kapitan z pewnością nie zamierzał przepuścić takiej okazji. Hairetis być może jeszcze niedawno postąpiłby podobnie. Niedawno...

Zamknął oczy i nie musiał czekać, aż pojawi się znajomy obraz. Cieszył się, że Cerniglia dodał owo „kto będzie miał ochotę”.

— A co z chłopakiem? — Marilia kilkoma stuknięciami w klawisze wywołała na ekranie raport medyczny. Wynikało z niego, że ich niespodziewany gość ma około dwudziestu lat i jest fizycznie całkowicie zdrowy, choć zdradza pewne objawy przemęczenia. Nic nie wskazywało - to zdanie Soulele podkreślił - na jego pozaziemskie pochodzenie.

— Zabierzemy go ze sobą — uznał Cerniglia.

43

— Dwieście tysięcy — mówił Pantalekis, podczas gdy głos wydobywający się z jego gardła stawał się coraz bardziej zniekształcony i mniej ludzki. — Wyjaśnij mi to!

Ostatnie słowo przeszło w warkot, twarz Daniela wyciągnęła się w wilczy pysk. Tellis cofnęła się o pół kroku, a Kaira, znów w postaci barczystego mężczyzny, zjawiła się natychmiast i stanęła pomiędzy nią a zwierzęciem.

— W porządku — powiedziała kapitan. — Dziękuję. Poradzę sobie.

Zamiast się bać, pomyślała o Mahamenim. Gdyby życie było sprawiedliwe, jej przyjaciel stałby się takim właśnie zwierzo-kształtnym.

Pantalekis zmienił się z powrotem, Kaira przybrała własną postać. Tellis otarła pot z czoła i zerknęła na córkę Issy. Jednak dziewczyna wciąż potrafiła ją zaskoczyć; w jednej chwili wydawała się wycofana, jakby nic jej nie obchodziło, a w drugiej reagowała szybko i zdecydowanie.

— Nie potrafię ci tego wyjaśnić — kapitan zwróciła się do Daniela. Starła się mówić spokojnie, choć pot zalewał jej oczy, czy to z powodu gorąca, czy jednak strachu. Odetchnęła. Daniel wpatrywał się w nią w bezruchu, jego pięści były zaciśnięte, wyczuwała w nim jednak więcej dezorientacji niż wściekłości.

— Nigdy nie wrócę do domu — powiedział.

— Na to wygląda — przyznała, zastanawiając się przez chwilę złośliwie, czy człowiek taki jak Pantalekis w ogóle ma dom pojmowany inaczej jak tylko miejsce zamieszkania. Nie wyobrażała go sobie otoczonego gromadką dzieci. — Ale czy naprawdę chciałbyś tam wrócić? Czy w twoim świecie są zmiennokształtni? Nie ma, prawda? A to oznacza, że dla twoich rodaków byłbyś dziwadłem, co najwyżej cyrkową atrakcją albo laboratoryjnym szczurem...

— Wiem — warknął.

— Jesteś teraz jednym z nas. — Patrzyła, jak ta prosta prawda do niego dociera. — Czy to ci się podoba, czy nie, jesteś jednym z nas.

44

Brin Issa zamknął okiennice, by ochronić oczy przed światłem słonecznym, i rozciągnął się na łóżku. Dom bez Niraja oraz służby był tak cichy, że działało mu to na nerwy; rozważał nawet przeniesienie się bliżej centrum. Tutaj nic go nie trzymało, żaden z przedmiotów, które jeszcze do niedawna darzył sentymentem, teraz nie miał dla niego znaczenia. Z drugiej strony, po co miałby się przenosić? I tak przecież nie

zostanie w Lunapolis zbyt długo.

Zasypiał już, gdy w sypialni pojawiła się szczupła, jasnowłosa i piegowata dziewczyna. Przypomniawszy sobie, że nie zamknął drzwi na klucz; zresztą nie miało to sensu w mieście, w którym mieszkańcy potrafili zmieniać kształt, rozbijać ściany gołymi dłońmi czy przenikać mury.

Dziewczyna była ładna, niezupełnie w typie, jaki lubił, ale zdecydowanie ładna.

— Mam nadzieję — powiedział — że nie chcesz mnie zabić. Byłbym bardzo rozczarowany, gdyby o to chodziło.

— Nie dlatego przyszedłam — odparła. — Mam na imię Mirha i tak się składa, że zawsze lubiłam łóżka.

Przyglądał jej się przez chwilę. Czy mogła być w jakiś sposób niebezpieczna? Być może, ale Issa zdawał sobie sprawę, że dawne środki ostrożności nie na wiele zdadzą się w tym nowym świecie, którego reguł nikt jeszcze nie znał.

Ponadto uznał, że po wszystkim, co ostatnio przeszedł, zasługuje na odrobinę odprężenia, i miał ochotę zaryzykować. A słowa piegowatej brzmiały szczerze.

Odsunął się, robiąc jej miejsce obok siebie.

45

Finnen zbudził się w pomieszczeniu, które miało monotonicznie szary kolor. Podłoga koloru owsianki, o ton ciemniejsze ściany, szare łóżko i szara pościel. Cóż, ludzie z gwiazd najwyraźniej pozbawieni byli dobrego gustu.

Włożył spodnie oraz kurtkę, jedno i drugie dla odmiany zielone, choć uszyte bez pomysłu, z naciskiem wyłącznie na praktyczność. Nie miał pojęcia, gdzie jest jego własne ubranie - biorąc pod uwagę stan, w jakim się znajdowało, ludzie z gwiazd prawdopodobnie wyrzucili je i nie mógł mieć im tego za złe.

Stopy wsunął w buty tak miękkie, że wątpił, aby były przeznaczone do chodzenia po mieście. Gdy zapiął rzepy, drzwi rozsunęły się i stanęła w nich kobieta o imieniu Marilia. Słowo, które wypowiedziała, było dla Finnena niezrozumiałe, jednak

jej gest nie pozostawiał wątpliwości - chciała, aby chłopak za nią poszedł.

Zaprowadziła go do pomieszczenia, w którym znajdowali się pozostali ludzie z gwiazd. Finnen znał już ich imiona, lecz przedstawienie się sobie nawzajem było jedynym sukcesem, jaki zdołali osiągnąć podczas konwersacji. Katia, którą pamiętał z wczorajszego dnia, znów posłała mu spojrzenie pełne rozbawienia i czegoś, co mogło być uznaniem, po czym uniosła kciuk. Finnen domyślał się, że ten gest oznacza życzenie powodzenia.

Pozostali odnosili się do chłopaka ze znacznie większym dystansem, zwłaszcza od chwili, gdy zorientowali się, że przybysz nie mówi ich językiem. Nie dziwił się im, ale też nie żałował tego, co zrobił. Ostatecznie, ilu lunapolitan miało szansę zobaczyć wewnątrz gwiazdnego statku?

Marilia zaprowadziła go do kolejnego pomieszczenia, gdzie czekało dziesięciu uzbrojonych mężczyzn, a przynajmniej Finnen domyślał się, że to, co trzymają w dłoniach, jest właśnie bronią. Nosili skafandry i hełmy. Katia i człowiek o imieniu Cerniglia przebrali się w podobne stroje, po czym ruszyli w stronę otwartej śluzy. Weszli do pojazdu, tego samego, którym Finnen przyleciał na statek. Cerniglia gestem nakazał mu zapiąć pasy, a gdy chłopak nie potrafił sobie poradzić, skinął na jednego z żołnierzy, by zrobił to za niego.

Potem Cerniglia długo rozmawiał z Marilią i Hairetisem. Finnen miał wrażenie, że tamci przestrzegają go przed czymś, wyglądali zresztą na mocno zaniepokojonych. Wreszcie Marilia i Hairetis odeszli, śluza została zamknięta, a Cerniglia i Katia zajęli miejsca w fotelach.

Finnen przymknął oczy w oczekiwaniu na gwałtowne przyspieszenie, a po chwili, gdy okazało się, że przy zapiętych pasach jego organizm znosi je całkiem dobrze, uniósł powieki. Lecieli.

Lunapolis pojawiło się pod nimi, maleńkie z tej wysokości, jakby zbudowano je z dziecięcych klocków. W jasnym świetle słońca budynki, które Finnen pamiętał jako czarne, nabrały cieplejszej barwy. Wydawały się teraz złocistobrazowe, tak iż

po raz pierwszy w życiu chłopak pomyślał, że miasto można uznać za ładne - nie interesujące, dziwaczne czy fascynujące, ale zwyczajnie ładne.

Widział już sieć schodów i największe place - na Wodnym widać było jakby rozpostartą kolorową płachtę. Markiza jednej z budek? Nie, była zdecydowanie zbyt duża.

Namiot, domyślił się, to jest namiot.

Zgromadzone wokół postacie rosły w oczach, Finnen dostrzegł już ich niezwykłość: skrzydła, zwierzęce głowy i sylwetki. Lecz nie to zrobiło na nim największe wrażenie. Tam, w dole, ludzie byli inni i piękni, wszyscy bez wyjątku, nawet pomarszczona staruszka i rozpoznawalny mimo odległości Pantalekis, stojący przy wejściu do namiotu.

Jakby patrzył w twarze Przedksiężycowym.

Musiał mieć osobliwą minę, bo siedzący obok Cerniglia niespodziewanie się nim zainteresował. Powiedział coś, a chłopak domyślił się, że jest to pytanie: „Dobrze się czujesz?”.

Odwrócił głowę, zaciskając usta.

Wylądowali na placu, silniki zgasły. Z pojazdu pierwsi wyszli żołnierze. Finnen rozpiął pasy i przyglądał się, jak sprawdzają namiot, a potem dają znak dowódcy. Cerniglia i Katia wysiedli. Na zewnątrz czekali już na nich Pantalekis, stara kobieta oraz eskorta złożona z dziesięciu Skadran. Z namiotu wychylała się twarz jasnowłosej piegowatej dziewczyny.

Pozostali lunapolitanie stali dalej w pełnej napięcia ciekawości, oddzieleni od namiotu jaskrawoczerwoną taśmą. Tłum na placu był tak gęsty, że pomiędzy ludzi nie dałoby się wcisnąć nawet szpilki, a ci, którzy się nie zmieścili - lub liczyli na lepszy widok - obsiedli dachy, okna, nawet konstrukcję budynków. Kilkoro skrzydlatych dzieci krążyło nad placem, jedno z nich usiadło okrakiem na szybko oddającym ciepło gwiazdnym pojeździe i chichocząc, przywoływało kolegów.

Cerniglia i Katia weszli do namiotu. Finnen chciał pójść w ich ślady, jednak staruszka powstrzymała go.

— Ty zaczekaj tutaj. W środku i tak na nic się nie przydasz.

Chciał zaprotestować, jednak jego uwagę odciągnęło zamieszanie w tłumie. Ktoś przepychał się przez ciżbę, która

reagowała, zwierając szeregi i posykując w oburzeniu.

— Przepuście mnie, ja muszę... do cholery, ludzie, zróbcie trochę miejsca.

Ku swemu zdumieniu Finnen rozpoznał głos Ankisa. Chwilę później mężczyzna, rozczochrany i w rozpiętej kamizelce, przepechnął się do pierwszego szeregu. Chwycił czerwoną taśmę i już miał ją podnieść, gdy ktoś z tyłu szarpnął go za ramię.

Za plecami Ankisa stał Issa, którego chłopak jakimś cudem wcześniej nie dostrzegł.

— Daj spokój, wszystko idzie zgodnie z planem — powiedział ojciec Kairy.

— Jak to... a Pantalekis?

— Wszystko jest w porządku. Daj spokój.

Ankis umilkł, a Issa cofnął się głębiej w tłum. Finnen bez namysłu zanurkował za nim. Chciał zapytać, czy mężczyzna widział może Kairę - żaden inny pomysł, jak znaleźć dziewczynę w tej ciżbie, nie przyszedł mu do głowy.

— Proszę zaczekać! Brinie Isso!

Stracił ojca Kairy z oczu, przystanął i zaraz gdzieś z boku mignęły mu charakterystyczne czarne włosy. Zwrócił się w ich kierunku, mamrocząc przeprosiny i odbierając w zamian kukuśnia. Zupełnie jak wcześniej, gdy przedzierał się do kosmicznego statku - opanowało go uczucie *déjà vu*, które szybko znikło, roztopione w gorącu i duchocie. Był niższy niż spora część gapiów w tłumie, a ich nieludzkie piękno wciąż go przytłaczało. Starał się omijać wzrokiem twarze jaśniejsze niezwykłą urodą, ale i tak nie dało się ich nie dostrzec.

— Brin Issa! — krzyknął, wyciągając dłoń.

Szarpnięta za ramię osoba odwróciła się i Finnen ujrzał Kairę. Ubrana była dokładnie jak Issa, choć oczywiście jej włosy były białe, nie czarne. Jakim cudem ich pomylił?

Bez słowa chwyciła go za rękę i poprowadziła poza tłum, w podcienia wieży Ekwilibrium.

— Szukałem cię — powiedział. — Widziałem twojego ojca...

— Jeszcze przed chwilą chciał zapytać ją o mnóstwo rzeczy, ale nagle zabrakło mu słów. Kaira też była inna i piękna, tak piękna, że z trudem potrafił na nią patrzeć. Odwrócił wzrok.

Dziewczyna opacznie odczytała ten gest.

— Słońce cię razi? Mamy tu człowieka, który potrafi leczyć przez dotyk. Zaprowadzę cię do niego, kiedy minie całe to zamieszanie, i poprawi ci wzrok.

— Leczenie przez dotyk? Sporo straciłem, co? — Miało to zabrzmieć lekko, lecz we własnym głosie usłyszał gorycz.

— Chyba tak. — Kaira pozostała poważna. — Z drugiej strony gdybyś został, prawdopodobnie byś już nie żył.

— Ależ ja przeżyłem — zaprotestował. — Drugi ja. Wiedziałbym, gdyby on umarł. Nie widziałas go?

— Drugiego ciebie? Nie, przykro mi. — Dziewczyna była uprzejma i zdystansowana. Nie potrafił niczego wyczytać z jej twarzy, widział tylko tę przerażającą i jednocześnie piękną obcość.

— O czym oni rozmawiają w tym namiocie? — zapytał, by powiedzieć cokolwiek.

Wzruszyła ramionami.

— To nieważne. Liczy się, kim są. To nie jest zwykły statek handlowy czy badawczy. Ci ludzie lecą na planetę, która była ich ojczyzną, a potem została zniszczona. Chcą zasiedlić ją ponownie, mają na pokładzie osadników, a także nasiona roślin i zwierzęce embriony, żeby wznović cykl życia.

— Skąd wiesz?

— Od ich dowódcy, oczywiście. Powiedział to, gdy tylko wszedł do namiotu, a Pantalekis przetłumaczył.

— Przecież nie mogłaś go usłyszeć.

Roześmiała się ze swobodą, za którą niemal ją znienawidził.

— Ja nie, ale chłopak, który stał niedaleko namiotu, słyszy szept z odległości setek metrów. Masz rację, Finnen, sporo straciłeś.

Tassos Hairitis zbudził się z kolejnej drzemki, która nie przyniosła odprężenia. Co tym razem mu się śniło? Znowu miasto pod pierzyną kurzu? Skupił się. Nie, tym razem to było coś

innego, nawet bardziej niepokojącego.

Potarł zeszytniały kark i ostrożnie poruszył stopami. Wciąż był osłabiony, a co gorsza, własne ciało momentami wydawało mu się obce, jakby nie do końca potrafił uwierzyć, że jednak wrócił do zdrowia. Wciąż też miał wrażenie, że w dowolnej chwili może znów zacząć się rozpadać od środka. Po każdym gwałtownym ruchu zamierał ze strachu, każde kasznięcie sprawiało, że wpadał w panikę.

Nonsens, skarcił samego siebie, cokolwiek zdarzyło się na planecie, nie mogło już go osiągnąć. Był bezpieczny, zwłaszcza że przesłany przez Cerniglię raport brzmiał nader optymistycznie: tubylcy wydawali się nastawieni przyjaźnie i nikt z Nowych Ziemi jak dotąd nie zachorował. Wszystko szło dobrze, tak dobrze, że w gruncie rzeczy samo to budziło niepokój.

W interkomie zatrzeszczało i rozległ się głos Marilii:

— Dość wylegiwania się, Tassos. Wracają.

Hairetis zeskoczył z łóżka i ruszył na mostek, gdzie czekali Marilia i Soulele.

— Wszystko w porządku — uspokoiła go od razu kobieta. — Nawiązali kontakt, są cali i zdrowi. Otwieram śluzy.

Cerniglia, Katia i wojskowi wchodzili na pokład, zdejmując hełmy i rozpinając skafandry. Tassos szukał na ich twarzach oznak choroby i może czegoś jeszcze - na przykład, że w jakiś sposób zostali sterroryzowani przez tubylców. Diabli wiedzą, do czego tutejsi ludzie - jeżeli to w ogóle są ludzie - byli zdolni. Niczego takiego nie znalazł. Katia i kapitan wyglądali zupełnie zwyczajnie. Choć... nie do końca. Dlaczego Katia nic nie mówi? Czemu nie klnie, narzekając na gorąco w skafandrze, nie wspomina, co zdarzyło się na planecie? Czemu Cerniglia nie sprawia wrażenia podekscytowanego nawiązaniem kontaktu z obcą cywilizacją?

— I jak? — Marilia ruszyła do przodu. — No dalej, opowiadajcie!

Hairetis złapał ją za ramię i ścisnął. Soulele, który w tym samym momencie pojął, że coś jest nie tak, krzyknął „Czekaj!”. Było jednak za późno. Katia wyciągnęła dłoń i dotknęła czoła Marilii, która osunęła się na ziemię. Tassos cofnął się. Broń,

dlaczego u licha oficerowie na tym statku nie nosili broni?

— Kim jesteście? — wychrypiał.

Cerniglia - a przynajmniej istota, która wyglądała jak on - podchodził do niego nieubłaganie.

— Nie zbliżaj się — warknął Hairetis. — Nawet nie próbuj...

Odwrócił się, sięgając do przycisku uruchamiającego procedurę alarmową. Nie zdążył. Chłodna dłoń dotknęła jego karku i Tassosowi pociemniało w oczach. To jest to, pomyślał, cokolwiek znajduje się tam, na dole, wreszcie mnie dopadło. Rozpadam się. Spazmatycznie łapiąc powietrze, kaszlnął, ale ku własnemu zdziwieniu wypluł na dłoń tylko odrobinę śliny. Klęczał, w głowie mu się kręciło. Ktoś pochylił się nad nim, twarz ni to męska, ni kobieca. Urodziwa na swój sposób, choć jednocześnie niesamowicie obca. Wróciło wspomnienie zagrzebane tak głęboko, że w innych okolicznościach nigdy by do niego nie dotarł, wróciły czytywane w dzieciństwie książki o dawnych ziemskich mitach. Bogowie, pomyślał. Piękni, skrzydlaci i władający mocami, o jakich ludzie mogli tylko marzyć.

To oni dziś mu się śnili, a teraz widział ich na własne, coraz bardziej zamglone oczy.

47

Finnen nie potrafił zasnąć tej nocy. Leżał najpierw w ciepłym mroku samotnie, a potem obok Kairy, która wróciła nad ranem. Gdy wśliznęła się do łóżka, zbudzone ruchem świetliki zawisły nad jej głową. W ich blasku wyglądała jak Issa, potem jak Dime, a wreszcie jak Nalle, Hannen, Arikol, Niraj, Noora... Oblicza zmarłych i żywych płynęły pod jej skórą, pojawiając się na moment jak liście kotłujące się w nurcie rzeki. Finnen wstrzymał oddech.

Czasem Kaira stawiała się sobą: zmęczoną, wychudłą dziewczyną z głębokimi cieniami pod oczami i blizną schodzącą na czoło. Wyglądała na starszą i samotną, a jednocześnie pełną satysfakcji, jak wilk, który przysnął na chwilę po udanym polo-

waniu. Finnen nie miał już odwagi jej dotknąć.

Wstał, gdy za oknami zrobiło się jasno, i wyszedł z mieszkania. Na zewnątrz mimo wczesnej pory czuło się już zapowiedź upału. Stał chwilę nieruchomo, ciesząc się świeżym, niezwanym jeszcze żarem ciepłem. Zastanowił się przelotnie, jaka u licha jest teraz pora roku. Wiosna, lato? Ostatnio wszystko stało na głowie i takie wyliczenia straciły sens. Odruchowo skierował się w stronę placu Wodnego, na którym o niedawnej obecności tłumu świadczyły jedynie pozostawione na bruku śmieci. Namiot wciąż stał, choć przechylił się lekko; rozpięta poła łopotała delikatnie na wietrze.

Z namiotu wyszła staruszka, którą Finnen widział przy lądowaniu. Chwilę później dołączyła do niej jasnowłosa piegowata dziewczyna. Jej twarz również wydała się chłopakowi znajoma. Obie wyglądały na zaaferowane, jak para konspiratorek. Finnen potrafił poznać ów rodzaj napięcia, towarzyszący robieniu rzeczy niekoniecznie legalnych czy bezpiecznych, ale za to niezmiernie ekscytujących.

Problem polegał na tym, że pojęcia takie jak „legalny” przestały istnieć, a granice niebezpieczeństwa znacznie się przesunęły, co więc mogło tak zajmować obie kobiety?

Począł, aż odejda, po czym wszedł do namiotu.

Wewnątrz leżeli ludzie z gwiazd, z którymi spadł z nieba na plac Wodny i których odlot obserwował nie dalej jak przed kilkunastoma godzinami. Mężczyzna zwany Cerniglią, Katia oraz żołnierze, pozbawieni swojej dziwacznej broni. Wszyscy spali głęboko jak zmęczone dzieci.

Finnen ukląkł i dotknął łokcia Cerniglii. Śpiący poruszył się niespokojnie i wymamrotał coś, lecz nie otworzył oczu.

— Nie zbudzisz ich — powiedziała Kaira, stając za plecami Finnena. Weszła tak cicho, że nie usłyszał jej kroków, ale głos poznał od razu. Nie odwrócił się. Być może Kaira wciąż nosiła twarz Issy, Dimego albo kogoś innego, kogo nie chciał oglądać.

— Dlaczego?

— Uspiała ich Mirha. To jest jej dar.

— Nie rozumiem.

— Nieprawda. Rozumiesz.

Finnen zamknął oczy. Może i rzeczywiście rozumiał.

— Kto w takim razie odleciał gwiazdowym pojazdem? Przecież widziałem, jak ci ludzie do niego wsiadali.

— Odlecieli lunapolitanie tacy jak ja.

— Którzy potrafią zmieniać wygląd?

— Tak.

— Dlaczego nie poleciałaś z nimi?

— Wołałam zostać z tobą. Nie mamy dużo czasu.

— Co ty chcesz zrobić?

— Tylko to, co powinno zostać zrobione i co nikomu nie zaszkodzi. Pomyśl: cel, do którego zmierzali ci ludzie, nie istnieje, bo zniszczona Ziemia jest teraz Ziemią sprzed dwustu tysięcy lat. Nie ma sensu wozić tam zamrożonych zwierzęcych embrionów i nasion roślin, bo na nic się nie przydadzą.

— Za to przydadzą się tutaj?

— Owszem.

— Więc zmiennokształtni zabiorą ludziom z gwiazd ładunek statku, a potem ludzie z gwiazd odlecą?

— Nie. Finnen, myśl. Przecież wiesz.

Pokręcił głową powoli, ze smutkiem.

— Dlaczego nie chcecie zostać?

— Czujemy, że musimy opuścić to miejsce. Nie potrafię tego inaczej wyjaśnić.

— I wszyscy się zgodzili? Rozmawiałaś z każdym, kto przeżył Przebudzenie?

— Nie musiałam rozmawiać.

Finnen wyszedł przed namiot. Na placu Wodnym zaczęli się gromadzić ludzie. Szli w milczeniu, zaspani, ze śladami nocnych zabaw na twarzach. Ale nawet teraz byli piękni. Zatrzymali się i unieśli głowy płynnym ruchem, patrząc w niebo, jak lalki kierowane tą samą ręką. Czekali wszyscy razem, zjednoczeni w sposób, którego Finnen nie pojmował i nie miał pojąć. Nigdy wcześniej nie czuł się tak obcy i samotny, zdradzony przez własną ciekawość.

— Nie musiałam z nimi rozmawiać — powtórzyła Kaira. — My wiemy. To był pomysł siostry mojego ojca, ale szybko stał się naszą wspólną ideą. Nie potrafię ci wytłumaczyć w jaki sposób.

Tak po prostu jest.

Ludzi na placu przybywało, rzeka człeko- i zwierzokształtnych istot płynęła schodami ze wszystkich stron miasta. Wciąż w milczeniu ustawiali się wokół namiotu, bez przepychania i awantur. Wyczuwało się w nich napięcie, ale ta jedyna ludzka cecha tylko podkreślała niesamowitą obcość. Na placu pozostawili jedynie tyle wolnego miejsca, by mógł wylądować wahadłowiec.

— Czy to znaczy, że wy odleciecie, a ludzie z gwiazd zostaną tutaj? — zapytał Finnen.

— Dlaczego nie? Tego przecież chcieli. Umierającego świata, który można uratować za pomocą dostępnej im technologii. W ten sposób każdy będzie zadowolony.

— I dlatego uspiliście ich i wdarliście się na gwiazdny statek podstępem?

Kaira wzruszyła ramionami, jakby pytanie nie wymagało odpowiedzi. Chłopak zresztą wcale jej nie oczekiwał.

Obserwował tłum w nadziei, że dostrzeże samego siebie; Kaira stała obok we wzmagającym się upale. Był jej wdzięczny choć za taki rodzaj obecności. Zastanawiał się, czy dziewczyna poprosi go, by poleciał z nimi. Nie miał pojęcia, czy zgodziłby się, czy nie. Nie miało to zresztą znaczenia, bo nie poprosiła.

Prawdopodobnie słusznie, przecież Finnen zdecydowanie już do lunapolitan nie pasował.

Mogłaby jednak dać mu choć szansę, by odmówić.

48

Aż do późnego popołudnia wahadłowiec krążył pomiędzy planetą a wiszącym na orbicie statkiem. Tam i z powrotem. Z Lunapolis zabierał ludzi, do miasta przywoził żelazne skrzynie oraz przezroczyście tuby, w których spoczywały ciała. Pantalekis śmiał się i nazywał je „trumnami”, a potem wytłumaczył Finnenowi, że w czymś takim w jego świecie chowa się zwłoki. Trumny. To słowo utkwilo w pamięci chłopaka, choć przecież ludzie z gwiazd nie byli martwi, lecz jedynie spali.

Siedział na placu Wodnym i jadł posiłek składający się z czerstwych bułek, przyprawionego ziołami sera tofu i brzoskwiń w słodkim syropie. Wszystko to przyniosła Kaira, a Finnena w pewien sposób wzruszył jej gest. Dziewczyna przecież nie potrzebowała pożywienia, podobnie jak pozostali, którzy przeżyli Przebudzenie. W Lunapolis nie było już czynnych restauracji czy sklepów - ktokolwiek chciał zdobyć coś do jedzenia, musiał najpierw trochę się nachodzić.

Jadł i patrzył na tłum cierpliwie czekający w kolejce do wahadłowca. Ilu ich było? Kilkaset? Więcej? Gdyby Finnen miał zgadywać, powiedziałby, że około tysiąca. Wypatrywał wśród nich znajomych twarzy - w tym tej najważniejszej, bo własnej - wiedział przecież, że gdzieś w Lunapolis musi być drugi Finnen, wyczuwał jego obecność, choć nie potrafił odnaleźć. Jednak wszyscy wydawali się obcy.

Przez jakiś czas towarzyszył mu Daniel Pantalekis, potem wróciła Kaira, tym razem przynosząc butelkę wina. Finnen cieszył się każdym łykiem i smakował każdą upływającą chwilę. Było gorąco, jednak od czasu do czasu wiał lekki wiatr, który zwiewał w jego stronę włosy siedzącej obok dziewczyny. Pachniały czymś, czego nie potrafił zidentyfikować, ale co odlegle kojarzyło się z wonią rosnących w chłodnym mroku kwiatów.

Nadal bał się na Kairę patrzeć.

Plac przed nimi coraz bardziej przypominał dziwaczne skrzyżowanie nekropolii i magazynu, w którym pojemniki zawierające nieruchome ciała mieszają się bezładnie z żelaznymi skrzyniami z ziarnami roślin i zarodkami zwierząt. Wreszcie barczyści lunapolitanie wynieśli z wahadłowca ostatnią szklaną trumnę, a w ślad za nią wysiadła załoga gwiazdowego statku. Kobieta o imieniu Marilia, mężczyzna nazywany Hairetisem i ten, którego Finnen uznał za medyka. Wyglądali na oszołomionych, jakby sądzili, że znajdują się we śnie, zresztą z ich punktu widzenia tak zapewne to wyglądało.

— Obudzą innych, kiedy tylko dojdą do siebie — powiedziała Kaira. — Nie musicie martwić się o jedzenie: w skrzyniach jest wystarczająco dużo zapasów, żebyście przetrwali do czasu,

kiedy uda się wam odtworzyć na tej planecie życie. Poradzicie sobie.

— A co z wami? Dokąd się udacie?

— Na Ziemię, myślę. Skoro cofnęliśmy się w czasie, ludzi tam jeszcze nie ma, będziemy więc mieć całą planetę dla siebie. To idealne miejsce.

— Jak zamierzacie sterować gwiazdnym statkiem?

Dziewczyna wzruszyła ramionami i Finnen po namyśle uznał to za rozsądną reakcję. Prawdopodobnie i tak nie zrozumiałby odpowiedzi.

Daniel Pantalekis podszedł do nich, ściskając w dłoniach plik jakichś papierów, zabrał butelkę z resztką wina, a potem przysiadł na jednej z trumien. Kolejka przed wahadłowcem stopniała do kilkunastu osób, które cierpliwie czekały na transport. Finnen zmarszczył brwi. Czy jedna z nich...?

— W moim domu — odezwała się Kaira — jest jeszcze jeden uśpiony człowiek. Nie zdziw się.

— Kto taki?

Pokręciła głową.

— Zobaczysz.

Ostatnia grupa lunapolitan wsiadała do wahadłowca. Finnen drgnął, serce zabiło mu mocno - tam, obok starej kobiety, czy to nie był on? Inny, zdecydowanie odmieniony, a jednak... Patrzył pod słońce, nie mógł więc mieć pewności, ale ta sylwetka, włosy, które codziennie widywał w lustrze... Już zamierzał zerwać się i podbiec, lecz stchórzył. Czy naprawdę tego chciał?

Drugi Finnen, jeśli to był on, zatrzymał się i przez chwilę spoglądał na swojego sobowtóra; rozmazana postać rysująca się czernią w jaskrawym świetle słońca. Potem uniósł dłoń, odwrócił się i wszedł do wahadłowca.

Daniel Pantalekis dopił wino, splunął, po czym wstał.

— No to w drogę — powiedział, podnosząc z trumny zapisane kartki.

Na placu pozostali już tylko oszołomieni ludzie z gwiazd i ich trójka.

— Muszę iść — powiedziała dziewczyna. — Czekają na mnie.

— Wiem.

— Żałuję, że tak wyszło. Chciałabym, żebyś był tam ze mną.

— Będę z tobą. — Finnen nagle nabrał pewności, że rzeczywiście będzie, i poczuł złość. Czy można być zazdrosnym o samego siebie?

Pożegnali się w sztywny, niemal oficjalny i pełen zakłopotania sposób, jakby byli dwojgiem ludzi, którzy sami nie mają pewności, kim dla siebie nawzajem są. Finnen żałował później tego pożegnania i miał nadzieję, że dziewczyna żałuje go również, ale rozsądek podpowiadał mu, że to mało prawdopodobne. Kaira nie należała do osób, które oglądają się za siebie.

Odwróciła się i weszła do wahadłowca. Daniel podszedł do Finnena i wcisnął mu w ręce plik papierów.

— Trzymaj.

— Co to?

— Mój dziennik. — Człowiek z gwiazd wyszczerzył zęby. — Mnie się już na nic nie przyda.

— Nie umiem tego przeczytać.

Poklepał Finnena po plecach.

— Nauczysz się. Bystry z ciebie chłopak.

Interludium

Brin Issa

Brin Issa budzi się z długiego, odprężającego snu i wie, że coś jest nie w porządku. Pojmuje to nie rozumem, lecz całym ciałem, jeszcze zanim na dobre oprzytomnieje.

Czas się kończy, to pierwsze słowa, jakie przychodzą mu na myśl.

Wie, że stało się coś złego.

Wychodzi przed dom i uderza go panująca w mieście cisza. Brak głosów, brak... obecności innych Przebudzonych, tego nieuchwytnego wrażenia, że nie jest sam, które towarzyszyło mu od chwili, gdy Maszyna została wyłączona.

Jest tylko wszechobecny upał, wyraźny nawet teraz, gdy słońce powoli chyli się ku zachodowi.

Stopniowo do mężczyzny dociera, co musiało się stać.

I po rozpacz, po gniewie i przerażeniu, przychodzi czas na uczucie, którego Brin Issa nie spodziewałby się u siebie w takiej chwili.

Dumę z własnej córki.

EPILOG

Brin Issa zjawił się na tarasie po południu, jak zawsze cicho, niemal niepostrzeżenie. Finnen wzdrygnął się lekko, choć powinien już się przyzwyczać.

— Jak postępują prace? — zapytał starszy mężczyzna.

— Chyba dobrze. — Chłopak schylił się, żeby pogłaskać kota, który siedział u jego stóp, a zwierzę wygięło grzbiet i zamruczało. — Wciągnij powietrze, czujesz? To kwiaty akacji. Do niedawna nie wiedziałem nawet, że takie drzewa istnieją.

— Ładnie pachną.

Issa usiadł obok Finna na tarasie wieży, która była siedzibą korporacji Ekwilibrium. Może, pomyślał, kiedyś znowu nią będzie? Przybysze z gwiazd przywieźli ze sobą coś, co nazywali aniołami-cieniami albo sztucznymi inteligencjami. Brin Issa wolał mówić „Przedksiężycowi”.

Nowi Przedksiężycowi, na razie jeszcze słabi, ale już powoli ewoluujący w stronę tych, którzy niedawno opuścili orbitę. Dokąd się udali? Nie wiedział i nie sądził, żeby jakikolwiek człowiek potrafił ich zrozumieć. Byli zbyt inni, tak bardzo odmienni od istot, jakie kiedykolwiek znał. Dzięki nim Issa już nigdy nie postarzeje się ani o dzień. To był dar, jaki dostał od Przedksiężycowych. Gdyby miał wybór, wolałby otrzymać coś innego, ale kim był, by sprzeciwić się woli bogów, którzy sami w procesie morderczej selekcji tworzyli innych bogów?

Nalał sobie wina rozcieńczonego wodą. Smakowało znacznie lepiej, niż mógłby przypuszczać. Cóż, nowy świat, nowe zwyczaje. Teraz, gdy słońce grzało mocno, piło się przede wszystkim orzeźwiający napoje. Issa odstawił kieliszek na stół. Pod ich stopami Lunapolis znów tętniło życiem, choć na schodach słychać było zupełnie inny język.

— Rozumiesz, co oni mówią? — Ruchem głowy wskazał ludzi przechadzających się po placu Wodnym.

— Nie wszystko, ale sporo. — Finnen wziął na kolana kota. Nadal nie potrafił się nadziwić, że prawdziwe zwierzęta potrafią być tak miękkie i sprężyste jednocześnie.

— I opowiadasz historię swoją i Kairy temu, jak-mu-tam...

— Hairetisowi — przypomniał Finnen, choć był przekonany, że Issa doskonale pamięta nazwisko. — Niemal każdego dnia. Pomogły mi bardzo notatki Pantalekisa.

— Co mu mówisz?

Chłopak spojrział na ojca Kairy uważnie, doszukując się w pytaniu ukrytych podtekstów. Nadal nie ufał temu mężczyźnie i prawdopodobnie nigdy nie zaufa'. Nie byli przyjaciółmi, choć spotykali się codziennie; istniało między nimi porozumienie, którego natury Finnen do końca nie pojmował. Prawdopodobnie, pomyślał, chodzi o to, że tylko my wiemy, jak tu kiedyś było. Jedynie my pamiętamy.

— Prawdę — odparł po chwili. — Mówię prawdę.

Issa roześmiał się.

— Czyją?

Chłopak po chwili wahania odpowiedział niemal niedostrzeżalnym uśmiechem.

— Naszą, rzecz jasna. Obaj przecież chcemy wierzyć w to samo.

Finnen

Tak więc ja, Finnen, a także kobieta, którą nazywacie Kairą, oraz jej brat Niraj jesteśmy winni temu, co się zdarzyło w Dniu Zero. Tak przynajmniej uważa większość Nowych Ziemi. Ja nie jestem pewien. Możliwe, że historia potoczyłaby się zupełnie tak samo, gdybym nigdy nie spotkał Kairy ani jej brata. Lubię jednak myśleć, że los dwóch światów zależał od tego krótkiego momentu na placu Wodnym, gdy zauważyłem ją w tłumie. Być może gdybym stanął

kilkanaście kroków dalej, wszystko wyglądałoby dziś zupełnie inaczej.

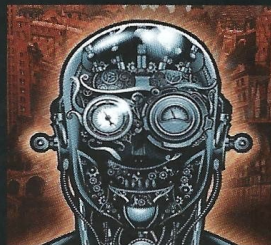
Moją słabością zawsze były rozważania w rodzaju „Co by było, gdyby...”.

Przedksiężycowi

Oto Lunapolis – ostatnia metropolia na samotnej planecie. Miasto artystów i morderców, którzy z zabijania uczynili sztukę, niezwykle tygiel mechanoidów, duszoinżynierów projektujących dzieci na zamówienie rodziców, miasto eksperymentów z ciałem, które pozwalają osiągnąć perfekcję i dają szansę na przetrwanie.

Oto Lunapolis – miejsce oczekiwania na Skok, który szczęśliwców przybliży do Przebudzenia, a niegodnych strąci w otchłań przeszłości.

Tom zamykający cykl o Przedksiężycowych.



Nagrody dla Przedksiężycowych t. 1:

- Nagroda Fandomu Polskiego im. Janusza A. Zajdla
- Złote Wyróżnienie Nagrody Literackiej im. Jerzego Żuławskiego

Anna Kańtoch – pisarka i orientalistka (specjalność: arabistyka), autorka m.in. *Miasta w zieleni i błękicie* (2004), *Diabła na wieży* (2005) oraz powieści niesamowitej *Czarne* (2012). Laureatka nagrody Europejskiego Stowarzyszenia Science Fiction za 2007 rok dla najbardziej obiecującego młodego twórcy. Trzykrotna zdobywczyni Nagrody Fandomu Polskiego im. Janusza A. Zajdla, najważniejszego wyróżnienia dla polskich fantastów, oraz Nagrody Literackiej im. Jerzego Żuławskiego.



Patroni medialni:

Fantastyko

NAGRODA KULTURY POPULARNEJ
ESENSJA
HTTP://WWW.ESENSJA.PL

kawerna.pl

Santasta
Twoje zasoby Fantastyki

GILDIA.PL

Katedra
www.katedra.nast.pl

HATAKE

POLTERGEIST
POLTER.PL

Wyłączny dystrybutor:



powergraph.pl



powergraph

cena 42,00 zł

ISBN 978-83-64384-01-1



9 788364 384011

lesiojot